№ 238.

ROZRYWKI
DLA MLODOCIANEGO WIEKU.

ROZRYWKI

DLA

MŁODOCIANEGO WIEKU

DZIEŁO ZBIOROWE W 4-ch TOMACH

OBEJMUJĄCE

POWIEŚCI, POEZYE, PODRÓŻE

LITERATURĘ I ROZMAITOŚCI

przez

Sew. z Żochowskich Pruszakową

(Duchińską).

Serya pierwsza

TOM I.

WYDANIE NOWE.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1884.

K. Raszuba.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 5 Декабря 1883 года.



95794/1

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0126370

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska Nr. 20.

K-232/18/95794

NOWY ROK.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

Pani Ługowska.
Zofia, szesnastoletnia jej córka.
Pan Antoni Ługowski, stryj Zofii.
Stanisław, syn pani Ługowskiej.
Pani Zborowska.
Gustaw, jej syn.
Pan Karol Zborowski, daleki krewny.

Rzecz dzieje się na wsi, w zamożnym dworku pani Ługowskiej.

SCENA PIERWSZA.

Pani Ługowska, Zofia, obiedwie w rannych szlafrokach. Pani Ługowska siedzi w krześle niedaleko okna. — Zofia krząta się przy stole, na którym stoi samowar i inne przyrządy do herbaty.

Zofia.

Muszę zrobić doskonałą herbatę dla stryjaszka, dosypię trochę żółtej, bo wiem, że taką najlepiej lubi. Mój Boże! jaki on też dobry! jechał do północy na taką straszną zamieć, aby mógł z nami przepędzić dzień Nowego Roku. Nigdy w życiu nie zapomnę o tem!

Pani Ługowska.

Słusznie moje dzieci! zacny to człowiek w całem znaczeniu słowa; wszyscy go też cenią i kochają, a my szczególną winniśmy mu wdzięczność. Gdyby nie on nie byłabym sobie nigdy dała rady po śmierci nieboszczyka męża. Ale, jak poczciwy pan Antoni zaczął się krzątać i zabiegać około gospodarstwa, jak wziął dreptać po sądach, do tego nadkładać własnym groszem, tak w końcu wyprowadził nasz majątek z biedy. Dość, że z jego łaski, jak Staś skończy nauki w Marymoncie i dwa lata praktyki, będzie miał czystą wioseczkę bez długu, a i tobie okroi się choć nie wielki, ale uczciwy posażek.

Zofia (*z uśmiechem*).

Sama więc przyznajesz droga mamo, żeśmy nie tacy bardzo biedni, a jednak...

Pani Ługowska.

A jednak nie wybieramy się do Warszawy na karnawał? domyślam się żeś to chciała powiedzić.

Zofia.

Jakbyś zgadła kochana mamo i nic w tem dziwnego, tyś nawykła czytać w mojej myśli, jakby w otwartej książce. Otóż przyznam sama, żebym chciała zabawić się tak jak drudzy. Wszyscy sąsiedzi powyjeżdżali do Warszawy, ci nawet, co mają daleko mniej od nas. My tylko sami siedziemy na wsi jak zaklęci.

Pani Ługowska.

A czyż nam tu źle moje dziecko?

Zofia.

O bynajmniej. Ja tego nie mówię, ale jednak radabym się zabawić pókim młoda. Jużem skończyła lat szesnaście, a jeszcze nie byłam jak żyję na świecie na balu.

Pani Ługowska.

Jakto? zapomniałaś więc o kuligu u państwa Zalipińskich przed adwentem?

Zofia.

Oj, nie zapomniałam wcale moja Mamo, i dla tego właśnie, że go dobrze pamiętam, miałabym szczerą ochotę, poskakać jeszcze w zapusty.

Pani Ługowska.

Moje dzieci, zabawa nie jest celem naszego życia; zdarzy się, to dobrze, ale szukać jej koniecznie, doprawdy że nie widzę potrzeby. Wierz mi, im w większem żyjemy

rozproszeniu myśli, tym większy potem czujemy niesmak, tym bardziej tęsknim, sami nie wiedząc za czem.

Zofia.

To ja też nie pragnę ustawicznych zabaw; zresztą wyrzekłabym się balu, a poprzestałabym chętnie na dwóch wieczorkach w ciągu całego karnawału, ale *nic*, to trochę za mało.

Pani Ługowska.

Ale gdzież szukać tych wieczorków moja Zosiu? — Choćbym chciała z duszy, zaprosić gości w ostatki, sama wiesz, że niema w okolicy nikogo.

Zofia. (*z przymileniem*).

A czemużbyśmy nie zrobili tak jak drudzy? Przecież to Warszawa nie Ukraina? Piętnaście mil, a do tego koleją, można doprawdy przelecić je ptakiem.

Pani Ługowska.

Powiedz mi tylko szczerze, skądże ci taka przyszła niezmyślona ochota do zabawy?

Zofia.

Zkąd? alboż ja wiem moja mamo? Chyba ztąd, że jakeśmy były na kuligu, słyszałam jak wszystkie panienki, układały między sobą projekta. A każda z nich wypytywała mnie, czy i my nie wybierzemy się do Warszawy. (*Spuszcza oczy i kręci chusteczką w ręku*). I pan Karol pytał mnie także o to.

Pani Ługowska.

Pan Karol może sobie jeździć gdzie mu się tylko

podoba. Ma znaczny majątek, a do tego rodzina jego mieszka podobno w Warszawie. Słyszałam nawet że ma tam narzeczoną...

Zofia. (*żywo*).

To żarty mamo; on się nie myśli żenić, słyszałam sama jak mówił na kuligu, że się boi teraźniejszych panien.

Pani Ługowska.

A to czemu?

Zofia.

Bo jak mówił, wszystkie mniej więcej próżne, lekkomyślne i nie pojmują z wyższego stanowiska przeznaczenia kobiety. O moja mamo, jak on to ślicznie mówił! jakże on ma wzniosłe o małżeństwie pojęcie! jak go to boli, że świat dzisiejszy tak się bawi z życiem, a tak po Bożemu żyć nie umie! Doprawdy żem go się dosyć nasłuchać nie mogła.

Pani Ługowska.

Dobrze mówił zapewnie, a co więcej, że jak wszyscy utrzymują, umie wprowadzać w życie swoje piękne zasady.

Zofia.

O tak! pan Juliusz, który mieszka blisko niego nad Wartą, nie mógł się dość wypowiedzieć, jak u niego wszyscy szczęśliwi. Założył w swoich dobrach i szkółkę i ochronę i szpital, a dobrzy włościanie kochają go jak ojca. A jak ślicznie urządził ogród, jaką ma bibliotekę, wszystkie podobno kupuje nowe książki i wszystkie trzyma pisma!

Pani Ługowska.

Dobrze używa majątku. Ależ Zosiu kipi samowar, nalejże ukropu na herbatę.

Zofia. (*biegnąc do stolika*).

Natychmiast mamo, ale stryja coś nie widać; boję się żeby herbata nie przeciągła.

Pani Ługowska.

Przyjdzie za chwilę, służący mówił mi, że już ubrany, A, otóż i on! (*wstaje i idzie ku drzwiom*).

SCENA DRUGA.

(*Też same i Pan Antoni*).

Pan Antoni.

Witajże mi kochana pani bratowo dobrodziejko (*całuje ją w rękę*).

Pani Ługowska.

Jakże się masz drogi bracie, dziękujemy szczerze, żeś o nas nie zapomniał.

Pan Antoni (*do Zofii, całując ją w głowę*).

Witaj mi śliczna Zosieczku, (*przygląda jej się ze współczuciem*).

Dalibóg świeża jak kwiatek dzieweczka; wyrosła, wypiękniała, aż miło. Dawnom was nie widział, już od lata. Ale cóż robić, człowiek przy gospodarstwie, to istnie jakby koń we młynie, zawsze obraca się w kółko i nigdy na nic czasu nie ma. Cóż tam porabia mój Stasio? nie widzę go coś z wami.

Pani Ługowska.

Zdrów jak ryba. Przyjechał na święta z Warszawy, ale wczoraj pozwoliłam mu odwiedzić jednego kolegę, którego ojciec, mieszka ztąd o milę. Tylko patrzeć jak wróci.

Pan Antoni.

Radbym go widzieć zaraz. Musiał wyrosnąć chłopak.

Pani Ługowska.

Wyższy pół głową od pana brata, a uczy się doskonale; wszyscy koledzy oddają mu sprawiedliwość. Będzie z niego zawołany gospodarz, a i do książek garnie się nie żartem.

Pan Antoni.

Dzięki Bogu, tego też potrzeba. Młodzież w ogólności, opuszcza się okrutnie; dałby Bóg żeby się chciała podźwignąć inaczej ani się spostrzeże, jak ją prześcigną kobiety.

Pani Ługowska.

A niechże Bóg uchroni je od tego! Drogo by przyszło biedaczkom, okupić zadowolenie miłości własnej, bo same padłyby ofiarą tak skrzywionego stanu społeczeństwa.

Pan Antoni.

Nie przeczę temu, ale jednak smutna to prawda, że kobiety silniej dźwigają się duchem od mężczyzn. Są wpawdzie i w młodzieży wyjątki, ale jakże ich mało.

(*Zofia podaje Stryjowi herbatę*).

Pan Antoni.

Dziękuję ci moje dziecko, (*pije herbatę i mówi*): Otóż, co do wyjątków, poznałem przed świętami w Kaliszu, dokąd jeździłem za interesem, młodego człowieka, który prawdziwie mnie zajął. Jakaż to dusza podniosła! jakie serce prawe i szlachetne, a do tego jaki umysł światły i chęci poczciwe! Aż mi serce rosło, jakem się z nim rozgawędził.

Zofia (*na stronie*).

To niezawodnie pan Karol.

Pani Ługowska.

Dzięki Bogu, że kąkol nie zgłuszył do szczętu zdrowego ziarna, na poczciwej naszej ziemi. Przykład jednego, może pociągnąć wielu.

Pan Antoni.

Nieinaczej, przekonałem się o tem na własne oczy. Poznałem także kilku młodych sąsiadów Karola, wszyscy mniej więcej idą w jego ślady. Z jakim przestajesz takim się stajesz, nie próżno mówi przysłowie.

Pani Ługowska.

Czy nie o Karolu Zborowskim, mówisz przypadkiem panie bracie?

Pan Antoni.

Tak jest, poznałem się z nim w Kaliszu, miałem nawet ochotę zboczyć do niego za powrotem, bo mnie szczerze zapraszał; ale droga się psuła, trzeba było spieszyć na święta do domu i na swobodniejszy czas odłożyć odwiedziny.

Zofia (*na stronie*).

Zgadłam od razu, że to o nim mowa, (*zbliżając się nieśmiało do Stryja*).

Drogi stryjaszku, przebacz że taką drobnostkę śmiem ci ofiarować na kolendę, chciej przyjąć odemnie ten woreczek dar to maleńki ale ze szczerego dany serca.

Pan Antoni.

Dziękuję ci moje dziecię; o sercu twojem nie wątpię. (*Oglądając robotę*). Jak mi Bóg miły! prześliczna sakiewka, a do tego pewnie twojej roboty.

Zofia.

Inaczej nie śmiałabym jej ofiarować.

Pan Antoni.

To mi jeszcze w dwójnasób podnosi jej wartość. Dziękuję ci moja Zosiu. Ależ i ty w zamian, przyjmijże odemnie upominek. Słyszałem od mojej siostry, a twojej ciotki, która była z wami na kuligu w Zalipinie, że masz ochotę jechać na zapusty do Warszawy. Pani Bratowa podobno zdraża się, a poniekąd i słusznie, bo też nie macie pieniędzy na daremne wydatki. Żebyś jednak przyjrzała się trochę światu i przekonała własnem doświadczeniem, że nie warto ubiegać się za nim, masz oto pięć tysięcy złotych. Oddaję ci tę sumkę pod własne rozporządzenie, jeśli masz ochotę pobawić się za nie przez kilka tygodni karnawału, już ja w tem, że pani bratowa nic przeciwko temu nie znajdzie.

Pani Ługowska.

Oj braciszku, to wcale niepotrzebne zbytki.

Zofia (*całuje Stryja w ramię*).

Czemże ja zasłużyłam na tyle dobroci, kochany stryjaszku! O mój Boże jakież te szczęście, (*zwracając się do matki*). Prawda mamo, że pojedziemy do Warszawy, i to zaraz po Trzech Królach?

Pani Ługowska.

Oj dziecko z ciebie dziecko!

Pan Antoni.

Co się tu dziwić, i my byliśmy tacy, dopóki nam nie ogorzały piórka.

Zofia (*oglądając rulonik*).

Pięć tysięcy! Jak żyję na świecie tyle pieniędzy nie widziałam razem. Ileż to w tym małym ruloniku, mieści się uciechy o mój Boże! Naprzód bal w resursie. Wszakże będziemy na nim, nieprawdaż mamo?

Pani Ługowska.

Zobaczymy, zobaczymy moja Zosiu.

Pan Antoni (*z uśmiechem*).

Dziewczyna w gorącej wodzie kąpana, istne żywe srebro. Bądź spokojna Zosiu; spuść się na mnie zupełnie, będziem na balu w resursie.

Zofia.

Kupię sobie różową sukienkę i zielony wianek na głowę. Wszak prawda, że to będzie ładnie?

Pan Antoni.

Prześlicznie, ani wątpię o tem.

Zofia.

Będziemy bywać w teatrze, przynajmniej raz na tydzień. Zobaczę Chatkę w lesie i Panieńskie śluby i Okrężne i Wesele w Ojcowie. Przypomni mi się nasz kulik w Zalipinie.

(*zamyśla się chwilę*).

Pan Antoni (*do pani Ługowskiej.*

Cóś jej ten kulig, bardzo utkwił w pamięci.

Pani Ługowska.

Gdybym była wiedziała, nie byłybyśmy na nim, ale mądry Polak po szkodzie.

Zofia.

Pójdziemy i na maskaradę, nie prawdaż mamo? Jeszczem też nigdy na maskaradzie nie była; musi to być jednak zabawnie. Oj będę też intrygować pod maską, pewna jestem, że mnie nikt nie pozna. Już wiem co powiem panu Karolowi.

Pan Antoni.

Alboż ty go znasz?

Zofia.

O i jak! widziałam go przecież na kuligu w Zalipinie, byłam z nim w jednej parze.

Pan Antoni.

Prawda, mówiła mi siostra, że i on był na tym kuligu; wyszło mi to z pamięci! No i cóż mu powiesz na maskaradzie?

Zofia (*z przekąsem*).

Powtórzę to wszystko, co mówił na teraźniejsze kobiety.

Pan Antoni.

A cóż on mówił takiego?

Zofia.

Że próżne, lekkomyślne, że gonią tylko za zabawą, słowem, mówił że nie warto się żenić, bo trudno mieć przekonanie, iż się znajdzie szczęście w małżeństwie.

Pan Antoni.

Jak to? i on to mówił?

Zofia.

Prawda, jak stryjaszka kocham.

Pani Ługowska.

Kto wie, może miał po części i słuszność, ale otóż i Stasio.

SCENA TRZECIA.

Ciż sami i Stanisław.

Zofia (*biegnąc naprzeciw brata*).

Stasiu, Stasiu, ciesz się! Patrz jaką dostałam kolendę, ty nie wiesz o niczem, a my z łaski stryjaszka, pojedziemy z tobą do Warszawy.

Staś (*z roztargnieniem*).

Doprawdy? (*idzie do stryja i całuje go w rękę*).

Pan Antoni.

Jak się masz chłopcze, pokaż-że mi się jak wyglądasz? Że wyrosł to prawda, ale jakiś blady?

Pani Ługowska (*niespokojna*).

Co tobie Stasiu, czyś nie słaby?

Stanisław.

Nic mi droga mamo, zdrów jestem zupełnie.

Zofia (*patrząc troskliwie w oczy bratu*).

Może ci zimno z drogi, poczekaj, dam ci zaraz filiżankę gorącej herbaty; tylko się samowar zagotuje, (*woła przez drzwi*) Janie, nałóż tam świeżych węgli. (*Służący wchodzi i zabiera samowar, a potem przynosi go znowu*).

Zofia (*do brata*).

I cóż, czy się nie cieszysz ze mną? będziemy blizko siebie przez sześć tygodni, a kto wie, może i dłużej.

Stanisław.

A i czemużbym się nie miał cieszyć, widząc cię tak szczęśliwą! (*całuje siostrę w czoło*).

Pani Ługowska.

Tyś jakiś nie swój mój Stasieczku, co tobie jest, czy ci kto nie zrobił jakiej przykrości?

Stanisław.

Mnie osobiście nic złego nie spotkało, ale przed chwilą patrzałem na wielką boleść i dla tego mi smutno.

Pani Ługowska.

Gdzie i kiedy, mów Stasiu.

Stanisław.

W tej chwili, pięć minut temu. Jechałem traktem, właśnie koło naszej karczemki, kiedym spostrzegł stojący na boku zepsuty powóz, ze złamaną osią. Dwie osoby, mężczyzna i kobieta, wysiadły z niego i stały na drodze w dziwnie zakłopotanej postawie.

Pani Ługowska.

Czemużeś ich tu nie sprowadził? Niechby spoczęli u nas, póki im powczu nie sporządzą. Przykra rzecz taki wypadek w drodze, a jeszcze w święto. Gdzie tu szukać kowala. Ruszaj zaraz Stasieńku, każ zaprządz do sanek i przywieź tu tych nieznajomych.

Stanisław.

Pozwólże droga mamo, niech wszystko opowiem do końca. Widząc biednych podróżnych w takim ambarasie, kazałem stanąć i wyskoczyłem z sanek. W tym mignęła mi czapka z błękitną obwódką. To mój kolega z Marymontu, pomyślałem. Biegnę co żywo i poznaję mego kochanego Gustawa, syna urzędnika z poczty i jego matkę, którą także znam dobrze, bo bywam niekiedy w ich domu. Gucio rzucił mi się na szyję i zapłakał, tym męzkim płaczem, co to tak kraje serce, bo ważny tylko powód czasami go sprowadza! Co tobie jest, zapytałem. „Okropne nieszczęście“, odrzekł stłumionym głosem. Biedny ojciec, on tego nie przeżyje! Odeszliśmy na bok. W kilku słowach Gucio mi opowiedział; że ojciec jego wpadł w deces, z powierzonych mu skarbowych pieniędzy. Najuczciwszy to człowiek, wszyscy znają go z tej strony, ale za nadto ufał drugim, a ci korzystali z jego dobrej wiary. Koniec końcem, pozostają mu tylko dwie ostateczności albo zapłacić kilkanaście tysięcy których nie ma, albo hańba, więzienie i upadek rodziny.

Pani Ługowska.

I gdzież oni jadą?

Stanisław.

Do jakiegoś dalekiego krewnego pod Kalisz; w nim cała ich nadzieja, ale biedna matka, nie może się pogodzić z myślą, że ma żebrać wsparcia u człowieka, którego zna nie wiele, bo to krewny jej męża, a do tego bardzo daleki. Ale tonący chwyta się brzytwy.

Pani Ługowska.

Jedźże natychmiast Stasieczku, poproś ich, niech koniecznie do nas wstąpią.

Stanisław.

Jużem oto nalegał całą siłą, Gucio wstąpiłby chętnie ale biedna matka, taka zdrożona, zapłakana, że się nie śmie nikomu pokazać na oczy.

Zofia.

Poczekaj Stasiu, ja pojadę z tobą, to ją koniecznie sprowadziemy; już ja znajdę na to sposób. Czy mogę jechać mamo?

Pani Ługowska.

A czemuż nie moje dzieci, tylko włóż lisy, żebyś się nie zaziębiła.

Zofia.

Dobrze mamo, bądź o mnie spokojna, (*wychodzi ze Stanisławem*).

Pan Antoni (*patrząc za odchodzącemi*).

Poczciwe dzieciska. Złote serce u tej dziewczyny; żywa jak skra, a dobra jak anioł, szczera, przytem otwarta, co w sercu to i na ustach, dobrześ pani bratowa wychowała dzieweczkę.

Pani Ługowska.

Ale pan brat, chcesz mi ją popsuć. Potrzebne rzeczy, dawać jej tyle pieniędzy i to na próżną zabawę!

Pan Antoni.

Co prawdziwie dobre to się nie łatwo zepsuje. Wreszcie nie uczyniłem tego bez celu. Wiem od siostry, że Zosia pragnie, jak ptaszek z klatki, wylecieć na karnawał do Warszawy. Nie dziwię jej się wcale, widzi że drugie jadą, to i ona by też rada skosztować zakazanego owocu. Nie próżno Bóg stworzył ją kobietą! Dziś nasza Zosia wyobraża sobie świat, jakby jaki raj zaczarowany. Niechże mu się bliżej przypatrzy. Pod okiem takiej rozsądnej matki, nic jej się złego nie stanie, a pewien jestem, że pozna własnem doświadczeniem, iż nie wszystko złoto co się świeci.

Pani Ługowska.

I ja sama nie widzę w tem nic tak dalece złego. Mam tylko jedną obawę.

Pan Antoni.

A to jaką?

Pani Ługowska.

Na kuligu w Zalipinie, poznałyśmy pana Karola. Widziałam, że się Zosi podobał, choć ona może sama o tem i nie wie. Bodaj czy w tej chęci jechania do Warszawy, pan Karol ważnej nie gra roli.

Pan Antoni.

A cóżby w tem było złego? to młody człowiek jakich mało w dzisiejszych czasach.

Pani Ługowska.

Ależ Zosia nie dla niego! Pan Karol bogaty, równych zapewne szukać będzie związków. Mówiono mi za rzecz niezawodną, że ma już na myśli jednę młodą panienkę.

Pan Antoni (*zamyślając się*).

Przypominam sobie, jakem go widział przed parą tygodniami, bardzo mi chwalił młodziuchne dziewczątko które poznał nie dawno; wątpię jednak żeby zamyślał się już żenić. Z wysokiego on stanowiska uważa ten sakrament. W przyszłej tej żonie, jak mówi, nie pragnie, ani nadzwyczajnej urody, ani majątku, ani żadnych światowych zalet, pragnie tylko dobrego wychowania i tych cichych cnót domowych, któreby mu zapewniły szczęście i urok całego życia.

Pani Ługowska.

Znalazł by to w Zosi, mogę śmiało powiedzieć, bez [illegible]ierzyńskiego zaślepienia. Mimo pozornej lekkomyślności [illegible]anioł nie dziewczyna. W każdej chwili gotowa poświęcić się dla drugich. Bóg prawdziwą zesłał mi

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA

w niej pociechę. To też strzegę ją jakby oka w głowie, i drżę na myśl, czy wprowadzając ją w świat dla niej nie właściwy, nie narażę w czemkolwiek jej spokojności.

Pan Antoni.

Co do mnie, spokojny o nią jestem. Zaraza czepia się tylko zgnilizny, *(zamyśla się)*. A wiesz, że pani bratowa co ja myślę? Oto, kto wie czy ta panienka którą tak chwalił pan Karol, kto wie doprawdy, czy to nie nasza Zosia? Nie mówił wprawdzie jej nazwiska, ale jakoś wszystko mi się widzi, że ją miał na myśli. A przytem taki był dla mnie uprzedzający, tak mnie koniecznie do siebie zapraszał, tak wypytywał gdzie będę na święta, a toć przecie, po samem nazwisku musi wiedzieć, że jestem stryjem Zosi. O ho! nie bity ja w ciemię: wiem teraz dobrze, czemu tak mnie badał, czy mam krewnych w okolicach Kutna.

Pani Ługowska.

Dałby to Bóg, a jednak niech brat nie wspomina o tem naszej dzieweczce. Ma co być z tego, to i tak będzie. Mąż i żona od Boga przeznaczone, nie próżno mówi przysłowie. W przeciwnym razie, po co jej zamącać głowę. Ale otóż słyszę dzwonki na dziedzińcu, wyjdę powitać tę nieszczęśliwą kobietę, *(wychodzi pan Antoni za nią, we drzwiach spotykają panią Zborowską, Gustawa, Zofię i Stanisława)*.

SCENA CZWARTA.

Pani Ługowska—Pan Antoni—Pani Zborowska—Stanisław—Zofia—Gustaw.

Pani Ługowska *(do pani Zborowskiej)*.

Serdecznie pani dziękuję, żeś nie pogardziła naszym dachem!

Pani Zborowska.

Do mnie to należy podziękować państwu, za tyle współczucia i dobroci, dla osoby zupełnie im nieznajomej.

Pani Ługowska.

Szczęśliwi będziemy, jeżeli w czemkolwiek zdołamy pani dopomódz. A cóż Stasiu, czy posłałeś już po kowala?

Stanisław.

Wszystko już załatwione mamo. Ale kowal powiada, że będzie miał robotę do jutra.

Pani Zborowska.

Mój Boże! a mnie tak pilno w drogę, każdą minutę drogobym okupiła.

Pani Ługowska.

Kiedy pani tak się lęka zwłoki, możebym służyć jej mogła moim powozem. Mam jednak nadzieję, że wracając raczysz pani dłużej zabawić w moim domu.

Pani Zborowska.

Dziękuję pani, stokrotnie dziękuję, największą w świe-

cie czynisz mi pani łaskę. O mój Boże! dzięki ci, są jeszcze na świecie serca poczciwe, na które śmiało można liczyć w nieszczęściu.

(łzy ociera).

Pan Antoni.

Niechże Bóg broni, żeby inaczej być miało, wartoż byłoby żyć na świecie, gdyby ludzie nie podali sobie ręki nawzajem?

Pani Zborowska.

A jednak nie zawsze to się zdarza.

Pani Ługowska.

Przebacz mi pani, zbytnią śmiałość, ale powiedz mi jak się nazywasz z domu; mam w tem moje powody.

Pani Zborowska.

A więc domysły moje nie próżne, jestem Zofia Rolska. O! tak, to Julisia! nie ma już wątpliwości.

Pani Ługowska *(żywo).*

Tak Zosiu, nie inaczej. Jakżem szczęśliwa, że cię spotykam, po trzydziestu latach nie widzenia.

(ściskają się)

Pan Antoni.

Jakbym zgadł, że to jeszcze szkolne koleżeństwo. Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem, póki żyją, mogą się spotkać na tym Bożym świecie.

Pani Ługowska.

Zgadłeś panie bracie; przez trzy lata siadywałyśmy

obok siebie na jednej ławce w klasztorze panien Sakramentek. Ileż to odtąd ubiegło wody!

Pani Zborowska.

A ile łez popłynęło z naszych oczu! I ty cierpiałaś moja droga Julisiu; pan Bóg zabrał ci męża, wiem o tem, mnie zaś w inny sposób doświadcza dziś jego ręka.

Pani Ługowska.

Wiem już, wiem o wszystkiem. Biednaż ty, biedna moja droga Zosiu. Siadaj że sobie! odpocznij, otrzyj łzy. Pan Bóg dobry, On cię pocieszy.

Zofia *(odprowadzając matkę na bok).*

Mamo, nie jedźmy już do Warszawy, weź te pieniądze, oddaj je sama; jabym to zrobiła ale nie śmiem.

Pani Ługowska.

Boże! dziękuję ci żeś mi dał takie dziecko. Pewna tego byłam moja Zosiu i nie zawiodłam się na sercu twojem.

Pan Antoni *(do siebie przeglądając niby kalendarz).*

Mógłbym ją zastąpić; mam na to dosyć z Opatrzności Boskiej, ale niechże sama zakosztuje słodkich owoców poświęcenia.

Pani Ługowska *(do pani Zborowskiej).*

Uspokój się moja droga, nie ma na świecie złego, któremu by zaradzić nie można. Ale czemuż tak mało ufasz w serca nasze? Czyż przepomniałaś, naszej dawnej przyjaźni? Niegdyś na pensyi, wszystko było wspólne między nami. I później pamiętałam cię zawsze; dla ciebie

to dałam Zosi twoje imie. Zaufaj nam i dziś w nieszczęściu, a my pomożemy ci chętnie. Mów bez ogródki, ile ci potrzeba.

Pani Zborowska.

Nie, Julisiu to być nie może; nie chcę nadużywać twej łaski. Mąż mój ma zamożnych krewnych w Kaliskiem. Prawda, serce moje boleje na tę myśl, że muszę wzywać litości, mało znanych mi osób. Ale co czynić... smutna to konieczność... wreszcie prędzej później, oddamy im tę summę; przyjmiemy ją tylko jako pożyczkę, z której uiściemy się nie zadługo.

Pani Ługowska.

Czemuż więc nie chcesz przyjąć od nas tak małej przysługi? Zosiu, Zosiu! widzę z żalem, że nie pamiętasz naszej dawnej przyjaźni. Zaklinam cię na wszystko; mów ile ci potrzeba?

Pani Zborowska.

Wiele, bardzo wiele, około dwunastu tysięcy. Jak posprzedajemy srebra i mniej konieczne sprzęty, pokryjemy połowę, idzie tylko o drugą, a i to nie mało!

Pani Ługowska.

Przyjmij oto na początek pięć tysięcy. To kolenda Zosi; dostała ją dziś rano od stryja: miałyśmy za te pieniądze, jechać na karnawał do Warszawy. Może to i lepiej, że zostaniemy w domu. Świat niebezpieczny dla młodych! Stokroć będziemy szczęśliwsze, jeśli tą małą ofiarą możemy wam przyjść w pomoc. Ja z mojej strony dodam tysiąc złotych, z moich oszczędności. Otóż będzie

wszystko co potrzeba, nie masz po co jeździć w Kaliskie i narażać się na bolesny może zawód.

Pani Zborowska.

Ależ to nie podobna? Nie, ja nie przyjmę tej ofiary, nie pozbawię Zosi przyjemności na którą liczyła!

Zofia.

Pozbawiłabyś mnie pani stokroć większej. I czemże chwila przyjemności, w obec łez i szczęścia całej rodziny? O! błagam panią, nie odmawiaj mi tego!

Gustaw *(do Stanisława).*

To anioł prawdziwy! Boże jakież to szczęście, biedny ojciec! Nikt nie wie jeszcze o niczem; hańba nie spadnie na siwe jego włosy.

Pani Zborowska *(do Zofii).*

Niechże cię Bóg błogosławi moje dziecię! *(do pani Ługowskiej).* Szczęśliwa z ciebie matka Julisiu!

Pani Ługowska.

O tak, szczęśliwa zapewne. Stasiu każ natychmiast rozpakować powóz i odeślij pocztowe konie. Zostań z nami Zosiu, rozpoczniemy razem Nowy Rok.

Pani Zborowska.

Ależ biedny mąż, on o niczem nie wie, radabym go jednej chwili zaspokoić.

Pan Antoni.

Na wszystko jest sposób. Niech oto pan Gustaw jedzie wieczornym pociągiem do Warszawy zawiezie ojcu

pieniądze; a żebyście państwo nie marnowali próżno swoich sprzętów i sreber, chciejcie przyjąć drugą połowę sumki. Oto kolenda Stasia, którą dla niego przygotowałem. Miałem ją złożyć w ręce matki, bo dawać młodemu chłopcu pieniądze, to jakby szalonemu nóż do ręki. Składam ją więc w depozycie u państwa.

Stanisław.

Dziękuję, dziękuję drogi mój opiekunie, nie zazdrościłem Zosi kolendy, ale wyznam iż pozazdrościłem jej dopiero, gdym nie mógł podzielić jej ofiary.

Gustaw (*biorąc rękę Stanisława*).

Dobry Stasiu, czemże ci się wypłacę, chyba przyjaźnią całego życia!

Stanisław.

Nie mała to zapłata.

Pani Zborowska.

Przebaczcie mi. Słów mi braknie na wypowiedzenie całej wdzięczności, ale Bóg czyta w mojem sercu.

Stanisław (*spoglądając w okno*).

Ktoś jedzie pocztą, jakiś pan nieznajomy, już skręca w dziedziniec.

Pani Ługowska.

Któżby to mógł być, tak rano?

Pan Antoni.

Dalibóg to pan Karol.

Zosia (*na stronie*).

Pan Karol! O mój Boże!

Pani Zborowska.

Pan Karol! to ten właśnie krewny mego męża, do którego miałam jechać w Kaliskie, czyżby się dowiedział o nieszczęściu naszem i sam pospiesza w pomoc?

SCENA PIĄTA.

Ciż sami i pan Karol.

Pan Karol (*do pani Ługowskiej*).

Przebacz mi szanowna pani, że w tak nie właściwej przybywam porze, ale ważny powód mnie tu sprowadza. W tej chwili się wytłómaczę.

(*do pani Zborowskiej*).

Witam drogą panią; wczoraj widziałem się z jej mężem: zdrów wesół i spokojny, wysłał mnie z umysłu, abym zwrócił państwa z drogi, bo podróż w taką porę wcale niemiła i niebezpieczna. Jadąc, spostrzegłem właśnie złamany powóz na drodze; zapytałem czyj jest, a dowiedziawszy się, że tu panią zastanę, ośmieliłem się wstąpić. (*zwracając się do pani Ługowskiej*). Gdyby nie tak nagły interes, w innej właściwszej chwili, miałbym za miły obowiązek złożyć pani uszanowanie moje.

Pani Ługowska.

Prawdziwie mi przyjemnie widzieć pana w moim domu.

Pan Karol (*kłania się Zofii, a potem spostrzega pana Antoniego*).

A i pan tu! jakże się wszystko przedziwnie układa. Prawdziwie pod dobrą gwiazdą rozpoczynam rok nowy.

Pan Antoni.

Również i ja szczęśliwy, że cię spotykam zacny panie Karolu.

Pan Karol (*do pani Zborowskiej odprowadzając ją na bok*).

Wszystko już załatwione, bądź pani zupełnie spokojna; szkoda tylko, że państwo nie wiedzieli, iż jestem od kilku dni w Warszawie; byłabyś sobie pani oszczędziła uciążliwej drogi.

Pani Zborowska.

Nie żałuję trudów moich, dobry panie Karolu. Znalazłam w drodze skarb prawdziwy, bo nie tylko pomoc w nieszczęściu, ale i przekonanie że są na świecie zacne serca gotowe zawsze do ofiary, zapominając siebie dla drugich. (*do Zofii*). Oddaję ci mój dług Zosiu, jedź śmiało do Warszawy; świat cię nie zepsuje, bo śniedź nie czepia się złota, serce twoje nie przyjmuje żadnej skazy.

Zofia (*zapłoniona, rzucając się w objęcia pani Zborowskiej mówi pół-głosem*).

Jaka pani nie dobra! Potrzebnie to powtarzać takie rzeczy! Dosyć już dla mnie kary, że nie mogę być pani użyteczną.

Pan Karol (*do Gustawa pół-głosem*).

Powiedz-że mi o co idzie.

(*Gustaw mówi cicho do ucha pana Karola*).

Pani Zborowska (*do Zofii*).

Bądź pewna mój aniołku, że choć ofiary twojej przyjąć nie mogę, skoro pan Karol tak szlachetnie cię uprzedził, nie mniej jednak w sercu, zachowam wdzięczność do śmierci.

Pani Ługowska.

Pan Gustaw nie potrzebuje dziś pośpieszać do Warszawy. Zostańcie z nami kilka dni; pogawędziemy sobie moja Zosiu o dawnych lepszych czasach.

Pani Zborowska.

Chętnie drogą Julisiu, mąż nie ma powodu niepokoić się o mnie, wreszcie mogę listownie uwiadomić go o wszystkiem; pan Karol odda mu list i opowie co mnie tu zatrzymało.

Pan Karol (*do pani Zborowskiej*).

I czemuż mnie pani tak spiesznie ztąd wyprawiasz?

(*do pani Ługowskiej*).

Mam nadzieję, że mi pani także pozwoli rozpocząć nowy rok w jej domu. A piękny to rok, skoro pod taką rozpoczyna się wróżbą. (*patrząc na Zofię*). Da Bóg, że się równie pięknie zakończy. Ależ panie pojadą do Warszawy?

Pan Antoni.

Pojadą, już ja w tem, że pojadą. A któżby cię intrygował na maskaradzie mój kochany panie Karolu? (*patrząc na Zofią*). Wiem ja kogoś, co się miał ochotę szczerze z tobą posprzeczać.

Pan Karol.

A to o co?

Pan Antoni.

O zbyt surowy sąd na kobiety. Powiedziałeś podobno, że to istoty próżne, lekkomyślne, że gonią tylko za zabawą, słowem że nie warto się żenić, bo trudno być pewnym, że się znajdzie szczęście w pożyciu.

Pan Karol.

Prawda, żem to niegdyś powiedział, ale dziś, biję się ze skruchą w piersi, i odwołuję to bezzasadne zdanie. Przekonałem się bowiem, że kobieta, choć na pozór ulotna, gdy ma serce, znajdzie w niem źródło poświęcenia, a żyjąc dla drugich potrafi zapomnieć o sobie. O! taka uszczęśliwi męża, będzie mu gwiazdą pociechy i cicho bez próżnej wrzawy, spełni wysokie posłannictwo jakie jej Bóg przeznaczył.

(*bierze Zofię za rękę*):

Pani dziś przekonałaś mnie o tem.

Pani Ługowska (*patrząc na zegar*).

Stasiu każ zaprzęgać do sanek. Już dziesiąta; za chwilę czas do kościoła. Trzeba zacząć od Boga, nowy rok tak pomyślnie rozpoczęty.

Pani Zborowska.

O tak, jedźmy do kościoła, Boska to Opatrzność, wyraźnie czuwała nad wszystkiem.

Pan Antoni.

Macie słuszność, kto z Bogiem i Bóg z nim: nie próżno mówi przysłowie.

KONIEC.

JADWIGA JAGIELLONKA.

W stołecznym grodzie Krakowie, nadzwyczajny ruch jakiś panuje. Lud tłumnie zbiera się na rynek, smętne niewiasty cisną się do kościoła Panny Maryi i ze łzami oblegają stopnie oltarzy. W katedrze na Wawelu, panie dworskie łkając, słuchają Mszy świętej, a nie jedna padła krzyżem i jęcząc domawia wyrazów modlitwy. Toż czynią mieszczki po innych kościołach; lud z włości okolicznych garnie się także do świątyń Pańskich, a każde oko łzą zaćmione, każda twarz wyraża ciężką boleść...

Panowie radni, wyższe duchowieństwo, dostojnicy w narodzie, chodzą po swoich komnatach z chmurą na czole. Ciężar jakiś spadł kamieniem na serce narodu bo wszystkie lica sposępniały. Lud zbiera się na rynku po ulicach i u stóp królewskiego zamku, cicho i żałośnie coś gwarzy, aż zdumiony cudzoziemiec tak niezwykłą postacią ludności gwarnego Krakowa, pyta o przyczyny smutku.

Cóż się wam stało bracia mili? czy tatarzyn rozbił wojsko księcia Witolda, czy wam pożar zniszczył jaką

dzielnicę miasta? czy grad wytłukł zboże w okolicy? A może król wasz na Rusi, jakiemu podpadł nieszczęściu?

— Oj co nam Tatarzyn! — pobije, to mu w czwórnasób oddamy. Ogień gdy co spali, to da Bóg odbudujemy na nowo i lepiej. Król Jagiełło pan dobry i waleczny, ale mu się nic złego przy łasce Boga nie stanie. Oj! ciężej, ciężej dotknął nas Pan Jezus... i zapłakał, stary wąsaty szlachcic, z nad Prądnika.

— Gorzej was dotknął pan Jezus? rzekł zdziwiony cudzoziemiec? Nie grad, nie wojna, nie pożar i król jegomość w dobrem zdrowiu, to już nie wiem coby was tak srodze trapić mogło?

— Nie wiecie; odparł szlachcic, boście gość jak widzę. To wam nie wiadomo chyba, że nasza gołębica, nasz klejnot jedyny, matka najdroższa, opuszcza nas sieroty... Królowa Jadwiga umiera.

Jęk przeciągły stojącej gromadki zawtórował tym wyrazom starca, a gość przybyły z nad Mołtawy, zrozumiał żałobę pobratymców i powolnym krokiem wszedł do kościoła Panny Maryi.

— Widzicie panie Lassota, rzekł do szlachcica mieszczanin Krakowski, oto biskup nasz jedzie na zamek do królowej i pan Jaśko z Tęczyna także tam podąża.

— Królowa kazała ich przyzwać do siebie, rzekł dworski pachołek, który przechodząc mimo dosłyszał tych wyrazów, mówią, że chce im swój testament oddać do schowania.

— Gorzki ich świat, zawołała jedna z obecnych niewiast, nie na takie gody spieszyli oni przed miesiącem do komnat zamkowych. Jaka to była radość panów i nasza, kiedy książe biskup Krakowski chrzcił przed czterema niedzielami nowo narodzoną księżniczkę Elżbietę. Radowała się

tam pewnie dusza Piotra Wisza, ale cóż Bóg najświętszy odmienił w płacz to wesele; królewna umarła i teraz matkę ciągnie za sobą do nieba. O! my niebożęta, co poczniemy bez naszej drogiej królowej!...

Nowy jęk odezwał się przy tych skargach niewiasty, a tymczasem Jadwiga przekazawszy ostatnią swą wolę Jaśkowi z Tęczyna i Piotrowi zwanemu Wiszem, biskupowi Kr. oddała błogosławionego ducha, zostawiając lud we łzach i męża w żałobie. Działo się to 16 lipca 1399 r.

Dwanaście miesięcy zaledwie upłynęło od tego bolesnego zdarzenia, kiedy znowu w piękny dzień lipcowy zebrały się tłumy Krakowiaków biegnąc za miasto ku stronie Szląska.

Bogata kolebka toczyła się gościńcem wiodącym do Krakowa; szło za nią kilka innych powozów; orszak rycerzy otaczał je zewsząd, a lud Krakowski cisnął się za wspaniałym pocztem wyjeżdżającym z miasta na przeciw przybyłych gości, bo w tym poczcie znajdował się na dzielnym wierzchowcu sam król Władysław Jagiełło w towarzystwie panów; zaś w kolebce owej, siedziała młoda wnuczka Kazimierza W-go, Anna hrabianka Cyllejska, córka Anny królewnej polskiej i Wilhelma de Cylli, przyszła następczyni Jadwigi, wtóra małżonka Jagiełły! Okrzykami radości witał lud wnuczkę Kazimierza króla chłopków, drogaż bo pamięć dobrych monarchów, dla wdzięcznego serca narodu. Ale okrzykom, gdzieniegdzie towarzyszyło westchnienie, każdy albowiem wspomniał sobie błogą postać Jadwigi, a gdy Anna Cyllejska wysiadłszy z kolasy, wstępowała na zamek w dostojnych pań orszaku, zmniejszył się zapał ludu, na widok niepoczesnego oblicza przyszłej monarchini; westchnął smutnie i król Jagiełło, porównawszy w myśli

anielskie lice zmarłej małżonki, jej słodycz, jej wdzięk cudowny i głos którego brzmienie za serce chwytało, z niepozorną postawą swej oblubienicy i z niemieckiem jej narzeczem, z którego ani wyrazu nie zrozumiał. Albowiem wnuka Piastów, przybywała do stolicy praojców jako cudzoziemka, a język jej matki, był dla niej obcym językiem.

W dziesięć dni po przybyciu Anny, Jagiełło chcąc zapewne uczcić swą przyszłą, na uroczystość jej imienin, otworzył gmach akademii Krakowskiej, przy wielkiem zbiegowisku uradowanego ludu. Z nadzwyczajną wspaniałością odbył się ten obrzęd, lecz dopełniając go, król miał na myśli wolę ukochanej Jadwigi, która jeszcze na śmiertelnem łożu kazała mu polecić urządzenie akademii; oraz wszystkie swe klejnoty, cały sprzęt bogaty do jej użytku należący, zapisała na dochód szkoły wyższej Krakowskiej. Wiedział o tem lud cały i tysiące ust błogosławiło pamięć zmarłej córki Ludwika, marmur zaś grobowy, pod którym spoczywały drogie zwłoki królowej, stał się ołtarzem do którego lud biegł z modlitwą i łzami prosząc o przyczynę przed Bogiem tej, która za życia tak wielkie dowody miłości, dała swojemu krajowi.

Skoro się Anna Cyllejska nauczyła po polsku, zjechał z Litwy do Krakowa Jagiełło na same zapusty w 1401 r. przybył i Witold ze swą małżonką Anną Mazowiecką na wesele królewskie, trwały gody dni kilka i cieszył się naród z tak dobranego stadła, wróżąc dla siebie przyszłość pełną potęgi i pomyślności, kiedy prawnuka Łokietka na tronie Piastów zasiadła.

I niepłonne były nadzieje ludu; rosło w potęgę państwo Lechitów. Powiększone różnemi krajami (które mimo zabiegi Krzyżaków, pod władzę Witolda,

wróciła w 1408 roku), jeszcze bardziej miało rozszerzyć swoje granicę koroną Węgier i Czech, którą te sąsiedzkie państwa niosły w ofierze Władysławowi Jagielle.

Właśnie na koronacyą królowej Anny, zjechała w lutym 1402 r. matka jej Anna, Kazimierza W-go córka, wdowa po hrabim de Cyli, obecnie hr. Deck poślubiona. Cieszyła się młoda królowa z tak drogiego sercu swemu gościa, radowało się serce matki i chlubą przejęło, gdy w dniu 5 lutego w obecności panów polskich i węgierskich posłów, otoczona książętami kościoła i panami świeckiemi, młoda Anna weszła do katedry Krakowskiej, gdzie Dobrogost arcybiskup Gnieźnieński zwieńczył jej namaszczoną głowę, koroną Bolesławów. Gonitwy rycerskie, uczty dla panów i mieszczan, zabawy rozmaite, odgłosem wesela, napełniały Kraków przez dni kilka po koronacyi. Po czem hrabina Deck hojnemi upominkami obdarzona od swego królewskiego zięcia, powróciła do siebie, opuszczając z żalem rodzinne swe miasto, ale pełna otuchy, że zostawia córkę potężną i szczęśliwą.

Tak marzyła matka Anny Cylejskiej, ale tak w istocie nie było. Mimo dostatków, mimo królewskiej dostojności, żona Jagiełły smutną pochylała głowę pod ciężką Chrobrych koroną, albowiem nie kochał jej małżonek i naród porównywając ją z Jadwigą, tracił powoli serce do królowej.

Ani korona węgierska jaką w 1402 r. panowie kraju tego składali w dani Jagielle, ani berło pobratymców Czechów, z prośbą wciskane w dłoń królowi polskiemu, nie rozweselały młodej Anny.

Nie przyjął wspaniały Władysław koron zerwanych z głowy Zygmunta Cesarza i Wacława brata jego. „Mam

dosyć krajów i potęgi, odrzekł do posłów węgierskich a cudzego bynajmniej nie pragnę.“ Ale ten wybór dwóch sąsiednich narodów, zaszczyt przynosił polskiemu monarsze i rosła jego powaga u postronnych i chlubić się mogła takim mężem ta, która dzieliła tron jego. Wszakże coraz smutniejszą stawała się królowa. Bóg odmawiał jej największego błogosławieństwa małżonków na ziemi, dzieci, któreby prawdziwe szczęście wniosły do jej królewskich komnat, a z któremi weszłyby pod złocony strop zamku, troski, łzy macierzyńskiej tkliwości, niepokój codzienny o ich zdrowie, lecz zarazem i miłość najwyższa, najświętsza, uczuć ziemskich, miłość rodzicielska, igraszki niewinne dzieci, śmiech, radość, pieszczota, słowem wszystko, co zamieszkuje dom zgodnych stadeł i czułych rodzin, a czego brakowało Annie i za tem wszystkiem przybyłaby może serdeczniejsza przychylność małżonka i równie droga, lub droższa jeszcze nad to miłość uradowanego ludu.

Mijały lata i rozerwane niedawno członki Bolesławowskiej rodziny, z coraz większą zrastały się siłą, coraz ogromniejsze przybierając rozmiary aż póki nie dorosną do olbrzymich kształtów jakie Opatrzność wyznaczyła Zygmuntów Jagiellońskiej spuściźnie. Już z dobrowolnych składek wykupiono ziemię Dobrzyńską od krzyżackiego władztwa; już Podole wydarte niespokojnemu Skirgielle, który choć był rodzonym bratem króla, wszakże osobistą korzyść przekładał nad pożytek ogółu. W Kamieńcu, Aleksander, Wojewoda Wołoszczyzny, hołdem dobrowolnym uznaje za swego samowładzcę Jagiełłę, (r. 1404) a Janusz książe Mazowiecki na Czersku i Warszawie, zakłada w 1406 r. kollegijatę Warszawską rzucając zarody przyszłego wzrostu dla maluczkiej dotąd, późniejszej Wazów stolicy.

Aż w 1408 roku, potrójnie uroczystem światłem zabłysł kwiecień na polskich obszarach. Trojakie święto obchodzili mieszkańcy Krakowa, Zmartwychwstania Pańskiego, wiosny i nadziei, gdyż ósmy kwietnia obdarzył króla i naród dziedziczką a uszczęśliwiona królowa, tuliła do serca pierworodne dziecię, które Piotr Wisz obmył wodą chrztu świętego, dając mu drogie Koronie i Litwie, imie Jadwigi.

Pięknie chowała się królewna wśród pieszczot matki, błogosławieństw narodu, przy boku dobrego ojca, który w swej maleńkiej Jadwidze widział pociechę i wspomnienie. Łączyła się dla Władysława Jagiełły, przeszłość i przyszłość w tej niemowlęcej postaci, przypominała mu imieniem, małżonkę zgasłą przedwcześnie, a jako jedyna dziedziczka berła, dodawała uroku wszelkim trudom około spraw kraju, z którego dolą, jej dola była ściśle połączoną.

Hydra zakonu, znów podniosła zazdrośną głowę i złość swą wywarła na Lechickiego orła, siejąc w gniazdo jego pożogę, mord i wojnę. Ale na polach Dąbrowna Bóg zdarzył zwycięztwo swemu ludowi; wtedy poznał hardy zakon, że nie łatwo pokonać sąsiada, który piersią swych wojowników jak murem nieprzełomnym, opasał swe granice i że nie godzi się kąsać ręki która nam chleb daje, gdyż Bóg srogo karci niewdzięczników i wiarołomców. Igrała młodziuchna Jadwiga u stóp królewskiego tronu, gdy wieść o zwycięztwie pod Dąbrownem rozległa się po Krakowie uprzedzając powrót Jagiełły. Trzy lata kończyło się królewnie, kiedy ujrzała ojca wracającego z wyprawy na Krzyżaków i składającego w kościele na

Wawelu chorągwie, zdobyte w bitwie pod Grunwaldem (Dąbrownem). Młodociany jej umysł ocknął się po raz pierwszy na odgłos ojcowskiej sławy, przy dźwięku hymnów rycerskich i pieni dziękczynnych całego ludu.

Na zapusty w 1412 roku, znowuż wesołe gody sposobiły się dla Krakowa. Ernest arcy-książe Austryacki, przybył z prośbą o rękę Cymbarki mazowieckiej, córki Ziemowita Płockiego i Aleksandry siostry rodzonej króla Władysława. Jagiełło, najstarszy stopniem i wiekiem w pośród książąt swego rodu, sprawił sute wesele siostrzenicy i hojnym obdarzył ją posagiem. Sześciuset przybocznych rycerzy, w stal połyskującą i bogate pióropusze ubranych, odprowadzało nowożeńców z Krakowa do Wiednia. Zajmujący był widok tych odprowadzin; cała ludność Krakowska wybiegła z domów, by pożegnać przyszłą Cezarów matkę i napatrzyć się dostojnych gości, którzy nawiedzili Kraków.

— Powiedźcie nam panie Lassota, zapytał nie dawno bawiący w kraju Szlązak, co to za pan letni już a dorodny, w ciemnym aksamitnym płaszczu i na białym rumaku?

— To król Władysław, odparł znajomy już nam Lassota nie dziwcie się, że nie w purpurze; i tak w najpiękniejsze swe oblókł się dziś szaty; król nasz nie lubi szat ozdobnych, lecz za to lubi działać po królewsku.

— O! hojny i wspaniały ten nasz pan! zawołał jakiś giermek w błękitnej szacie, złotą obszywanej fryzką, w wysokich butach i białemi od ramienia rękawami; sam niewiele potrzebuje, ale drugich za to obdarza.

— A ten-że w rycerskiej zbroi, co to jedzie na takim pięknym gniadoszu? Kto to być może? Zapytała dorodna

dziewoja w pąsowej sukni, z głową ubraną w złotych włosów bujne kędziory, na które, wychodząc z panią matką, by się odjazdowi księżniczki przypatrzyć, biały rąbek osłaniający część twarzy, narzuciła. Jej pani matka, w zielonej czapie i takiejże spódnicy, żółtą futrem podbitą jupką okryta, powtórzyła zapytanie córki.

— O kogo się waszmość pytacie? zagadł Lassota.

— O tego jezdzca na gniadym koniu, w stalowej misiurce, z trzema białemi piórami, w pancerzu na piersiach i rysiej skórze przez ramię.

— Ten co tak sprawnie koniem toczy, a koń w pierzaste czuby ubrany? To pan Dobiesław z Oleśnicy, ten sam który w Toruniu przed kilkoma laty, gdy mistrz krzyżacki wyprawiał rycerskie gonitwy, ku zabawie naszego króla, wszystkich niemieckich, węgierskich i czeskich rycerzy, siłą, zręcznością i odwagą przewyższył i w gonitwach nad wszystkiemi odniósł zwycięztwo.

— A ten-że w karmazynowym atłasowym żupanie, z czapką futrem obszytą i czaplem piórem, przepasany złocistym pasem, na karym wierzchowcu? zapytał ciekawie, stojący nie daleko Lassoty mieszczanin.

— Wszakżeż to pan Żyndram z Maszkowic, którego biegłości powierzyli wybranie pola bitwy i uszykowanie wojska pod Dąbrowną. Dość waleczny jest Wielki Książe Witold i tęgi wojak z naszego króla, przecież pan Żyndram z Maszkowic, lubo tylko jest miecznikiem Krakowskim, wszelako bieglejszy w sprawach wojennych niż wszyscy wodzowie nasi i zagraniczni.

Gdy Lassota z chlubą domawiał, nieco może przesadnej pochwały, znów cienki głosik kobiecy zapytał:

— Raczcie nam waszmość powiedzieć, kto może być ten chuderlawy w ciemną barwę ubrany młodzian? Niepoczesnę ma szaty ale bystro mu patrzy z oczu.

— Aha! ten, to pan Zbigniew z Oleśnicy, sekretarz królewski, on królowi życie ocalił pod Grünwaldem, a choć się rycerskiemu nie oddał rzemiosłu, ma i głowę i rękę, daj Bóg każdemu taką!

W tem uradowane głosy kobiet, dały poznać, że coś ciekawego przesuwa się przed wzrokiem zebranej rzeszy. Była to mała królewna w drogie ubrana sukienki, niesiona przez hajduka, gdyż nie chciała siedzieć dłużej w kolebce, którą jechała królowa.

Dzień, acz zimowy ale ciepły i jasny, pozwalał dogodzić temu zachceniu dzieciny. Ciemne włoski wysuwały się z pod złocistej czapeczki, rumieniec wesela ożywiał jej twarzyczkę, ogień błyskał w błękitnych oczkach, wyciągnęła rączki swe do ludu, a lud posłał jej nawzajem okrzyk błogosławieństwa.

— Niech cię pan Jezus błogosławi! lilijko o nasza najśliczniejsza! zawołała bogobojna niewiasta z różańcem u pasa i książką w ręku.

— Matce Bożej oddajemy cię w opiekę, śliczne paniątko! Rośnij nam zdrowa na pociechę wszystkim. Święty Stanisław i Floryan niechaj cię strzegą dziedziczko nasza wołał lud do uśmiechającej się dzieciny.

— A jaka nadobna! istna nieboszka królowa, ozwała się przechodząca pani dworska.

— Dobre to i miłe jak cały ród Gedymina, dodał serdecznie, barczysty Litwin, w pysznym niedźwiedzim kożuchu.

— Takie to mądre i smagłe jakby się na Węgrzech uro-

dziło, wtrącił kupiec winny, który ze swym smacznym towarem osiadł w Krakowie.

— Dopieroż nam kłaniać się będą monarchowie, ze wszystkich krańców świata, prosząc o tę rączeńkę, ale nie damy naszej królewny lada komu! wyrzekł jakiś wąsacz siwowłosy.

— Szkoda, że cesarz Zygmunt nie ma syna, ozwał się ktoś z tłumu.

— Ah! Bogu dzięka, że go nie ma, odparł akademik, wziąłby nam ten skarb jedyny do Niemiec i kazałby się nam oszwabić, jak zapewne każe Czechom i Węgrom.

— Są orły w gnieździe Piastowem, dodał z powagą magister akademii w togę aksamitną i biret ubrany. Ziemowit i Aleksandra mają synów kilku. Janusz Czerski pan też cnót wysokich; niech Jagiellonka z Piastem się połączy, na wieczne przymierze!

Wyrazów tych słuchał tłum ochotnie; gdy nowe sprawił wrażenie tatar z księciem Witoldem przybyły do Krakowa, który słysząc taki rozhowor, nie omieszkał w lichej polszczyznie swojego zdania objawić.

— No, rzekł, a gdybyście ją wydali za tureckiego sułtana.

— A! brzydki poganinie, zawołały oburzone niewiasty, za sułtana, za turka, co w Chrystusa niewierzy!

— Nic złego by się nie stało, dorzucił szyderczo Krzyżak, przysłuchujący z urąganiem tej rozmowie. Niedaleko waszemu królowi do tureckiej wiary; czyż to dawno jak się kumał z Tatarami i żył w pogaństwie aż go tam wasza Jadwiga za męża wybrała? Lecz wilk chowany, poganin chrzczony, jedna wiara!

Krzyk i pogróżki, przerwały krzyżakowi dalszą mowę, wymknął się w boczną ulicę, ale dwa lata później

na soborze konstancyeńskim, paszkwil Falkenberga uwłaczający czci Jagiełły, a z krzyżackiego poduszczenia napisany, między innemi zarzuty, królowi polskiemu, że córkę swą poswatał z sułtanem tureckim.

Wzrastała więc Jadwiga Jagiellonka, przy ożywczym promieniu tej ogólnej miłości, szczęśliwa, ukochana, wypieszczona. Kiedy późniejsze lata zaczęły rozwijać jej młody umysł, dobrano mistrzów jak najbieglejszych, dla wyćwiczenia królewny, w naukach właściwych niewiastom wysokiego rodu, a mianowicie w nauce świętej wiary katolickiego kościoła. I ze świadomością swego ziemskiego szczęścia, rosła królewna do ośmiu lat życia, dojrzalsza wielkiemi wypadkami dziejów, wychowaniem i przeważną myślą swej przyszłej w narodzie dostojności, niż tłumy rówiennic, które w tym wieku jeszcze się łątkami bawiły.

Lecz w dziewiątym roku szczęsnego żywota swego, pochyliła Jadwiga Jagiellonka młodą głowę pod pierwszym gromem który ugodził jej serce. Tym przygnębiającym królewnę wypadkiem, była śmierć jej matki. Królowa, dnia 21 maja 1416 roku, przeniosła się do wieczności w Krakowie, gdzie świetny sprawiono jej pogrzeb, na którym lud płakał, ze współczucia na widok łez sieroty która tem droższą mu się stała, im ciężej Bóg ją nawiedził i dla której odtąd ojczyzna miała bydź jedyną matką.

Zaledwie ubiegł rok żałoby, już Jagiełło po raz trzeci małżeńskie zawarł związki, z nienawistną wszystkim, Elżbietą z Pileckich Toporczykówną, wdową po Wincentym Granowskim.

Łatwo sobie wytłomaczyć nienawiść panów polskich ku Elżbiecie. Naród, całą swą zbiorową dumę, przelał na głowę monarchy, a ten dźwignął poddankę aż do swego tronu, kiedy tyle najznakomitszych księżniczek z chlubą przyjęłoby rękę Jagiełły. Może też i ta myśl, że macochą królewnej będzie nierówna jej urodzeniem osoba, wpływała na objawy tej ogólnej niechęci, jaka spotkała Pilecką przy wstępie na tron Jagiełłów. Wszakże nie musiała Elżbieta zasługiwać na wszystkie czynione jej zarzuty albowiem Aleksandra księżna Mazowiecka siostra Jagiełły, nie zaszczycałaby swą przyjaźnią kobiety, bez czci i wiary, tudzież nie swatałaby takiej małżonki swemu królowi i bratu.

Zdaje się, że Elżbieta sama będąc matką licznej rodziny, umiała szanować córkę swego monarchy i choć Jadwiga Jagiellonka nie miała już matki, lecz przynajmniej nie zaznała jeszcze, co to jest macocha.

Trzy tylko lata cieszył się Jagiełło wybraną przez siebie małżonką, znowuż w miesiącu Maju nadszedł dlań dzień żałoby, a dla niechętnych królowej dzień wesoły śmierci Elżbiety, skończyła, jak mówią, na suchoty, dwunastego maja 1420 roku, ustępując miejsca, młodszej od siebie i szczęśliwszej. Na schyłku tegoż roku, rozpoczęto układy względem wybrania małżonka dla królewskiej jedynaczki. Wybór stanów i króla padł na Fryderyka margrabię brandeburgskiego, którego ojciec także Fryderyk, przybył w 1421 roku, dla zawarcia umowy z Jagiełłą, a obiecując przywrócenie Marchii, pozyskał przyzwolenie stanów i wkrótce po Wielkanocnych świętach przywiózł oblubieńca królewnej, na wychowanie do kraju w którym młodziuchny Fryderyk, miał kiedyś władać.

Młodszym był o lat kilka przyszły małżonek Jadwigi od swej narzeczonej, z tej więc przyczyny a może i z wrodzonej polakom niechęci do germańskiego plemienia, wielu życzyło sobie Piasta, księcia Stolpeńskiego na

Szlązku, o rękę królewnej proszącego. Lecz Jagiełło zasiągnąwszy rady Witolda, został przy pierwszym wyborze i odtąd margrabia uważany za syna w rodzie Jagiellońskim, chował się przy boku Witolda, który go w sztuce wojennej ćwiczył. Tymczasem, królewna postępując w lata i rozum, sposobiła się na władczynię wielkiego narodu Sławian. Czechowie po zaręczynach Jadwigi Jagiellonki, przybyli powtóre do Krakowa z prośbą do Jagiełły, by koronę czeską raczył przyjąć dla siebie i swych potomków. Zwołano radę z przedniejszych panów do Lublina, gdzie zjechał król z Witoldem i czternastego sierpnia 1421 r., po raz drugi podziękowano czeskim posłom za dobre chęci ich narodu, mimo wielkiego żalu księcia Witolda, który mniej wspaniały niż Jagiełło, a większy polityk, nie byłby tak pięknej korony z rąk swoich wypuścił. Zygmunt cesarz, zawdzięczając królowi polskiemu tak szlachetny względem siebie postępek, wystąpił z nowemi swaty. Raz, własną córkę Elżbietę, lat jedenaście mającą, dziedziczkę Węgier, Czech i cesarskiego berła, tó znów wdowę po Wacławie swym bracie, Offkę królowę Czeską, swatał królowi polskiemu. Widząc to Witold, namówił Jagiełłę do poślubienia Sonki (Zofii) rodzonej siostrzenicy Witolda. Była ona córka Andrzeja Iwanowicza, księcia Kijowskiego za jedyny posag miała urodę, młodość i pochodzenie ze krwi Gedymina. Ją, mimo odradzań panów koronnych, oraz Zbigniewa Oleśnickiego, przeniósł siedmdziesięcio-letni Jagiełło nad cesarzówny i królowe, a poślubiwszy w Nowogródku, przywiózł do Krakowa i odtąd córka jego poznała, co to macocha.

Nie wiele starsza od swej pasierbicy, piękna i miła królowi, Sonka powinna była uważać się za szczęśliwą na tronie polskim i kochać swą przybraną córkę. Ale żmija

niezgody wpełznie zarówno pod próg wieśniaczy jak i pod królewskich posadzek marmury.

Trudno, mało mając na to dowodów w dziejach, oznaczyć co głównie wpływało na te nieprzyjazne stosunki Zofii i Jadwigi. Może, jak się to we wszystkich zdarza stanach, miłujące swą krolewnę niewiasty przyboczne, poduszczały niechęć Jagiellonki ku przybranej matce. Może Zofia, widząc cześć i miłość polaków dla przyszłej władczyni, pozazdrościła jej tego dobra, na które sama jeszcze nie zasłużyła, a kto wie czy zasłużyć umiała. Bądź co bądź, królewska sierota, boleśnem tknięta przeczuciem, w czarnych barwach widziała swą przyszłość i straciła chęć do życia.

Dla niej życiodawczą myślą była nadzieja panowania ulubionemu krajowi. Od najpierwszej chwili swego istnienia, była Jadwiga ukochaniem tego ludu, z którym całe swe życie, złą i dobrą podzielić miała dolę. Kraj stał się jej rodziną, oblubieńcem, bratem, kraj wszystkiem był dla Jadwigi Jagiellonki, jemu gwoli czuła i działała. Lecz z wejściem Zofii na stolicę, zmieniały się stosunki królewnej do narodu.

Wkrótce w komnacie na Wawelu zakwilił słaby głos dziecięcy, kwilenie to aczkolwiek niedołężne, rozległo się po całej Europie. Marcin V. słał listy z powinszowaniem, z Rzymu do Krakowa; monarchowie Europejscy wyprawiali posłów do Polski z wynurzeniem szczerej czy zmyślonej radości; lud i król radował się całą duszą, gdyż 29 października 1424 roku, Bóg dał mu następcę po mieczu, następcą tym był królewicz Władysław, później Warneńczykiem zwany.

Dwóch jeszcze synów doczekał się Jagiełło; średni umarł w niemowlęctwie, lecz najmłodszy Kazimierz, swem

urodzeniem pocieszył strapionych rodziców. Mimo takiej radości, miał król ciężkie do przebycia chwile. Wiarołomny brat jego, Swidrygaiłło, napierając się Podola nieustanne wszczynał niesnaski, aż w 1430 roku udał się Jagiełło na Litwę, by uspokoić owe zatargi, pojednać brata i Podole urządzić. Ale więziony przez brata, w niemałem zostawał niebezpieczeństwie i tylko wierności swych dworzan zawdzięczał ocalenia. Tegoż niepomyślnego dla królewskiej rodziny 1431 roku, gusnąca powoli Jadwiga, zaczęła coraz bardziej zapadać na zdrowiu, a gdy ból nieznośny, pozbawił przytomności chorą królewnę, nieraz skarga przeciw macosze z bolejących ust się wyrwała.

W mroźny dzień grudniowy, w uroczystość Niepokalanej Dziewicy, śpieszył na zamek Krakowski, uczony Jan ze Lgoty. Oddawna kierował on sumieniem królewnej, dziś przyszedł wysłuchać ją spowiedzi, tylko że nie u zwykłego trybunału pokuty, jakim jest konfessyonał kościelny, lecz na łożu cierpienia i w chwili ostatniej rozłąki ducha z ciałem!

Ujrzawszy swego duchownego ojca, Jadwiga Jagiellonka podniosła się na szerokiem krześle; oczy jej błysły weselem, szkarłat gorączkowego zapału wystąpił na lica.

— Witaj mi ojcze! witaj! zawołała przycichłym głosem dzisiaj uroczysty dzień dla mnie.

— Prawda córko, rzekł Jan ze Lgoty, święto Matki Boskiej uroczyste dla nas wszystkich, dla całego chrześcijaństwa.

— O! dla mnie dwakroć więcej, bo dziś stanę przed Panem. Słuchaj miły mój nauczycielu, dziś kończy się dla mnie droga utrapionego żywota; dodała z wzruszeniem Jadwiga.

Kapłan powstrzymał gorące łzy, choć mu paliły źrenice i z udaną spokojnością wyrzekł:

— Moje dziecię, wszelki człowiek pielgrzymem jest wygnańcem na tym padole płaczu, nikt od utrapień wolnym tu nie bywa.

Królewna zamilkła i po chwili rospoczęła spowiedź świętą, a wyznawszy swe gorycze, zwątpienie i winy, wezwać kazała po otrzymanem rozgrzeszeniu, służebne niewiasty i w te słowa przemówiła do Jana ze Lgoty.

— Ojcze, ten grzech w obec wszystkich popełniłam, więc go przed wszystkiemi wyznaję. W zajątrzeniu serca mego, dokuczliwą niemocą zniecierpliwiona, kilka razy wyrzekłam na królowę, jakoby ona męczarń tych przyczyną była.

„Niewiasty moje wierne, uwierzyły temu aż na zbyt rychło i zaczyna jak słyszę szerzyć się pogłoska, że za sprawą królowej kończę to życie. Tak nie ma być mój ojcze; przed tobą więc i przed wami wszystkiemi, oraz w obecności księdza biskupa Zbigniewa na Oleśnicy, wyznaje, że do mej śmierci niczem nie przyczyniła się królowa.

To powiedziawszy, Jadwiga Jagiellonka zebrała myśl i po chwili głosem uroczystym rzekła: „Nie płaczcie przyjaciele moi! bo zaprawdę ja w obecnej chwili, najwyższy dowód łaski od Pana otrzymuję. Dłuższe życie byłoby dla mnie pokutą.

Od urodzenia mego aż dotąd, nie odstępywało mię błogosławieństwo Boże; miałam, co tylko dusza zapragnąć zdoła na świecie, światło wiary, dobrą matkę, wsławionego ojca, królewską stolicę, kraj do którego i w niebie dusza zatęskni i przywiązanie narodu, z którym rozstawać się żal mi ciężki! Ale stokroć lepiej, że nas Bóg rozłącza,

że niebieski oblubieniec wzywa duszę mą na gody, bo przynajmniej kości moje zostaną tu z wami. A gdyby ziemski małżonek zabrał mię ztąd w jaką obcą stronę, gorzej byłoby dla mnie daleko. To mię przecież czekało, odkąd Bóg zesłał wam królewiczów; taka znać wola Pana. Ród Piastów już dopełnił swej sprawy na ziemi, a na stolicy Chrobrego, nie ma zasiąść monarcha że krwi niemieckiej i biada wam gdy w niej zasiądzie!

I wysilona padła na wezgłowia w pośród łkań całego dworu; w kilka godzin potem, duchowieństwo odmawiało modlitwy przy skrzepłych dziewicy zwłokach; lud Krakowski szlochał, narzeczony się smucił, zaś ojciec ze ściśnionem sercem kazał swą jedynaczką złożyć na wieczny spoczynek obok Anny Cylejskiej. Tam, czeka na dzień zmartwychwstania Jadwiga Jagiellonka, w obrębie tego ulubionego sobie grodu, który był jej kolebką i grobowcem.

CIERPIENIA MATKI.

Styczeń roku 1841, niezmiernie był mroźny. Ulice pokryły się zmarzłym śniegiem a wiatr północny niósł nową zamieć i uderzał w szyby ostremi ziarnkami, jakby drobnym gradem. Ktokolwiek wychylił się na miasto, uciekał czém prędzej do domu.

Mimo tak przykrej pory, a było to w piątek, o dziewiątej rano, nie mało ludzi krążyło po ulicach, był to bowiem dzień targowy; każdy przyspieszał kroku, a robotnicy bili rękami po grubych kożychach, lub sukmanach.

W takim to dniu, młoda kobieta, przechodziła powoli przez ulicę Freta, idąc ku Staremu Miastu; wstępowała od domu do domu, a na jej obliczu, malowało się słodkie i rzewne uczucie. Atłasowa salopa, ciepłemi lisami podszyta, futrzane buciki i tumakowy rękawek, ochraniały ją od zimna, a ciepły aksamitny kapelusz osłaniał jej piękną twarz, lekko zaczerwienioną od wiatru. Służący w sędziwym wieku, porządnie ubrany, postępował za nią. Ta młoda pani, bogata, jak to wskazywało jej ubranie i służba, już miała wnijść do sieni domu naprze-

ciw kościoła Dominikanów, gdy w tem postrzegła wychodzącą z tejże świątyni, jedną ze swoich znajomych. Zatrzymała się i rzekła:

— Dzień dobry ci Bronisławo, jak się masz?

— Zdrowa jestem, a ty?

— I ja także, i więcej jestem z siebie samej zadowolona, niżeli ci wypowiedzieć zdołam.

— A to dla czego? Mamy czas taki mroźny i nie miły.

— Dla mnie jest bardzo miły. Dopiero od godziny wyszłam z domu, a już zwiedziłam kilkanaście rodzin ubogich. Widziałam nędzę, kochana Adelo, taką nędzę, co aż się serce kraje. Głód, zimno, choroba, niedostatek wszystkiego... to rzecz niesłychana. Ach! jakże jestem szczęśliwa, że mogę przynieść pomoc tym biednym ludziom!

— Cóż to? chcesz płakać, Anno! Widzę, łzy stanęły ci w oczach; niebądźże tak tkliwą. Sądzę, że tej zimy ubodzy nie tyle cierpią. Składki są tak liczne. Towarzystwo Dobroczynności rozdaje drzewo, chleb, zupę rumfordzką; nikt nie wymawia się od ofiar. Ja także posłałam wczoraj dziewięć rubli; wolę spuścić się na zarząd Towarzystwa Dobroczynności, a niżeli sama chodzić do tych brudnych i zatęchłych izdebek.

— Bronisławo, nie znasz ubogich. Nie sądź o nich podług tego ulicznego żebractwa, które swój stan zamieniło w rzemiosło. Pójdź zemną, pokażę ci rzemieślników i wyrobników, którzy nie chodzą w łachmanach, nie mieszkają w brudnych i zatęchłych izdebkach. Nie otworzą oni ust do proszenia o jałmużnę, lecz tylko dla podziękowania i błogosławienia dobroczyńcom swoim. Zobaczysz tam ślady ciężkiego głodu, wyryte na ich rysach; czarny i zaschły chleba kawałek, w ręku dzieci odrętwiałych od zimna; zobaczysz płacz matki i ponurą rozpacz ojca. Wzruszy cię aż do głębi serca ten milczący obraz smutku i cierpień. Ach! jakiejże niebiańskiej radości doznasz, przynosząc im ratunek i pociechę, nie wielkim datkiem twoim! Małe dziatki, z radością uczepią się twojej sukni, matka wzniesie ręce do nieba, a ojciec uradowany niespodzianą pomocą, uściska twoją rękę i skropi ją łzami wdzięczności. I ty wówczas Bronisławo, uronisz łzę szczęścia i nie usuniesz twojej ręki z ich twardych zapracowanych dłoni.

Gdy zacna Anna, tkliwym głosem i mocno oznaczającym wzruszen e, kreśliła ten obraz, jej przyjaciółka nie rzekła ani słowa, ani nawet jednego wykrzyknienia, którem oznaczamy nasze współczucie, dla mówiącej do nas osoby. Wzruszenie Anny wskróś ją przenikło, wyjęła chustkę i otarła łzy stojące w jej oczach.

— Anno rzekła: pójdę z tobą, odwiedzę ubogich. Mam pieniądze w sakiewce. Poświęćmy ten poranek na miłosierne uczynki. Ach! jakże jestem szczęśliwa, żem się z tobą spotkała.

Zacna Anna, ze współczuciem spojrzała na przyjaciółkę; na jej twarzy widać było, ile cieszy się, że znalazła nową opiekunkę dla ubogich. Weszły razem z Bronisławą na trzecie piętro domu. Wiedziała, że tam nieszczęśliwi mieszkają. Dom ten był o kilka numerów dalej od tej sieni, przy której spotkały się i rozmawiały przez chwilę.

II.

Lecz właśnie w tym to pomieionym domu, w izdebce pod samym strychem, mieszkała nieszczęśliwa rodzina. Nagie mury były jedynemi i milczącemi świadkami niewypowiedzianych boleści, a ich widok nie tylko zasmucał serce, lecz zarazem obudzał jakąś nienawiść przeciw teraźniejszemu stanowi społeczeństwa. Było tam prawie tak zimno jak na ulicy; lodowata wilgoć przejmowała wskróś; na kominku palił się biedny ogień, podniecany ostatniemi kawałkami rozbitego stołka. Dziecię chore, ledwie rok mające, leżało na nędznem posłaniu; jego twarz wybladła, wychudłe ciałko, zapadłe oczy, zapowiadały, iż to biedne stworzenie wkrótce zamrze. Siedząc na łóżku przy dziecku, kobieta młoda jeszcze, zasłaniała oczy rękoma. Jej suknie chociaż zużyte i wypłowiałe, nie nosiły śladu nędzy i niedbalstwa, lecz i owszem, troskliwe ochędóstwo i liczne cery wskazywały, że ta kobieta pragnie utaić niedolę swoją.

Częste westchnienia wydzierały się z jej piersi, a łzy spływały po twarzy. Za najlżejszem poruszeniem dziecięcia, drżąc i zanosząc się od łkania, spoglądała z niemym przestrachem na jego wywiędłą twarzyczkę, otulała zziębłe ciałko i znowu z rozpaczą pochylała głowę.

Najgłębsze milczenie panowało w tym smutnym zakątku, przerywał je tylko szelest śniegu bijącego w okna i żałobny huk wiatru w kominie.

Od niejakiego czasu, zdawało się, że ona drzymie; dziecię leżało bez ruchu; nie podniosła głowy, możnaby mniemać, że już nie płacze, bo łzy przestały sączyć się

między jej palcami. Izba wyglądała jak grób, w którym na zawsze złożono biedne ofiary.

W tem słaby głos odezwał się:

„Matko! matko! daj mi jeść matko!“ Żałosny ten głos pochodził od kominka. Siedział tam chłopczyk pięć lub sześć lat mający, przytulony w popiele i tak skurczony przy dogasającem ognisku, iż go ledwie dostrzedz było można. Drżał i trząsł się jak we febrze, a zbliżywszy się, usłyszałbyś, iż zęby szczękały mu od zimna.

Czyli niewiasta nie dosłyszała jego skargi, czyli też nie mogła zadosyć jej uczynić, nie odpowiedziała i nie ruszyła się z miejsca... Grobowe milczenie znowu nastało, lecz za chwilę głos chłopczyka dał się słyszeć.

— Kochana matko! głodny jestem. Ach! daj mi kawałeczek chleba.

Na ten raz niewiasta podniosła głowę, bo wołanie dziecięcia, krajało jakoby nożem, jej macierzyńskie serce. Ponury blask zajaśniał w jej oczach; można w nich było wyczytać rozpacz matki.

— Kochany Jasiu! odpowiedziała, zalewając się łzami; uspokój się na miłość Boską. Ja sama umieram z głodu, moje biedne dziecię, a nic w domu nie ma.

— Ach matko! tak jestem głodny... aby kawałeczek chleba!

Taki wyraz błagający, malował się na obliczu dziecięcia, męczarnie głodu tak głęboko wyryły się na jego znędzniałych i wybladłych licach, że matka jakoby rozpaczą miotana, drżącą ręką sięgnęła pod prześcieradło, wyjęła z tamtąd bułeczkę dwugroszową i poszła do dziecka.

— Masz Jasiu! schowałam to na papkę dla twojej bie-

dnej siostrzyczki, ale niestety! może ona już jej potrzebować nie będzie.

Głos zaciął się w jej piersiach; serce macierzyńskie wezbrało nadmiarem boleści. Skoro tylko Jaś zobaczył bułeczkę, ślina odwilżyła mu usta, zadrżały nerwy jego twarzy, wyciągnął obie ręce i schwytał bułkę, jak wilk chwytający zdobycz swoją.

Matka wróciła do chorej córeczki, wpatrywała się w nią przez chwilę i bezsilna pochyliła się na łóżko.

Przejęty niewymowną radością chłopczyk, chciwie zaczął zajadać bułkę; a gdy już pochłonął większą połowę, zatrzymał się nagle, pożądliwie spojrzał parę razy na pozostały kawałek, podniósł go kilkakrotnie do ust, ale powściągnął się i nie jadł więcej. Wstał nareszcie, powoli przybliżył się do matki, pociągnął ją za rękaw, aby ją ocucić z uśpienia, w którém, jak mu się zdawało pogrążona była i podając kawałek bułki, rzekł łagodnym głosem:

— Kochana mateczko! weź to, zostawiłem kawałeczek dla Maryni! Jeszcze mi się bardzo jeść chce, ale tata powróci i przyniesie chleba. Nie prawdaż mateczko?

Nieszczęśliwa kobieta, przycisnęła do serca dobre dziecię; za chwilę potem puściła je, nie wiedząc sama co czyni, i znowu pochyliła się na łóżko znękana i ponura. Jaś zbliżył się po cichutku do siostrzyczki, a całując wychudłe jej lica, rzekł: Śpij jeszcze, śpij Maryniu" powrócił do ognia i usiadł skulony w popiele.

W tej to właśnie chwili, szlachetna Anna zatrzymała się przed sienią tego domu, postrzegłszy swoją przyjaciółkę.

Godzina upłynęła, a nieszczęśliwa matka ciągle pogrążona była w bolesnem dumaniu. I ona także głód

cierpiała i czuła ból pożerczy, który jej wnętrzności rozdzierał. Lecz, siedziała przy konającem dziecięciu, wyglądała z udręczeniem tej okropnej chwili, w której dziecię ostatni raz zachrapie i skona. Czyliż mogła zważać na własne cierpienia? Nie! matka zawsze jest matką, szczęśliwa czy nędzna, bogata czy uboga. Żadne uczucie nie jest większem, nie jest głębszem od tego, które kobietę przywiązuje do jej dziecięcia, a to uczucie, ta namiętność tem jest gorętsza, tem zupełniejsza u tych matek, które wiedzą, ile to zachodów, cierpień, utęsknienia i boleści, przy swojem dziecięciu poniosły.

Przedewszystkiem ubodzy najlepiej wiedzą o tem.

O dziesiątej, matka i chłopczyk zadrżeli razem, jak gdyby popchnęło ich tajemnicze natchnienie. Ona zerwała się z łóżka, on z kominka i oboje zawołali:

— Ojciec powraca, Jasiu!...

— Papa idzie, mamo!

Radosny uśmiech zabłysnął na ich twarzach. Wybiegły na przeciw niego. Młody mężczyzna szybko drzwi otworzył i wszedł do izby. Gdy otrząsał śnieg z ubrania, Jaś uchwycił go za rękę i zawiesił się u niej, jak gdyby go chciał do siebie przyciągnąć. Mężczyzna podał rękę żonie i smutno na nią spoglądał. Nareszcie rzekł z westchnieniem.

— Teresso! nieszczęście zawzięło się na nas. Od samego rana, obiegłem wszystkie warsztaty naszych majstrów, szukałem roboty, u żadnego znaleźć jej nie mogłem. Nie którzy powiedzieli mi z szyderstwem, że gdy mi się zachciało zostać panem majstrem i otworzyć warsztat na własną rękę, to mi nie wypada wracać znowu na czeladnika. Co ja zrobię? Ach! wolałbym umrzeć.

Biedny ten człowiek nie rozwodził się z narzeka-

niem, lecz okropnej doznawał boleści; głowę pochylił na piersi, oczy wlepił w ziemię, pięści zacisnął i widać było, że konwulsye rozpaczy miotały nim wewnątrz.

Żona, zapominając o własnych cierpieniach, na widok udręczeń męża, objęła go za szyję i odpowiedziała ze łkaniem.

— Ach! Franciszku, uspokój się; tak zawsze być nie może. Nie twoja to wina, że jesteśmy tak nieszczęśliwi.

— Ojcze! ojcze! zawołał chłopczyk, jestem głodny! czy dostanę kawałek chleba?

Wyrazy te okropnie wzruszyły rzemieślnika; zadrżał i wpatrywał się w chłopczyka, z taką dzikością i złością, iż dziecię przelękło się, uciekło do kąta i płacząc zawołało:

— Ach! tato! Już nigdy nie będę, już nigdy nie będę.

Z tem samem pomieszaniem, ojciec zbliżył się do łóżka i jeszcze bardziej pochmurnym wzrokiem spojrzał na umierającą dziewczynkę, która raz jeszcze zwróciła na niego gasnące oczy.

— Teresso, zawołał: tego już dłużej znieść nie mogę. Raz muszę zakończyć to wszystko.

— Cóż się stało? o Boże! cóż ci jest?

Rzemieślnik nagle uspokoił się, stoczył ostateczną walkę w głębi serca, a pojmując jak mocno przeraziły jego poczciwą żonę te rozpaczające słowa, wziął ją za rękę i rzekł znękanym głosem:

— Teresso, wiesz, że od czasu naszego pobrania się, zawsze pracowałem i ani jeden dzień nie brakowało chleba tobie i dzieciom naszym. Ale teraz nigdzie nie mogę dostać roboty. Cóż poczne? czyliż będę wyciągał rękę, prosząc o wsparcie przechodzących? Któż mi da jałmużnę?

Każdy powie: zdrowy jesteś i młody, możesz pracować. Mam jeszcze ten ostatni surdut, w którym mogę jako tako pokazywać się na ulicy i który mnie od zimna ochraniał. A te dwa żelazka krawieckie, na cóż mi się zdadzą? Przedam to wszystko; będziemy mieli na tydzień jedzenia i drzewa, a jak to wyjdzie, a przez ten czas roboty i umieszczenia nie dostanę, to już przyjdzie ostatnia nasza godzina. Zaczekaj więc z kwadrans jeszcze, przyniosę ci co do jedzenia.

— Pójdź mężu przedaj co można: odpowiedziała, bo nasz Jasio umiera z głodu, ja ledwie mogę ustać na nogach... a ta biedna dziewczynka tchnie i jęczy. Ach! biedna dziecino! czemuż nie jesteś już aniołkiem w niebie, moje kochane dziecię?

Znowu zaczęła płakać; dreszcz taki sam jak ten co go pierwszy raz przeniknął, wstrząsnął ciałem krawca i znowu zacisnął pięści tak, że aż zatrzeszczały. Porwał z kąta starą posmoloną i podartą kapotę, wziął ją na siebie, a z surdutem i z żelazkami wybiegł na miasto.

Na chodniku w rynku Starego Miasta, od tej strony która odpowiada Piwnej ulicy, nie daleko korzennego sklepu, stanął biedny Franciszek; koło niego już się kręciło dwóch żydów i targowało jego ostatnią chudobę. Upierał się z niemi do ostatniego: bo chcieli nabyć za piątą część tego co warto.

W tem dwie panie nadchodziły szybkim krokiem, zręcznie wymijając krzyżujące się pospólstwo, jedna z nich postrzegła boleść wyrytą na jego twarzy, zatrzymała się na schodach od sklepu i rzekła:

— Czy uważałaś Bronisławo, tego człowieka co się targuje z temi żydami?

— Którego, droga Anno?

— „Tego co tupa nogą z niecierpliwości i trzyma jedną ręką za połę surduta, a żydzi oglądają suknię na wszystkie strony. Niezawodnie, musi to być bardzo biedny człowiek.

— Być może... Kto wie, może to jaki próżniak, pijak i awanturnik?

— O nie, Bronisławo; znam ja się na fizyonomii. Nieszczęście prawdziwe oznacza się właściwem piętnem. Przyciąga serca szlachetne i obudza w nich słodkie wzruszenie litości... Gniew i pijaństwo, odpychają nas i wstręt zrządzają. Nie mylę się kochana przyjaciółko! Ten człowiek popadł w nędzę skutkiem ciężkiej zimy i drożyzny. Pójdźmy ku niemu. Spytam go się co mu jest, dla czego sprzedaje tę odzież.

Obie panie postąpiły ku rzemieślnikowi; lecz w tejże chwili zagadnął go drugi jakiś człowiek.

— „Jak się masz Franciszku! zimno dziś nieznośne. Pójdź ze mną na wódkę. Ja zapłacę.

Rzemieślnik wstrząsnął ramieniem, na którem oparł rękę jego towarzysz i nic nie odpowiedział. Tamten zadziwiony, spojrzał na twarz jego i spostrzegł, iż toczył oczyma jak obłąkany.

— „Franciszku! zawołał: cóż ci to jest mój przyjacielu?

Zapytany, jeszcze milczał przez chwilę, a obie panie tak się przysunęły, iż mogły dosłyszeć odpowiedź.

Przytłumionym głosem i z ciężkiem westchnieniem, odpowiedział nareście Franciszek.

— „Mój Grzegorzu! prosisz mię na wódkę. Wolałbym umrzeć, a niźli jednę kroplę ponieść do ust. Gdybyś wiedział jak jestem nieszczęśliwy?

Wyrazy te mówił z takim smutkiem, iż przeniknęły Grzegorza; przestał mówić wesoło, ujął za rękę biednego towarzysza i rzekł prawie z płaczem.

— „Franciszku mój przyjacielu! Cóż się stało? Czyliż Teressa umarła? albo też bardzo jest chora?

— „Nie, nie... Ale ja ci wszystko opowiem przyjacielu. Wiadomo ci Grzegorzu, że nie jestem próżniakiem i bałamutem. Zacząłem pracować na swoją rękę; ale na nieszczęście skaleczyłem się i przez miesiąc szyć nie mogłem. Poodbierano mi robotę, nowa nie nastręcza się; a panowie majstrowie nie chcą mię przyjąć do swoich obszernych warsztatów. Oni nie wesprą nas uboższych; powiadają, że im cenę psujemy. Niech im za to Pan Bóg zapłaci. Ja i Teressa jużeśmy od onegdajszego dnia nie jedli. Nasz Jasio płacze i wije się od głodu, a biedna Marynia może już w tej chwili umarła. Ach! ja sobie życie odbiorę; to prędzej moją żonę i dzieci wezmą do szpitala.

— „No, co tam wasanowie gadacie? zawołał żyd tandeciarz, czy ja tu mam czas stać i czekać? Chcesz wasan półtora rubla za ten surdut? a mój kompan to da po złotemu za te żelazka do prasowania.

— Daj i idź do wszystkich djabłów! zawołał zniecierpliwiony krawiec. Ten surdut wart najmniej cztery ruble.

— „Nu, po co ja mam iść do wszystkich djabłów? co mi z tego przyjdzie? czy ja tam co kupię? odpowiedział tandeciarz. Słuchaj no wasan, ja taki zły nie jestem. Ja się nazywam Hersz Saltzman, mieszkam na Wołowej ulicy. Ja wasana znam dobrze. Jeżeli wasan zechcesz wykupić swój surdut, to możesz to zrobić dziś, jutro i po jutrze; zapłacisz mi tylko dwa złote jako procent od moich pieniędzy. I ja też żyć muszę.

To rzekłszy, dał pieniądze i wziął surdut, a biedny krawiec poleciał czemprędzej po drewka i żywność.

Anna skinęła na żyda.

— „Co jaśnie wielmożna pani rozkaże? zapytał się tandeciarz?

— „Powiedziałeś do tego człowieka, że może wykupić swój surdut, dziś jeszcze, za opłatą dwóch złotych. Masz tu te pieniądze i pół rubla dla ciebie zarobku... A może wiesz gdzie on mieszka?

— „Czemu ja nie mam wiedzieć, jaśnie wielmożna pani? My wszystko musimy wiedzieć. To jest bardzo uczciwy rzemieślnik, tylko tak zbiedniał. On tu niedaleko mieszka, na ulicy Freta.

— „No, to zaprowadź nas do jego mieszkania i zanieś surdut.

— Jaśnie wielmożne panie są bardzo miłosierne dla ubogich ludzi, odezwał się żydek.

Poszły więc i zatrzymały się przed kamienicą, o której wspomnieliśmy powyżej. W progu sieni, ich służący odebrał od tandeciarza surdut Franciszka, a panie weszły po wązkich schodkach aż do izdebki na poddasze.

Drżenie przestrachu przeniknęło Annę i jej przyjaciółkę. Okropny widok miały przed sobą. Młoda kobieta leżała martwa przy łóżku; lice miała wybladłe, oczy zamknięte, jak umarła. W chwili, gdy te panie wchodziły, chłopczyk schwycił jej bezwładną rękę i wołał: „Kochana mateczko, jestem głodny! daj mi kawałeczek chleba!

W tej chwili wstępując z pośpiechem na wschody, po trzy od razu, mąż wszedł do izby, a gdy ujrzał żonę swoją bez życia, wypadł mu z ręku bochenek chleba i wiązka drewek. Nie zważał na obecność tych pań, rzucił się ku leżącemu ciału, zawołał na żonę rozpaczającym głosem, rwał sobie włosy i te tylko przerywane słowa wyrzekł:

— „Teresso! ach, kochana Teresso, nieszczęśliwa żono! Panie! o mój Boże! cóż ja to widzę? Umarła!... umarła z głodu, z zimna! Ach! czyliżeśmy zasłużyli na taką dolę!

Nagle porwał nóż ze stołu, lecz Anna spostrzegłszy to, krzyknęła przerażona i wydarła mu z ręku mordercze żelazo.

— „Twoja żona nie umarła! zawołała: masz, leć czemprędzej po wino i ocet.

Dała mu rubla i wskazała drzwi. Wybiegł z izby i poleciał jak strzała.

Anna podniosła biedną kobietę; atłasowa salopa i aksamitny kapelusz obtarły się i pogniotły, przy zetknięciu z nędzną odzieżą biednej. Lecz ani zważała na to, ratowała Teressę jak siostrę. Jakoż istotnie uważała za siostrę własną, tę konającą kobietę, podług przykazań Chrystusa Pana. Wyjęła z woreczka flakonik z wódką kolońską i rozcierała nią pulsa zemdlonéj. Wydała krzyk radości, postrzegłszy że ocucona matka, otwiera oczy.

Przez ten czas, Bronisława nie poprzestała na przyglądaniu się temu obrazowi głodu i nędzy. Skoro tylko usłyszała narzekanie biednego chłopczyka, podniosła z ziemi bochenek chleba i mówiła dziecku, aby drewek do ognia przyrzuciło.

Jaś postrzegłszy chleb, już nie spuścił go z oka i żądał aby mu dano kawałek. Bronisława, która dziś rano okazywała tyle wstrętu dla ubóstwa, wzruszyła się widokiem takich cierpień, wzięła nóż ze stołu i oparłszy bochenek o piersi, z uszczerbkiem swojej pięknej sukni, którą zmączyła niezgorzej, ukroiła kawałek chleba dla wygłodniałego chłopczyka.

— „Masz moje dziecię, jedz. Drugi kawałek dostaniesz nasmarowany masłem.

Dziecię uradowane schwytało chleb, pocałowało ją w rękę na znak wdzięczności i tak mile na nią spojrzało, iż odwróciła się dla ukrycia łez, które wyciskało z jej oczu nieznane dotąd wzruszenie.

W tejże chwili, matka przyszła do przytomności i z radością patrzała na swoje dziecię, które posilało się chlebem. Chciała podziękować Annie, lecz w tem jej mąż wbiegł do izby.

— „Teresso! żyjesz jeszcze, kochana żono! Sprzedałem surdut i jakaś pani dała mi rubla. Napij się trochę wina. Ach! skoro ty jeszcze żyjesz, to może Bóg zlituje się nad nami.

Anna tymczasem nalała wina w filiżankę i podała je osłabionej kobiecie. Gdy ona piła ten wzmacniający napój, jej mąż spoglądał z podziwieniem na Annę i na jej przyjaciółkę, która nieco dalej stojąc, ogrzewała ręce Jasia i mówiła do niego:

— „Rozgrzej się mój chłopczyku, zaraz mieć będziesz co więcej do jedzenia. Rzemieślnik teraz dopiero jakby ze snu rozbudzony, postrzegł obecność dwóch pań.

— „Panie, rzekł nieśmiało, przebaczcie mi, że wam nie podziękowałem za waszą łaskę i pomoc. Jesteście bardzo miłosierne, żeście weszły do naszej biednej izdebki. Niech wam to Bóg tysiąckrotnie wynagrodzi!

— Poczciwi ludzie, odpowiedziała Anna, wiemy ileście wycierpieli dla braku roboty. Ile będę mogła, przyjdę wam w pomoc.

Położyła kilkanaście złotych na stoliku. Macie pieniądze, kupcie czego wam potrzeba do życia. Wasz surdut wykupiony od tandeciarza, leży na stołku. Oto jest moje nazwisko i numer mieszkania. Przyjdźcie do nas po jutrze, o dziewiątej rano.

Przez ten czas, gdy wymawiała te słowa, najgłębsza cisza panowała w biednej izdebce, lecz łzy rzuciły się strumieniami z oczu rzemieślnika i jego żony. On, nie mógł słowa wyrzec, z podziwieniem poglądał tylko na dwie panie, prawie nie mogąc zawierzyć temu co słyszy. Gdy Anna przestała mówić, matka padła na kolana, a schwyciwszy jej rękę zawołała ze łzami.

— „Ach! kochane panie! Bóg wynagrodzi wam przez całe wasze życie i w godzinę śmierci, żeście do nas przyszły jak aniołowie stróże i ocaliły nas od zguby.

— „Już się uspokoiłaś i pocieszyłaś matko? zapytała się Anna.

— „Ach! tak jest! Patrz pani, jak jesteśmy szczęśliwi, jak nasz Jasio skacze przy kominku; biedny malec! A to niewinne stworzenie, które tam leży umierające, gdyby mówić mogło, podziękowałoby i błogosławiło ciebie szanowna pani.

Słysząc te słowa, Anna pobiegła do chorego dziecięcia, a sądząc że je nędza przywiodła do stanu bliskiego śmierci, skinęła na Bronisławę, że już czas odejść. Jej przyjaciółka ucieszona wesołością chłopczyka, podniosła go w górę, ucałowała go i wyszła razem ze swoją przyjaciółką. Anna zatrzymała się we drzwiach i rzekła:

— „Bądźcie spokojni, przyjaciele; za pół godziny przyjdzie tu lekarz, zobaczy waszą córeczkę i nie wątpię, że ją uratuje. Jeszcze to dziecko wyrośnie z czasem na pociechę waszą.

Uśmiech radości rozpogodził oblicze rodziców dzie-

cięcia. Oboje wybiegli za nimi i tysiąc błogosławieństw i wyrażeń wdzięczności towarzyszyły odchodzącym.

Anna i Bronisława nie wyrzekły ani słowa przez pewien przeciąg czasu, ale przepełnione uczuciem, wzruszone aż do łez, nie mogły wydać słowami tego, co było w ich sercu.

— „Otóż więc, rzekła nareszcie Anna, powiedz mi Bronisławo, czyliż ubodzy ludzie są tak brudni i obmierźli, jak o nich mówią powszechnie?

— „O nie, odpowiedziała Bronisława: i bardzo się cieszę, żem cię spotkała. Zdaje mi się, że jakaś świętość podwyższa duszę moją, czuję wzruszenie dotąd mi nie znane, już się nie brzydzę ubogiemi; wszakże widziałaś, żem wzięła na kolana tego chłopczyka i żem go uściskała? Jakież to piękne i miłe dziecię! ja go już kocham.

— „Biedny Jasio, łzy miał w oczach, gdyś odchodziła. Ci uczciwi ludzie umierali z głodu przed chwilą, wznosili oczy do nieba i błagali pomocy Boga. Przybyłyśmy do nich jak posłańcy miłosierdzia Boskiego; uklękli przed nami jak przed aniołami, którzy im oznajmiają, że ich prośba wysłuchaną została. Nas błogosławiąc i nam dziękując, błogosławili i dziękowali Bogu. Ach! Bronisławo, nasze życie światowe, może być próżne i płoche, lecz łzy radości tych ludzi, nie jeden błąd nasz okupią.

— „Nie rozwodzę się nad tem dłużej, rzekła wzruszona Bronisława, dosyć już słyszałam i pojęłam. Ach! odtąd będę ci towarzyszyć i mieć udział w twoich miłosiernych uczynkach. Tak jest, dziś dopiero poznałam Boską radość, godną niebiosów. Święta dobroczynności! nieszczęśliwemi są bogacze, którzy ciebie nie znają. Iluż to słodkich wzruszeń pozbawiają się dobrowolnie.

RZEŹBIARZ Z CZARNEGO LASU

Powieść Emila Souvestre.

Przełożona z francuzkiego.

Przebiegając Wielkie Księstwo Badeńskie, dostrzegamy podwójne piętno, wyciśnięte na obliczu tej pięknej okolicy. Miły wdzięk, i ponura dzikość, mięszają się pospołu, i dziwnie sprzeczny nadają jej charakter. Zda się jakby Stwórca chciał zjednoczyć w tym szczupłym obrębie ziemi, wszystkie czarodziejskie piękności, rozsiane po Bożym świecie.

Zwłaszcza w blizkości Czarnego lasu, kraj odrębną przybiera postać. Nadreńskie niziny, ściskają się nagle, i zamieniają w wązkie parowy między skałami, których strome wierzchołki podpierają grzbiet wysokiej góry.

Trawa na tych dolinach, zwilżona mnóstwem źródeł mineralnych, wyrasta bujnie jakby zboże; zawsze zielona, utkana w najpiękniejsze polne kwiaty, na pierwszy rzut oka wydaje się jakby wspaniały aksamitny kobierzec, rozesłany u podnóża lasu. Ten las gęsto zarasta całą górę, tworząc tysiące zielonych piramid, rozmaitych kształtów.

Najwyższe tylko szczyty skał wychylają z po za zieleni, głowy nagie lub ubielone wiecznym śniegiem.

Pomiędzy dwoma wzgórkami, w głębi ciasnego parowu, mieskał przed niewielu laty młody człowiek nazwiskiem Herman Klofter, powieść o nim przeszła w usta ludu, starzy radzi ją opowiadają synom, jako zbawienną naukę, podajemy ją tu, ze wszystkiemi szczegółami.

Herman był synem nauczyciela wiejskiej szkoły. Ojciec dał mu dość staranne wychowanie, a nawet nauczył go łaciny. Młodzian umiał też nie źle po francuzku grał biegle na skrzypcach, ztąd w całej okolicy nazywano go Meister Klofter.

Jak wszyscy górale, lubił on od dzieciństwa strugać nożykiem z jodłowego drzewa, różne drobne przedmioty, i coraz bardziej smakował w tej pracy; wyrzynał nawet wcale zręcznie zabawki dziecinne. Będąc raz w Bazylei, nie mógł napaść oczu widokiem pysznych rzeźb gotyckich; odtąd jakby nowy świat otworzył się przed nim; pojął czem jest sztuka, zrozumiał co wytrwałość ludzka, osiągnąć w końcu może. Odtąd uczuł głęboko powołanie swoje; usunął na bok dziecinne cacka, i zaczął wyrabiać z drzewa wszystko, cokolwiek podpadło mu pod oczy; badał naturę w najdrobniejszych szczegółach, naśladował ją wiernie, pracował z niezmordowaną cierpliwością i gorąco umiłował pracę.

Tak sumienne badania i usilne trudy, przyniosły wkrótce owoc. Zrazu, snycerskie jego roboty niepoprawne były i niedokładne; w miarę jak pracował, stawały się coraz wierniejsze, lepiej wykończone i śmielsze; nabrał już pewnej wprawy w wykonaniu, szło tylko o pojęcie trudnych tajników sztuki. Herman władał już formą dowolnie; odtąd uczył się jakim sposobem tchnąć życie w utwory

swej ręki; posiadł naukę, pozostało mu jeszcze dowieść mocy swego geniuszu.

Wtedy powstała owa zacięta walka młodego uczucia, wydzierającego się gwałtem z duszy, przeciw materyi nieugiętej, uporczywej; walka tak chlubna, gdy duch wychodzi zwycięzko, gdy samowolnie włada ręką artysty, a ręka poczyna tworzyć cuda. Zdawało się, rzec można, iż drzewo powolne było myśli Hermana, i że samo układało się według jego woli. Zajęty wyłącznie pracą, pragnął uwydatnić w niej, wszelkie marzenia swoje, przelać w nią całą duszę. Gdy pracował, ręce drżały mu z zapału, nic nie obmyślał, nie obliczał, tworzył tylko wyższem wiedziony natchnieniem. Pojmował sztukę, jako wyraz duszy ludzkiej, w obliczu wszechstworzenia.

Wkrótce zaczęto odróżniać snycerskie jego wyroby, od robót innych pastuszków. Zamawiano je naprzód do Baden, potem do Monachium, Wiednia i Berlina. Kupiec który nabył pierwsze za bezcen, prosił młodzieńca aby mu dostarczał coraz nowych, przyrzekając wynagradzać je lepiej.

Herman, od śmierci ojca, utrzymywał matkę własną pracą, widział więc z radością, że będzie mógł zapewnić jej spokojność na stare lata. Jakoż w rzeczy samej, dobry byt dał się uczuć w chacie: przybyły nowe sprzęty, i świąteczne suknie, a gdy wieczorem nawiedzili dom sąsiedzi, znalazła się i butelka reńskiego wina na ich przyjęcie. Herman wtedy brał skrzypce i towarzyszył matce, a ona świeżym jeszcze głosem śpiewała stare szwabskie pieśni, lub też jaką balladę Szyllera, której mąż ją niegdyś nauczył.

I dnie mijały Hermanowi na pracy i miłych rozrywkach; matka czuwała nad domem, a on wolny od wszel-

kich zabiegów, żył w rozmyślaniu, nie zstępując prawie nigdy z idealnego świata marzeń; mógł więc sam na sam przestawać z własnym geniuszem. Dwie trzecie części czasu, poświęcał sztuce, i zaklęty w czarodziejskie jej koło, nie czuł nigdy dotkliwego starcia z rzeczywistością.

Raz w w wieczór letni, gdy paląc fajkę przed progiem chaty, pociągał smyczkiem po skrzypcach, jakiś konny podróżny zawrócił nagle drożyną.

Był to człowiek obcy, mógł mieć około lat czterdziestu. Z pozoru znać było że należał do wyższego świata. Zatrzymał się o kilka kroków od chaty Hermana, popatrzył w koło przez szkiełko; nareszcie spostrzegł młodziana.

— A! tego mi właśnie potrzeba! zawołał po francuzku.

I zbliżył się ku niemu.

— Czy mógłbyś mi pan powiedzieć, rzekł łamaną niemczyzną gdzie bym mógł znaleźć Hermana rzeźbiarza?

— Ja nim jestem, odrzekł powstając Herman.

— Pan? zawołał obcy człowiek, chwała Bogu, wybornie się układa.

Zsiadł natychmiast z konia, i oddał uzdę, służącemu w liberyi, który właśnie go dogonił.

— Szukałam cię panie Kloffer rzekł uprzejmie. Jestem Francuz... odgadłeś to zapewne z mojej niemieckiej wymowy. Widziałem pańskie rzeźby, i pragnąłbym nabyć ich ile można.

Herman wprowadził go do chaty.

— Tu więc pracujesz pan zwykle? zapytał Francuz obejmując okiem zakopconą izdebkę.

— Tu pod tem oknem, rzekł Kloffer.

To mówiąc ukazał gościowi długi stół, na którym stało kilka sztuk świeżo wykończonych. Pod stołem leżały

bryły ociosanej jedliny. Na murze były porozwieszane dłuta i różne snycerskie narzędzia.

— Jakto! nie masz innej pracowni?

— Nie panie.

Francuz przyłożył szkiełko do oka.

— Cudownie! wybąknął, tworzyć arcydzieła, w takiej lisiej jamie! Ależ panie Herman, na wszystkiem ci tu zbywa; nie masz ani rady, ani bodźca do pracy.

— Staram się naśladować, co mi pod oko podpadnie, odparł Kloffer po prostu; oto są kozy odrobione z natury, tu wół, a tu gruppa dzieci.

— Wyborne! przerwał cudzoziemiec, biorąc koleją przedmioty z rąk Hermana. Jaka miękość, jakie wykończenie... Kupię je chętnie. Jakaż cena?

Herman naznaczył wartość.

— Rzecz skończona: rzekł Francuz, zdziwiony niskością ceny: ale czy uwierzysz mój kochany panie, że aby cię znaleźć poruszyłem i ziemię i niebo? Kupcy, którzy z drugiej ręki sprzedają twoje prace po Niemczech, nie wiedzą nawet twego nazwiska, albo też wyjawić go nie chcą. Nie mogłem w żaden sposób odkryć żyda, co wprost od ciebie zakupuje roboty. Musiałem udać się do naszego ambasadora w Wiedniu, i przez niego powziąść wiadomość w policyi. Nakoniec powiedziano mi twoje nazwisko, a wracając właśnie do Badenwiller, chciałem cię poznać osobiście.

Herman skłonił się na te słowa.

— Nie zgadłbyś sam jaką sławę masz w całych Niemczech, dodał cudzoziemiec; wydzierają sobie twoje rzeźby; widziałem niektóre w gabinecie Księcia Metternicha. Nie myślisz pan zapewne pozostać tu dłużej?

— Przeciwnie panie, odrzekł Herman, nie pragnę wcale opuszczać mego lasu.

— Jakto? A więc chcesz zagrzebać twoją przyszłość? Tu się nigdy wyżej nie podniesiesz.

— Ale tu szczęśliwy jestem, mój panie.

— Szczęśliwy! odparł cudzoziemiec, patrząc przez szkło, na prosty ubior Kloffera; to dowodzi żeś filozof, mój kochany mistrzu; wszakże widzę, że nie masz nawet własnej pracowni. Wyrabiać takie rzeźby, o kilka kroków od komina, gdzie gotują kwaśną kapustę, i smażą wędzoną słoninę? Tylko wy Niemcy stworzeni jesteście, do takiego życia.

— I cóżbym zyskał na zamianie? zapytał Herman.

— Najprzód zyskałbyś sławę! Dotąd świat zna tylko twoje dzieła, nie wiedząc nawet imienia twego. Powinieneś zająć godne siebie stanowisko, mój kochany mistrzu; musisz przedewszystkiem przyjść do majątku.

— Przyjść do majątku! powtórzył Kloffer zdziwiony: a to jakim sposobem?

— Ależ na Boga! temi cackami, zawołał Francuz. Czyliż nie wiesz, że w tych czasach nasi artyści żyją, jak potomkowie pierwszych rodzin? Trzeba ci korzystać z postępu wieku mój Hermanie, musisz przybyć do Paryża! Wprowadzę cię w towarzystwo dziennikarzy, oni zrobią z ciebie Michała Anioła w miniaturze; za dwa lata najdalej, będziesz miał grooma i kabrjolet.

— Czyż to podobna?

— Niezawodnie; a ponieważ przypadek zbliżył nas nawzajem, chcę abyś z tego korzystał. Światło nie może się ukrywać w zaroślach. Wierz mi przyjedź do Paryża.

— Nie mogę myśleć o tem, bąknął snycerz skłaniając głowę.

— A to czemu?

— Mam moje nawyknienia, moich przyjaciół, a przedewszystkiem matkę.

— Paryż zastąpi ci to wszystko.

— Nie, nigdy.

— Zastanów się, proszę cię dodał Francuz, który usiłując przekonać Kloffera, przekonywał sam siebie coraz lepiej; zastanów się że tu żyjesz jak prosty wieśniak. Wydajesz mi się, oto, jak książe, wychowany na ustroniu, który nie wie, że go czeka korona; otoż ja, chcę ci dać tę koronę. Żądam tylko abyś porzucił stare szaty i stary dach, a zapewniam cię że znajdziesz powodzenie i zrobisz majątek. Jakkolwlek jesteś Niemcem, lubisz jak sądzę widowiska i wino szampańskie; wszystko to będziesz miał mój mistrzu, w zamian za twoje piwo. Namyśl się a zabiorę cię z sobą.

Herman miał odpowiedzieć, ale zadrżał nagle i umilkł; oczy jego napotkały przenikliwy wzrok matki.

Wszedłszy przed chwilą wysłuchała rozmowy, a lubo nie umiała po francuzku, oko macierzyńskie odgadło: z pomięszania Hermana, że coś niezwykłego się dzieje.

— Co ci mówi ten cudzoziemiec? zapytała syna rodowitą mową.

— Mówi mi o swoim kraju matko, odparł Kloffer.

— Może chce cię ztąd wywieźć?

Herman skłonił głową na znak potwierdzenia.

— Pamiętaj, zawołała żywo matka, że tu żyją wszyscy którzy ciebie kochają.

— Nie zapomnę o tem, odparł Herman.

— No i cóż? zapytał Francuz, który silił się daremnie, aby zrozumieć tę niemiecką rozmowę.

— Nie opuszczę matki mój panie: odpowiedział Kloffer z powagą.

Cudzoziemiec darmo nalegał jeszcze.

— Już postanowiłem co mam czynić, odrzekł Kloffer tonem żywym i stanowczym: nic mnie nie skłoni do odwołania mego słowa.

Francuz poruszył ramionami.

— Czyń sobie jak chcesz mój mistrzu, ale poświęcasz dobrowolnie całą przyszłość...

A potem dodał:

— Mam w Badenwiller znajome panie, one zakupią od ciebie resztę wykończonych prac twoich; gdybyś mógł jechać ze mną, zdążylibyśmy jeszcze na obiad.

Kloffer, przystał po chwilowem wachaniu, późno powrócił do domu; cudzoziemcy zatrzymali go na obiedzie. Matka chciała go badać, ale on odpowiadał jej krótko, i z tajemną niecierpliwością.

Nazajutrz wziął się smutno do pracy, cały dzień nie wyrzekł ani słowa. Widać było, że postradał dawną pogodę duszy. Zamknął się dziś sam w sobie, jak ptak chory, co opuściwszy skrzydła, nie śmie zanucić piosnki. Matka mniemała że to smutek przelotny i wszelkiemi środkami pragnęła go rozproszyć.

Ale zupełna przemiana spełniła się w młodym snycerzu. Dopóki widywał tylko sąsiadów i przyjaciół, żył jak oni, bez dumnych widoków, poprzestając na znanych i dostępnych uciechach, i nie pojmując innych po za niemi.

Słowa cudzoziemca, odkryły mu świat nowy. Słuchał z razu jego opowieści, jakby tych czarodziejskich bajek, które mu gwarzono niegdyś u kołyski, i nie dowierzał mu zupełnie. Ale nieznajome panie, potwierdziły słowa

towarzysza: jedna z nich nawet stawiła siebie za przykład, przed kilku laty biedna i nieznana jak Herman, winną była sztuce obecne swoje dostatki. Była to słynna spiewaczka.

Na myśl że i on ma taką przyszłość przed sobą, dreszcz mimowolny na wskróś go przeniknął. Daremnie instynkt potajemny szeptał mu, aby się chronił tych ułud zwodniczych. Złe skłonności, długo uśpione, rozbudziły się nagle w jego duszy i śpiewały chórem jakby czarownice Machbeta: „Będziesz bogaty, będziesz sławny," a Herman gotów był uledz, tym upajającym nadziejom.

To co niegdyś żywo go zajmowało, dziś mu było obojętnem. Obraz Paryża stał jakby widmo przed jego oczyma, i rzucał cień ponury, na wewnętrzną jego radość i wesele. Pracował z roztargnieniem: rozpoczynał mnóstwo rzeczy, i nic nie kończył dokładnie, słowem opanowała go niepojęta niechęć.

Ustawiczny niepokój nadwątlił mu siły; wolna gorączka poczęła go trawić. Matka milczała zrazu, ale zatrwożona stanem syna, wyrzekła bez wachania.

— Niech Bóg przebaczy tym cudzoziemcom złe które sprawili mój Hermanie! Przyszli tu nieproszeni, wślizgnęli się jak wąż do ziemskiego raju, i namówili cię, żeś zakosztował owocu z drzewa wiadomości. Ale złe już się spełniło; nie możesz tu dłużej pozostać; idź więc, kiedy my już cię uszczęśliwić nie zdołamy.

Kloffer chciał zaprzeczyć, ale stara matka, nim wyrzekła stanowcze słowo, wprzód spełniła w sercu ofiarę, przełamała wszelkie zapory, z tą miłością i poświęceniem, które Bóg wlał wyłącznie w serce kobiety, w serce matki. W kilka dni wszystko było gotowe. Matka wyprała wła-

sną ręką bieliznę Hermana, ponaprawiała odzież i baczyła pilnie aby mu na niczem nie zbywało. Potem wsunęła mu w rękę większą część oszczędzonych pieniędzy, upominając aby sobie niczego nie żałował.

— Będę strzedz twojej własności jakby oka w głowie, dodała; bądź szczęśliwy jeśli możesz, to jedyne moje pragnienie.

Herman z wdzięcznością przyjął ofiarę matki. Radość jego, ubodła ją w serce. Odtąd jak umyślił jechać do Paryża, odzyskał na powrót zdrowie. Mówił głośniej, śpiewał bez ustanku i pracował z zapałem. Nie chciał przybyć do miasta z rękoma próżnemi, wyrobił więc prześliczną grupę dzieci wiejskich, małe arcydzieło w swoim rodzaju.

Naznaczony dzień nadszedł: pożegnanie było tkliwe, Herman złożył po dwakroć kij podróżny i oświadczył że nie opuści swych progów; ale matka pokonała własną boleść i dodała mu odwagi.

Zmiana miejsca, i coraz nowe przedmioty jakie spotykał po drodze, rozerwały wkrótce młodziana. W miarę jak się oddalał od miejsc rodzinnych, żal ustępował ciekawości. Szedł piechotą, z sękatym kijem w ręku, z torbą skórzanną, zawieszoną przez ramię: im bliżej był celu tem bardziej przyspieszał kroku, a co wieczór zapytywał niespokojny, jak daleko jeszcze do Paryża? Droga zdawała mu się bez końca, nie czuł jednak strudzenia ani nudów: pchany siłą niepokonaną, szedł prosto przed siebie, nie zatrzymując się prawie nigdzie, a nadzieja urocze słowa szeptała mu do ucha. Gdy napotkał pojazd pięknie uprzężony myślał sobie w duchu:

— I ja nie długo tak będę podróżował.

Gdy rzucił okiem na jaki ładny domek ocieniony kwitnącą aleją, szeptał sam do siebie:

— Poczekajmy trochę i ja będę miał taki.

I szedł z bijącem sercem, marząc niestworzone cuda na przyszłość.

Nakoniec po dwudziestu dniach podróży, spostrzegł ciemny pas na widnokręgu, owiany tumanem mgły i dymu. Był to Paryż.

Cudzoziemiec zostawił swój adres Hermanowi, gdy go żegnał w Badenwiller, polecając mu aby się do niego zgłosił, jeśli kiedy przybędzie do Paryża. Młody sznycerz, nie wypocząwszy nawet z drogi, poszedł na ulicę Ś. Łazarza, gdzie mieszkał pan Riol, tak bowiem nazywał się nasz Francuz.

Ten ujrzawszy Kloffera, krzyknął z podziwienia.

— Jesteś tu mój mistrzu? zawołał. Co się stało, czy góra stoczyła się na dolinę? Czy węglarze leśni podpalili twą chatę?

— Maja chata stoi zawsze na miejscu, odparł Herman z uśmiechem.

— A więc przybyłeś tu dobrowolnie?

— Nieinaczej.

— I cóż sprawiło tak cudowną przemianę?

— Pańskie słowa, nic innego.

Paryżanin patrzał zdziwiony na młodego Niemca, który zwolna wyjaśnił mu wszystko.

— A więc rzekł Riol, gdy Herman mówić przestał, a więc kochany mistrzu, przybyłeś do Paryża uganiać się za majątkiem i sławą?

— Chciałbym się trochę dać poznać.

— Bądź spokojny, my ci w tem dopomożemy.

— Liczę rzeczywiście na pańskie rady i na pańską porękę.

— Dobrze robisz, ale przedewszystkiem muszę ci dać poznać słynnych naszych artystów, jutro będę miał kilku z nich na obiedzie, przyjdź także i przynieś z sobą twoje prace.

— I owszem.

— Do jutra więc, ale się nie spiesz, bo my jadamy obiad wtedy, gdy wy wieczerzacie w waszych Niemczech.

— Do jutra więc, o siódmej.

— Tak nieinaczej. Podali sobie ręce przyjacielsko i rozłączyli się niebawem.

Herman przez resztę dnia szukał mieszkania i stołu. Przebiegał potem paryzkie ogrody i place, podziwiał piękność posągów i z zachwyceniem przyglądał się pomnikom.

Nazajutrz o godzinie naznaczonej przybył do pana Riol. Zastał dwunastu młodych ludzi, którym go przedstawił gospodarz.

Przyniósł Herman z sobą ostatnie prace swoje. Grupa dzieci, ściągnęła mu niezliczone pochwały. Obecnemu malarzowi przypominało to dzieło, prace słynnego Benwenuto Cellini, rzeźbiarz porównał Hermana z Dominikiem, dziennikarz uścisnął mu rękę i oświadczył, że nazajutrz ogłosi go w feuilletonie za nowego Kanowę z Czarnego lasu.

Zasiedli wszyscy do stołu, a rozmowa toczyła się, wyłącznie o malarstwie i rzeźbie. Herman słuchał z podziwieniem tego co mówiono. Obecni skarżyli się na upadek sztuki i na skażenie powszechnego smaku, przez co artyści musieli fałszywą obrać drogę. Jeżeli starożytni

byli takiemi olbrzymami w sztuce, oni zaś tak dziś, skarłowacieli, wina cała, według nich jedynie leżała w zmianie czasów. Dziś bowiem jeniusz niezrozumiany, talent niepodobny. I wszyscy żałobnym chórem powtarzali, spełniając do dna długie kieliszki spienionego szampana: „Sztuka umiera, sztuka umiera! niestety!“

Za przyczynę tego upadku jedni stawiali cywilizacyą inni dzienniki.

— Sami siebie tylko chcą widzieć bez winy: rzekł dziennikarz pół-głosem, pochylając się ku Hermanowi; nie myślą o tem że smak ogółu wyrabia się według tego co mu podają, że jeżeli się popsuł, oni sami temu winni, gdyż powinni go byli oświecać i prowadzić ku prawdzie.

Myślisz pan może, iż ci szermierze słowa, są rzeczywiście miłośnikami sztuki, ręczę za to, że żaden z nich nie chciał by być Korredżjem, z warunkiem żeby miał pracować i umrzeć w nędzy jak ten mistrz nieśmiertelny. To dziś zabija sztukę, że nie dla niej, ale przez nią chcą żyć artyści, to, że ilu nas tu jest, mamy więcej pychy i próżności, niżeli serdecznego zapału, nie szukamy w sztuce *piękna*, ale pożytku.

Po objedzie wrócono do salonu i znowu podziwiano piękną grupę Hermana. Wszyscy jednak żałowali, że młody snycerz nie obrał innego przedmiotu. Dzieci wyszły już z mody; było już kilka arcydzieł w tym rodzaju. W tej chwili miały wyłączną wziętość przedmioty z średnich wieków; poradzono więc Hermanowi, aby oddał w rzeźbie scenę z jakiej starej niemieckiej ballady.

— Dziwi to pana, rzekł dziennikarz z uśmiechem.

— Rzeczywiście, rzekł Kloffer, mniemałem dotąd że tylko doskonałość wyrobienia stanowi wartość utworu.

— Te wyobrażenia wyniosłeś z Czarnego lasu, mój ko-

chany mistrzu; my tu postąpiliśmy dalej. U nas nie tyle wewnętrzna wartość popłaca, jak raczej trafne zastosowanie się do pory. Przed dziesięcią laty, artysta jeden zdobył sławę malując trójgraniasty kapelusz na skale, w kształcie serca. Myśl była śmieszna, ale odpowiadała ówczesnym marzeniom; ogół nie żądał nic więcej.

— A więc tu nie trzeba badać tajemnic sztuki, ale raczej uważać zkąd wiatr wieje?

— Słusznie mówisz, mój mistrzu. Malarze, snycerze, pisarze, są tu tylko kramarzami nowości. Moda zapewnia im powodzenie, muszą radzi nie radzi płynąć z wodą.

— O! nie tak ja pojmowałem sztukę, szepnął Herman i zniechęcony powrócił do hotelu.

Pan Riol tymczasem dotrzymał słowa, wszędzie przedstawiał niemieckiego artystę, ułatwił mu stosunki z kupcami i amatorami, pośredniczył w wielu obstalunkach. Herman nie był nigdy tak bogaty; ale to bogactwo okupił swobodą. Wskazywano mu przedmioty do pracy, objawiano dziwne wymagania. Biedny artysta był nie raz na torturach. Dotąd słuchał tylko polotu własnej myśli, uwydatniał dłutem osobiste wrażenia, tworzył sam bez namysłu, jak czuł, jak widział, pragnąc w dzieło swoje przelać cząstkę własnego ducha. Jak ptak swobodny przywykł krążyć po całej nieba przestrzeni, gdy tymczasem teraz ciasne i ograniczone zakreślano mu koło. Pierzchła więc jak sen błoga radość artysty. Niegdyś pracował z natchnienia, dziś musiał pracować na zadanie. Po raz piewszy przekonał się, że nudota i niechęć, mogą towarzyszyć pracy.

Jednego poranku, gdy Kloffer wykończył mały posążek nie dawno zamówiony, dziennikarz który był na objedzie u Riola, wszedł nagle do pokoju.

Karol Duvert przynosił przegląd, z wydrukowanym artykułem o Hermanie.

— Nie wiem czy pana zadowoli, rzekł, ale powszechne sprawił wrażenie.

— Ciekawy jestem, coś pan mógł powiedzieć o biednym strugaczu jak ja: rzekł Herman, otwierając dziennik.

— Sądzę, żem pana w dobrem postawił świetle, dorzucił Duvert.

— Nie rozumiem jakim sposobem?

— Czytaj pan.

Kloffer zbliżył się do okna i przebiegał oczyma artykuł. Był to obrazek fantastyczny, w którym pod pozorem sprawozdania z talentu nieznanego artysty, opisano jego życie romansowo, z dodatkiem wielu cudownych przygód, nieznanych tak Hermanowi jak i publiczności. Karol Duvert spostrzegł zdziwienie młodego Niemca.

— Byłem tego pewny! zawołał z uśmiechem: takiej biografii nie spodziewałeś się mój kochany mistrzu; uczyniłem z ciebie bohatera w rodzaju Hofmanowskim.

— W rzeczy samej rzekł Herman urażony, doprawdy nie zgaduję powodu.

— Powodem mój bohaterze jest niedorzeczność publiczności, która lubi tylko niepodobne do prawdy bajki. Czyżby artysta obudził ciekawość powszechną, gdyby życie jego podobne było do życia wszystkich ludzi? Trzeba przecie żeby miał jaką tajemniczą historyę. Gdybym rozpoczynał na nowo mój zawód, ogłosiłbym się jako nowy Kacper Hauzer, lub jako dziki człowiek z Orenoki, a nie powiedziałbym po prostu że jestem synem mego ojca. Przypomnijmy sobie tylko powodzenie Paganiniego, otóż z całego tego tłumu co się cisnął za nim, trzecia część zaledwie przybiegała w celu aby go usłyszeć i oce-

nić, inni chcieli zobaczyć człowieka okrzyczanego, opisanego po dziennikach, który jak mówiono zapisał duszę czartu i za nią otrzymał w darze geniusz.

— A więc, przerwał Herman, kłamstwo jest pierwszym warunkiem chwały?

— Nie chwały, ale słynności mój mistrzu. Chwała to zupełnie co innego, ona umie odszukać człowieka w najgłębszej kryjówce; co więcej, odgrzebie go i z grobu. Byłaby też kiedykolwiek znalazła ścieżkę i do Czarnego lasu; nie dziś to jutro, a choćby i za sto lat i byłaby zapisała twe imie na swojej tablicy; ależ tu idzie tylko o powodzenie i majątek. Zajmijmy się sztuką jak drudzy potocznemi sprawami. Pierwszym warunkiem dla każdego kupca jest, żeby miał szyld, którymby znęcał kupujących. Zobaczysz niezadługo skutek mego artykułu.

W tej chwili odźwierny hotelu wszedł z uwiadomieniem że pan Lorieux, chce widzieć młodego snycerza.

— Lorieux? zawołał Duvert, a co czy nie mówiłem? przeczytał dziennik i przyszedł zamówić robotę.

— Myślisz pan?

— Pewien jestem tego. Ale trzymaj się mistrzu, im drożej zapłaci, tym lepiej uwierzy w twój talent.

Wprowadzono kupca. Przyszedł rzeczywiście z *propozycyą* do Hermana; ale zadziwił się widząc skromny pokój, w którym pracował młody snycerz. Patrzał dość obojętnie na jego roboty. Duvert spostrzegł to od razu.

— Szkoda, że tu rozkładasz twoje dzieła mistrzu, rzekł do Hermana, światło fałszywe, trudno więc ocenić delikatność dłuta. Gdyby pan chciał przejść do pracowni.

— A! pan ma pracownię? zapytał kupiec.

— Niezupełnie jeszcze gotową, odrzekł dziennikarz, dla tego mieści się tymczasowo w takiej ciupie. Ale za

kilka dni będzie miał najpiękniejszą pracownią, że wszystkich paryzkich rzeźbiarzy, prawdziwą galeryą włoską, z widokiem na ogród ma płacić trzy tysiące franków za lokal. Nasi artyści żyją dziś jak książęta.

— A my jesteśmy ich bankierami, dorzucił kupiec i roześmiał się na całe gardło.

— Mów pan raczej ich intendentami... Ich prace przechodząc przez ręce wasze, zbogacają was. Ale zapomniałeś mój mistrzu, że na ciebie czekają; skończ co prędzej interes z panem, proszę cię.

Te słowa wyrzekł tonem tak lekkim i tak pewnym, że Kloffer odurzony sam nie wiedział co odpowiedzieć. Kupiec słuchając ich zmienił zupełnie obejście, oświadczył Hermanowi życzenie, na które on przystał od razu i odszedł pożegnawszy go uprzejmie.

Skoro się usunął, Duvert padł na krzesło i wybuchnął śmiechem.

— Na Boga! co znaczą te żarty, cóżeś mu pan odpowiedział? zapytał Kloffer.

— To wcale nie żarty, odrzekł dziennikarz, bo jeżeli pan nie masz dotąd pracowni musisz ją mieć koniecznie.

— Jakto?

— Czyżeś nie spostrzegł jakie wrażenie sprawił twój dom zajezdny, na poczciwym handlarzu? Widząc cię w tak nędznej izdebce, ledwie że nie odszedł, nie nabywszy nic zgoła.

— Cóż tu ma mieszkanie do tego, kiedy widział moje prace?

— Mój Boże, mistrzu jesteś zawsze Niemcem. Czyliż nie wiesz, że aby ocenić dzieło, trzeba trochę więcej nauki niż jej posiada ten człowiek? Wreszcie co panu Lorieux po zasłudze? On chce tylko wziętego snycerza, którego

wyroby mógłby sprzedawać drogo; a wszakże zbytki artysty są najlepszym dowodem jego powodzenia? Zapominasz zawsze panie Herman, że nie jesteś już w Czarnym lesie, gdzie pracowałeś według upodobania, ale w Paryżu, gdzie pracujesz stosownie do smaku i woli drugich.

— Niestety! masz pan słuszność rzekł Kloffer z westchnieniem.

— Masz oto naukę, dodał Duvert. Nie możesz tak żyć samotnie jak dotąd; musisz się pokazywać w świecie. Wieczór spędzony w świetnem towarzystwie, więcej przyczyni się do wziętości twojej niż wykonane arcydzieło.

— A więc rzecze Herman, nie dość żem stracił swobodę natchnienia, nie mogę nawet żyć swobodnie według woli.

— Trzeba ci powodzenia przerwał Duvert, wszystko na tem polega. Odtąd powinieneś mieć jeden cel, jedną myśl wyłączną.

Kloffer usiłował iść za radą Duverta i poznał od razu całą jej słuszność. Sława jego w kilku miesiącach wzrosła nad wszelkie spodziewanie, a wraz z nią podniosła się i cena jego wyrobów.

Artykuł Duverta przyjęto jako rys biograficzny. Imie młodego Niemca z ust do ust przechodziło; opowiadano romansowe przygody jego życia; wkazywano go sobie na przechadzkach i teatrach, roztrząsano jego opinie i zwyczaje.

Herman porwany pędem mody, pchał łódź swoją w tym odmęcie. Zarody pychy, które drzymały dotąd w jego duszy, rozbudziły się nieznacznie. Tak głośno mówiono o jego geniuszu, że on sam uwierzył w siebie nakoniec i przyjął uwielbienie powszechne, jako hołd przynależny.

Nieszczęściem, powodzenie takie musiało obudzić zawiść. Dotąd Herman znał tylko same słodycze sławy. niebawem poznał i gorycz jej ukrytą.

Artykuł zamieszczony w dzienniku nieprzyjaznym temu, w którym pisał Duvert, zaczepił Hermana, rozbierając surowo jego prace. Przedmioty które wykonał po przybyciu do Paryża, nie miały już tyle naiwnego wdzięku, jak pierwsze jego próby. Zwichnięty w polocie ducha, pracując dla zarobku, zbity z tropu dziwnem wymaganiem świata, pracował pospiesznie i bez zamiłowania. Wymawiano mu to z obłudnym żalem, wykazywano jeden po drugim wszystkie błędy dostrzeżone w nowych jego utworach, znieważono artystę, czyniąc mu zarzut chciwości.

Te pociski ubodły w samo serce Hermana. Nieprzyjaciele dowiedzieli się o tem i odnawiali je naprzód co miesiąc, potem co tydzień, a nakoniec i codzień. Przyszło do tego, że ilekroć młody rzeźbiarz rzucił okiem na *pewien feljeton*, tylekroć znalazł haniebny jaki zarzut, lub też krwawą przygryzkę. Przysądzano mu niedorzeczne słowa i śmieszne przygody; wystawiano osobę jego na szyderstwo świata.

Herman w pierwszym zapale pragnął zemsty. Duvert przekładał mu spokojnie, że to było właśnie dowodem powodzenia. Wszakże tych samych środków, których użyli niegdyś przyjaciele chcąc go wprowadzić w modę, użyli teraz wrogowie, aby go ośmieszyć. I cóż w tem dziwnego? Było to koniecznem i nieuchronnem następstwem. Ale Herman nie mógł patrzeć bez oburzenia na te osobiste pociski. Czuł wreszcie, że w owych złośliwych szyderstwach kryła się cząstka prawdy. Zawiść

dała jasnowidzenie wrogom, wiedzieli zatem jak wymierzyć pocisk, aby sercu najdotkliwszą zadać ranę.

Kloffer bronił się zrazu gorliwie przeciw tej ćmie jadowitych os, pastwiących się nad nim bez przestanku. Próżno usiłował wznieść się nad prześladowania. Dusza jego przyzwyczajona do spoczynku i ciszy, gwałtownego doznawała wstrząśnienia; wpadł w smutek głęboki i zachorował ciężko. Usilne starania lekarzy przyniosły mu wreszcie ulgę po kilku miesiącach cierpienia. Riol namówił go na podróż do Włoch, czem młody artysta pokrzepił znacznie, gasnące siły.

Za powrotem, znużony długą bezczynnością uczuł nową chęć do pracy; przedstawił się kupcom i amatorom, ale ci ledwie że go poznali. Przybył właśnie z Florencyi nowy rzeźbiarz, który wyrabiał posążki z porcelany i pozyskał wziętość powszechną.

Herman poszedł do Duverta, opowiedział mu nagłą zmianą. Dziennikarz wzruszył ramionami.

— Co chcesz mój mistrzu? rzekł, wziętość jak fortuna toczy się kołem. Trzeba bić żelazo póki gorące. Dosyć sześciu miesięcy aby pójść w zapomnienie; nie potrzebnieś wyjeżdżał.

— Musiałem to zrobić dla zdrowia.

— Człowiek w modzie, mój mistrzu, nie ma prawa chorować. Nasze społeczeństwo to istne pole bitwy, ktokolwiek opuścił szeregi, choćby na dzień, na godzinę, już tem samem utracił stanowisko.

— Ale wszakże mam prawo odzyskać je napowrót?

Duvert skinął głową.

— Twoje imie, twoja osoba znane są wszystkim na wylot. Talent twój stracił już cały urok nowości, nie możesz nic liczyć na ciekawość powszechną, która w świecie

zastępuje nieraz uwielbienie: dziś mówią o tobie jakby o nieboszczyku.

— Ależ to okropnie! zawołał Herman. Jakto? a więc rok czasu odebrał mi...

— To co rok czasu ci nadał: przerwał Duvert. I czemuż się tak dziwisz? Moda przemija rychło.

— I cóż teraz czynić?

— Radź sobie mój kochany mistrzu; zostań malarzem, poetą lub aktorem: będzie to zupełne przeistoczenie; kto wie, może ogół nawróci się znów ku tobie.

Herman nie odrzekł nic; pożegnał dziennikarza i odszedł. Zrazu widział przesadę w tych słowach, przekonał się jednak niebawem, że dziennikarz mówił prawdę. Przywykłszy do ciągłego tryumfu, trzeba mu było przejść przez wszelkie stopnie upokorzenia, znieść wstyd i boleść, widząc się zupełnie zapomnianym.

Były to próby nad siły Hermana. Walczył czas jakiś, aż nakoniec dnia jednego obrażony i rozdrażniony nową zniewagą, pobiegł do pracowni, kazał przywołać kupca, sprzedał wszystkie swoje prace, popłacił długi, wziął w rękę kij sękaty, który niegdyś zawiesił nade drzwiami, jako godło.

Dość już upokorzenia, rzekł sam do siebie, dalej w drogę do lasu.

I wyszedł z Paryża tąż samą rogatką, którą przybył cztery lata temu! Ale niestety, wszystkie piękne nadzieje pierzchły jak sen; przybył tu szczęśliwy, młody i silny, odchodził z rozpaczą w sercu, z czołem pooranem zmarszczkami, z zarodem nieuleczonej choroby.

Z trudnością przyszło mu przebywać daleką drogę. Rozmiękczony życiem paryzkiem odwykł zupełnie od ruchu i od słońca. Nie czuł w sobie tej młodzieńczej siły, co

tak dzielnie pcha naprzód ufnego młodziana. Nie raz musiał odpoczywać w drodze. Zatrzymawszy się w jednem mieście nieco dłużej, uwiadomił matkę o rychłym powrocie.

Snadno domyśleć się, z jaką radością dobra matka otrzymała list, na kilka godzin przed zapowiedzianym przybyciem syna. Ale radość jej znikła, gdy ujrzała okropną zmianę Hermana. Po jego wybladłej twarzy i przymglonem spojrzeniu, odgadła jak bolesnego doznać musiał zawodu, zrozumiała że nie miłość synowska, ale rozpacz przywiodła go w rodzicielskie progi. Nie czyniła mu jednak nadaremnych pytań. Herman rzucił się sam w jej objęcia.

— Otóż jestem matko! zawołał, już cię odtąd nigdy nie odstąpię.

Dość jej było na tem. Odtąd nic nie szczędziła, byleby syn odzyskać mógł przy jej boku, utraconą swobodę.

Z prawdziwie niewieścim i macierzyńskim instynktem, otoczyła Hermana wszystkiem co niegdyś lubił, urządziła mu najlepszą izdebkę w chacie, zapraszała starych przyjaciół i sąsiadów, aby ją odwiedzali i rozweselali domowe jej ognisko. Chata świąteczną przybrała postać; uczty i uroczystości następowały w ślad po sobie. Herman na to nie zwrócił nawet uwagi! Czemże były te zabawy w obec świata jaki opuścił? Brzmiała mu ciągle w uchu wrzawa salonów, wśród której słyszał powtarzane tylekroć swoje imie; porównywał nieustannie obecne życie, tak ciche i zapomniane, z blaskiem, jaki niedawno go otaczał. Dusza jego straciła dawno prostotę, dawny spokój. Biedny! poznawszy całą czczość fałszywych świata ułud, nie mógł już zasmakować w ciasnych uciechach domowego pożycia.

Biedna matka poznała wkrótce, że usiłowania jej są

daremne. Herman posmutniał jakoś i upadał coraz bardziej równie na duchu jak i na ciele. Wkrótce siły tak go odstąpiły, że nie mógł nawet wychodzić z chaty.

Matka przerażona pobiegła po doktora.

Lekarz zbadał młodziana uważnie, przepisał mu spoczynek i rozrywkę. Biedna niewiasta wyszła za nim gdy odchodził.

— Pan mi nic nie powiesz? zagadnęła z cicha, patrząc niespokojnie w oczy.

Doktór wahał się z odpowiedzią.

— Mów pan prawdę! zawołała rozpaczliwie.

— Prawdę? wybąkał doktor.

— Chcę ją wiedzieć koniecznie.

— Dobrze więc... Poszlij pani po księdza... Matka krzyknęła i jakby rażona gromem, upadła na kolana.

Ksiądz przybył nazajutrz pod pozorem jakiegoś obstalunku. Herman uśmiechnął się boleśnie: czując postęp choroby, zrozumiał powód tych odwiedzin. Otworzył mu serce, opowiedział wszystko co przebył i zakończył temi słowy.

— W tej chwili czuję się uleczony. W obec śmierci poznaję prawdę. Bóg dotknął mnie i słusznie! Chciałem zamienić niebiańskie uciechy sztuki, za korzyści jakie daje majątek, sława i próżność. Poświęciłem rodzinne uczucia i ciche szczęście gorączkowej dumie. Prędzej czy później musiałbym odnieść karę. Bodajby moje doświadczenie było nauką dla drugich. Jeżeli kto złudzony jak ja, zechce opuścić naszą cichą dolinę i szukać szczęścia w zgiełku wielkiego miasta, opowiedz mu ojcze moje dzieje. Powiedz jak drogo opłaca chwilowe powodzenie ten, kto pracuje dla zysku nie dla miłości sztuki; albowiem tylko serca proste i ciche, zakosztować mogą na ziemi wesela i spokoju.

JASKÓŁKA.

Od najdawniejszych czasów ta uprzywilejowana ptaszyna w wielkiem była poszanowaniu u ludu. W starożytności otaczano ją czcią religijną, uważano jako miłą bóstwu, obywatelkę nieba. Tkliwy ten przesąd, dotąd się utrzymuje, jakby przypomnienie złotego wieku, kiedy człowiek żył w zgodzie ze stworzeniami Bożemi, kiedy pomiędzy niemi nie wybierał ofiar, i sam nie bywał jeszcze ich pastwą.

Piękny to był instynkt ludu, co go wiódł drogą miłości, i natchnął mu poszanowanie, dla istoty słabej i niewinnej.

Jaskółka słusznie zjednała sobie nazwę przyjaciółki człowieka. Nie potrzebuje go bynajmniej, a jednak ustawicznie go szuka. Ulepia sobie gniazdko z cudowną niemal sztuką, może obrać mieszkanie, gdzie jej się tylko podoba: wszędzie gdzie jest słońce, gdzie płynie woda, a nad nią krążą owady. Ona jednak przekłada miasta nad samotne lasy i zarośla, woli domy ludzkie niż skały, sadowi się rada, w około komina, lub pod oknem, częstokroć na poddaszu, a niekiedy nawet i w mieszkalnej izbie, gdy wie że dozna gościnnego przyjęcia. Lud też chętnie ją przyjmuje pod strzechę. Miejscami przytwierdzają jej umyślnie gliniane gniazdeczka do muru, a ptaszyna odgadując ich przeznaczenie, urządza je wewnątrz po swojemu i chętnie w nich obiera mieszkanie. Za tak uprzejme przyjęcie wypłaca się jak może, oczyszczając chaty, z natrętnych i szkodliwych owadów.

Jaskółka lepiej w tym względzie służy człowiekowi, niż każda inna ptaszyna, karmi się bowiem wyłącznie żywemi owadami. Ztąd wynikają, jej ustawiczne wędrówki. Jeżeli opuszcza nas zimą i szuka cieplejszego nieba, to bynajmniej nie przez bojaźń zimowego chłodu. Dobrze odziana gęstym pierzem, cały dzień trawiąc w ustawicznym ruchu, w nocy utulona z rodziną w miękkiem i ciepłem gniazdku, żartowałaby sobie z zimna, gdyby mróz zimowy, nie odbierał jej środków pożywienia. Ale trzeba żyć przedewszystkiem, aby zaś wyżyć trzeba koniecznie polować; jaskółka szuka więc atmosfery, dobrze zaopatrzonej w zwierzynę, w każdem bowiem miejscu i czasie zajmuje się łowami: życie jej nieustannem jest polowaniem.

Jaskółki żywią się skrzydlatemi owadami, które chwytają w przelocie. Ale ponieważ te owady, krążą w wyższych lub niższych warstwach powietrza, stosownie do stanu atmosfery, zdarza się niekiedy, że chłód lub słota, zbijają je ku ziemi, i nie dopuszczają wznieść się w górę na zmokłych skrzydełkach. Jaskółki wtedy latają nisko, szukając owadów w trawie lub na badylach a niekiedy nawet i na miejskim bruku, czasami nawet muskają skrzydłem wodę, i zanurzają się w niej do połowy, goniąc

wodne żyjątka. W czasie wielkiego głodu, przebijają dziobkiem siatki pajęcze i biednym pająkom wydzierają gwałtem zdobyte przez nich łupy, a w ostateczności, i ich samych pożerają. W każdym razie, łowna ptaszyna, tropi bezustanku skrzydlatą pastwę. Znajdują w jej żołądku szczątki much, koników polnych, chrząszczów, motylów, a niekiedy nawet i drobne kamyczki, co dowodzi że nie tylko w locie chwyta owady, ale je czasem podejmuje z ziemi.

Rzadko to jednak się zdarza. Jaskółka kiedy nie spoczywa w gniazdku, lata prawie bez przerwy, w locie snadź najswobodniejszą się czuje. Nóżki wątłe i krótkie, żadnej prawie nie niosą jej pomocy; nigdy nie podskakuje jak inne ptaki; rzadko kiedy także i to w ostateczności, siada na ziemi, bo z ziemi trudno jej podlecić w górę. Jeżeli spocznie w locie, to chyba na wysokiem miejscu, na dachu lub suchej gałęzi, powietrze prawdziwym jest jej żywiołem, żyje w niem jak ryba w wodzie, pływa w przestrzeni lekko i swobodnie, z niezrównanym wdziękiem a bez najmniejszego utrudzenia.

Lot jest niejako przyrodzonym, koniecznym jej stanem. Lecąc je i pije, lecąc kąpie się a niekiedy nawet karmi drobne pisklęta. Mniej chyża od sokoła, przewyższa go łatwością i swobodą lotu; gdy on porze przestrzeń z siłą, ona mknie leciuchno przez powietrze, jakby czuła że tam jej świat, tam właściwa jej dziedzina. Lata w rozmaitych kierunkach wesołem świergotaniem objawiając radość, to muśnie ziemię lub wodę drobnem skrzydłem, to wzleci w górę i zniknie po za mgłą obłoku, to goni ochoczo za łupem, to znów ucieka sama przed szponami drapieżnego ptaka; a kierując się samowolnie w powietrzu, kreśli najdziwniejsze gzygzaki i kółka.

Wyliczono do siedmdziesięciu gatunków jaskółek. Z pomiędzy wszystkich, najbystrzejsza w locie, jest jaskółka kościelna (Martinet). Smutny to ptak z pozoru okryty czarnem pierzem, dziobek ma krótki i rozwarty szeroko, nóżki mniejsze jeszcze niż zwyczajnej jaskółki, ogon długi widełkowaty. Skrzydła krzywe i zaostrzone, jakby dwa ostrza kosy. Jest to prawdziwy król przestrzeni. Siłą lotu wyrównywa *fregacie*, a przewyższa ją jeszcze, niezrównaną giętkością. Jaskółki kościelne mają gniazda, w których znoszą jajka i wysiadują młode, ale w ogóle mało w nich przebywają. Chyba tylko podczas kanikuły, w najskwarniejszy upał letni, spoczywają w nich po parę godzin; zresztą, tak dniem jak nocą, bujają ciągle w powietrzu. Ku wieczorowi, obiegłszy wielokrotnie dzwonnice i wierze, wzbijają się w górę i nikną w wysokiej przestrzeni, gdzie ani oko ludzkie, ani skrzydło innego ptaka, dosięgnąć ich nie zdoła. Tam przebywają noc całą, a nazajutrz dopiero, z pierwszym brzaskiem zorzy, zstępują pojedynczo na nizinę. Badacz wiarogodny, Spallanzani, utrzymuje, że wychowawszy pisklęta, jaskółki kościelne ulatują w górę i żyją na powietrznej fali, bez spoczynku i oparcia, aż do czasu gdy słota jesienna, wygna je po za krańce Europy.

Inny badacz, niemniej biegły Lavaillant, badał w Afryce rodzaj jaskółki, którą dla szybkiego lotu, nazwał *Velocifere*. „Ze wszystkich znanych mi ptaków, mówi on, ten ma lot najbystrzejszy; przebiega bowiem w pięciu sekundach, przestrzeń długą na trzysta sążni, jak się o tem naocznie przekonałem. Gdyby mógł w ten sposób lecieć bez spoczynku, obiegłby w piętnastu dniach, całą kulę ziemską".

Oprócz szybkości lotu niesłychanej, natura dała je-

szcze tej ptaszynie wzrok nadzwyczaj bystry. Spalanzani udowodnił, że jaskółka nie ustępuje w tym względzie drapieżnym nawet ptakom, mianowicie zaś jaskółka kościelna, tak przenikliwe ma oko, że spostrzega skrzydlatą mrówkę, w oddaleniu stu metrów, (300 stóp).

Jaskółki przylatują zwykle do nas na wiosnę, a odlatują z początkiem jesieni. Każdy czeka niecierpliwie tych miłych zwiastunek wiosny i żegna je ze smutkiem. Wszystkie jednak nie przylatują i nie odlatują równocześnie; naprzód zjawiają się te które lepią gniazdka koło okien, po nich przybiegają drugie, i gnieżdżą się do koła kominów; jaskółki kościelne przylatują ostatnie. W początku października, odbiegają stadami, prędzej czy później, stosownie do stanu powietrza. Jest mniemanie powszechne, że te ptaszyny przeczuwają głód i słotę i instynktem, przyspieszają lub opóźniają czas odlotu.

Sławny historyk Michelet w świeżo ogłoszonem dziełku p. n. ptaki, tak mówi o jaskółce:

„Gdy byłem w Nantles 1851 roku w październiku, pora piękna była jeszcze, mnóstwo owadów krążyło w powietrzu, jaskółki więc miały jeszcze dostatkiem pożywienia. Uważałem jednak jak przezorna rzesza, sejmikowała dość burzliwie, na dachu kościoła świętego Feliksa nad Loarą. Czemu narada odbywała się w dniu tym a nie innym, nikt domyśleć się nie mógł. Wkrótce jednak zrozumiałem przyczynę".

„Niebo piękne było w poranku, wiatr tylko powiewał od Wandei. Jodły jęczały żałośnie; pod oknami memi, cedr szemrał ponuro; dojrzałe owoce spadały same na ziemię z grusz i jabłoni, a my zbieraliśmy je skrzętnie. Wkrótce chmury pokryły niebo, wiatr ustał, na Bożym świecie głucho było i ponuro. Wtedy to około godziny

czwartej, ze wszystkich stron równocześnie i z bliskiego boru, i z miasta, i z nad rzeki, zbiegły takie zastępy jaskółek, że przyćmiły blask dzienny, i spadły wszystkie na kościół, z przeraźliwym piskiem i krzykiem. Nie rozumiejąc ich języka, zgadywałem jednak, że się toczy jakiś spór zacięty. Zapewne młode, złudzone ciepłem powiewem jesieni, chciały pozostać dłużej na miejscu. Ale starsze, lepiej doświadczone, radziły odlecić co prędzej: odniosły wreszcie zwycięztwo, czarne ćmy ptaków, poruszyły się razem, jakby olbrzymia chmura i poleciały w południowo wschodnią stronę, ku Włochom. Nie były dalej jak o trzysta mil francuzkich, gdy wieczorem po ich odlocie, okropna spadła ulewa. Zdawało się, że Bóg otworzył znowu wszystkie nieba upusty i chce ziemię powtórnym zalać potopem. Schronieni pod dach, drżący od pocisków szalonego wichru, wielbiliśmy przezorność tych skrzydlatych wieszczków, co tak bacznie uprzedzili porę zwykłego odlotu.

Widoczną było rzeczą, że nie głód wyganiał je w dalekie kraje. W obec przyrody, pięknej jeszcze i bogatej, przeczuły właściwą porę wędrówki. Nazajutrz byłoby już za późno; wszystkie bowiem owady zbite ulewą; zniknęły bez śladu; te które przetrwały burzę, schroniły się żywcem w głąb ziemi.

Strefa umiarkowana wschodnia, jest rzeczywistą ojczyzną jaskółek. Tu ich właściwe mieszkanie, tu rodzinne ich gniazdo. Jeżeli co rok ciągną do Afryki, to tylko na czasową, kilkomiesięczną podróż, mozolną lecz konieczną wędrówkę, którą chętnieby skróciły gdyby mogły. Adanson uważał je w Senegalii, przekonał się, że noce trawią na dachach domostw, lub na piaskach nadmor-

skich, a gdy pora pozwala na to, lecą do ulubionych swych ognisk.

„Rodzice przekazują puścizną gniazda swym dzieciom i wnukom, uważa Michelet. Powracają co rok w jedne miejsca, pokolenia następują po sobie w nieodmiennym porządku.

Ztąd ta wędrowna ptaszyna, stała się godłem domowego ogniska. Tak przywyka do miejsca, że choć jej zburzą gniazdko, inne pod tymże dachem ściele sobie na nowo; wierna starym pamiątkom. Słusznie więc zowią jaskółkę, ptaszyną powrotu.

Udowodniono w ostatnich czasach, że nie wszystkie jaskółki przedsiębiorą zimową wędrówkę. Niektóre z nich, mieszkanki południowych stron, gdzie głód nie tyle dokucza, bezpiecznie pozostają na miejscu. Inne znów, obywatelki północy, przebywają zimą w gniazdkach, w stanie letargicznego uśpienia. Zimują tak jak niektóre zwierzęta ssące. Pierwszy promień słońca, rozbudza je i przywraca do życia.

Jaskółka więc, w najwyższym stopniu czuje miłość rodzinnego gniazdka. Nie jest to wcale miłość samolubna, bo wszakże gdy raz skrzydełka rozwinie do lotu, mało już odtąd w domu pozostaje. Kocha więc gniazdko, jako kolebkę drobnych piskląt, jako miłą rodzinną ostoję. To też ze szczególnem staraniem jaskółka buduje i wyściela swój domek. Powłokę zewnętrzną zwykle ulepia z ziemi pomięszanej z wapnem i słomą, wewnątrz zaś ściele je jak może; puchem, watą i piórkami; kształt gniazdka bywa rozmaity. U kominów tworzy zazwyczaj półkole, przy oknach stanowi czwartą część koła, a przypierając wierzchem do gzymsu lub strzechy, ma tak maleńki otwór,

że ledwie jedna ptaszyna od razu przecisnąć się nim może.

Niektóre odmiany jaskółek, mniej ucywilizowane i towarzyskie, a leniwsze, gnieżdżą się w rozpadlinach skał, po pniach starych drzew, lub też wykopują się w nadbrzeżne piaski, i budują w nich długie galerye podziemne.

Zdarza się nie raz czytać w opisach podróży, że Chińczycy, łakomi są na jaskółcze gniazda. Ależ te gniazda ulubione Chińczykom, inne są zupełnie od naszych. Lepią je jaskółki zwane salangane, na wyspach Indyjskiego Archipelagu, z massy klejowatej, której własności nie dosyć jeszcze poznano. Według prawdopodobieństwa, jest to albo rodzaj porostu morskiego, zwanego gelidium, albo też mchu górnego, który ptak przeżuwa dziobkiem i rozrabia śliną. Te gniazdka, jaskółki przyczepiają zwykle do otworu jaskini; słynny naturalista i podróżnik Poire, wyznaje, że nigdy nie jadł nic lepszego ani posilniejszego, nad rosół z owych gniazd jaskółczych. Chińczycy dodają do niego zwykle, mnóstwo korzennych i aromatycznych przypraw.

Ale zwróćmy uwagę na obyczaje jaskółek, na ich cnoty domowe i społeczne. Uważaliśmy już ich miłość do ojczystego gniazda, niemniej zasługuje na pochwałę ich przywiązanie do piskląt, oraz wierność wzajemna. śmierć tylko zrywa związki, pomiędzy parami jaskółek. „Gdy jedno umrze, mówi Dupont z Nemours, rzadko się zdarza, aby drugie nie poszło za nim. Milknie wesołe szczebiotanie, ustają łowy, ustaje praca, a głuchy spoczynek, i ponure milczenie, wymownie świadczą o boleści pozostałego. Ostrzegam więc młodych ludzi, co to dla igraszki strzelają

do jaskółek, że każdy strzał zabija od razu dwie ptaszyny: ostatnia zaś kona w najsroższej, bo moralnej boleści.“

„Gdy małe się wyklują, ojciec i matka znoszą im bez ustanku pożywienie, i z wielkiem staraniem uprzątają gniazdko, dopóki pisklęta, podrósłszy nie oszczędzą im tego trudu. Ale co najciekawsze jest do widzenia, to kiedy stare jaskółki zachęcają młode do lotu. To im szczebioczą coś niezrozumiale, to znów ukazują z daleka robaczka, a w miarę jak się pisklę przybliża odsuwają go coraz dalej; to znów wypychają ptaszynę z gniazdeczka, leciuchno i ostrożnie, a sami krążą w powietrzu obok niej na znak, że zawsze gotowi dać jej pomoc w potrzebie.“

Nie dosyć jeszcze na tem. Braterstwo, które między ludźmi, zostało dotąd snem i marzeniem, istnieje w całem znaczeniu słowa, w społeczeństwie jaskółek: nigdy ptaszyna, nie wzywa napróżno ratunku swoich bliźnich. Usłyszawszy pierwszy okrzyk trwogi zbiegają wszystkie na pomoc, aby obronić brata. Liczne są dowody takiego poświęcenia. Dupont z Nemours, widział raz, jak jaskółka zaplątała sobie nóżkę o szpagat okręcony w koło rynny, na gmachu kollegium Paryzkiego. Krzyk jej sprowadził wszystkie jaskółki, z całej przestrzeni pomiędzy mostem nowym i królewskim; zdawało się że radziły chwilę, jakichby użyć środków, potem co żywo zabrały się do dzieła i dopóty dziobały twardy szpagat, aż go w końcu przeciły po półgodzinnym trudzie.

Niewinna ta ptaszyna, nie zawsze jednak doznaje należytych względów i współczucia. W Toskanii naprzykład, prawa miejscowe liczą ją do szkodliwych istot, i nakazują niweczyć jej gniazdka. W niektórych okolicach Francyi, polują na jaskółki, chcąc niemi zaspokoić nie głód lecz łakomstwo.

Poetyczniejsi Słowianie, szanują za to i strzegą od szkody, tę miłą towarzyszkę strzechy; co lotnemi skrzydełkami, ziemi i nieba dotyka. Lud mniema tak w Polsce, jak i na Rusi, że jaskółki gromadnie uczepiwszy się nogami jedna drugiej, zatapiają się w stawach i rzekach na zimę, a odżywiają z wiosną. I poeci nasi nie przepominają jaskółki, a Szymonowicz w pięknej sielance, idąc za ogólnem mniemaniem ludu, tak się odzywa o nadobnej ptaszynie.

Jużeś to się jaskółko na świat ukazała,
Już ożyła, i z chłodnej wody wyleciała,
Za tobą dni wesołe i wietrzyk powiewa,
Z tobą i słoneczko cieplejsze dogrzewa.
Narodzi on tobie muszek niezliczonych,
Ty ich będziesz łapała po polach przestronnych,
Będziesz łapała, będziesz do gniazda nosiła
Boś je sobie pod naszą strzechą ulepiła.

Wspomnieliśmy poprzednio dzieło Micheleta p. n. ptaki. Dziełko to przyjętem było w swoim czasie przez ogół z uznaniem i poklaskiem. Słynny pisarz, badając przyrodę, szukał wytchnienia w poważnej pracy nad dziejami, którym się wyłącznie poświęcił; chciał sobie tym osłodzić, gorzkie nie raz rozpamiętywanie przeszłości. Filozof umysłem, poeta i artysta sercem, przywykły do rozwagi i rozbioru, mógł odgadnąć tajniki przyrody, mógł je odmalować dokładnie. Nie napisał on wcale rozprawy zoologicznej, ale raczej poemat, w którym pogląd głęboki, myśli żywotne i silne, rzeczywiste odkrycia niedostępne nauce, ale za to odgadnione uczuciem, łączą się z pełnym życia opisem, z zajmującemi obrazami i ślicznie odbijają

pod uroczą zasłoną fantazyi. Książka to prawdziwie piękna, moralna i nauczająca, którą oceni każdy wznioślejszy umysł, książka wysnuta z duszy, napisana z prostotą, barwą i życiem, równie jak wszystkie historyczne prace Micheleta. Małżonka autora, dopomagała mu także, w napisaniu tego zajmującego dziełka.

MARYA WORTLEY MONTAGU.

Piśmiennictwo angielskie ma także swoją Sevigné, która lubo nie wyrównywa żywością stylu i uczuć, sławnej margrabinie, przewyższa ją za to erudycyą, wiernością opisów i bogactwem historycznych szczegółów. Tą znakomitą pisarką, jest córka Ewelina i Maryi książąt Kingston, Marya Wortley Montagu. W Thoresby w hrabstwie Nottingham, urodzona 1690 r. najstarsza z trzech siostr, wcześnie bo w czwartym roku życia straciła matkę. zanim jeszcze zrozumieć mogła jak wielkie utraca dobro. W prawdzie pozostał jej czuły ojciec, staranny, troskliwy, baczny na rozwijające się umysłowe zdolności małej Maryi, ale rozczytując się w jej zajmujących listach, spostrzegamy brak zupełny tej tkliwości, jakiej zbytkiem często kobiety grzeszą, ale gdy we właściwej utrzymana mierze, tkliwość ta, największym bywa ich wdziękiem. Tego właśnie wdzięku brak pismom Maryi, a ten niedostatek łatwo pojmujemy, wiedząc, że młode jej lata pozbawione były Bos-

skiego promienia macierzyńskiej miłości. Ojciec jej życzył sobie, aby Marya tych samych co jej brat miała mistrzów, męzkie więc ukształcenie dano powabnej dziewczynce i w niem męzkiego zaczerpnęła hartu. Grecki i łaciński język znała doskonale, tłumaczyła utwory klassyków Rzymu i Grecyi na język angielski, w dwunastym już roku życia swego, w tych latach gdy jej rówiennice jeszcze się lalkami bawią.

Ciche i skromne życie w małem miasteczku pędzone, podsycało w Maryi skłonność do nauki. W małem wybranych kółku jaśniała rozumem, wykształceniem, wdziękami, w które hojnie uposażyła ją przyroda, zlewając na młodą dziewicę wszystkie najdroższe swe dary. W dwudziestym drugim roku życia, Marya oddała swą rękę Edwardowi Montagu, który później zasłynął w parlamencie angielskim, jako znakomity mąż stanu. Wykształcony, rozumny, brat ukochanej Anny, przyjaciółki Maryi, zjednał sobie serce nadobnej dziewicy i choć oboje mimo wysokiego urodzenia, dostatków nie mieli, pojął ją za małżonkę.

W pierwszych latach pożycia, przy nader szczupłych dochodach, Marya Montagu dowiodła, że nauka nie przeszkadza dobremu wykonywaniu powinności, oddając się cała swym obowiązkom dobrej żony i tkliwej matki. Później, gdy jej małżonka powołano do parlamentu, gdy przyjęta z uwielbieniem na dworze królewskim, budziła podziw pod każdym względem i mogła jaśnieć na wielkim świecie, wolała przecież małe kółko przychylnych, przyjaźń Adissona i Popego, niż hołdy zbierane w wytwornem dworaków gronie.

W 1716 roku, Edward Montagu, został wysłanym przez rząd angielski w poselstwie do Turcyi. Marya towa-

rzyszyła mu chętnie, aczkolwiek droga była niebezpieczną, daleką i utrudzającą, pamiętajmy bowiem, że to się odbywało przed stu kilkudziesięciu laty i że wówczas ani o kolejach, ani o dobrych gościńcach na wschodzie a nawet i w Europie nie wiedziano.

Z tej epoki życia Maryi, pozostało wiele nader zajmujących listów, które cechują dobitnie wiek ówczesny i obyczaje, a choć wszystkich niepodobna tu wpisywać, postaramy się przynajmniej przytoczyć niektóre, ciekawsze tych listów ustępy.

Jeden z listów pisanych z Wiednia, do hrabiny Mar, siostry Maryi jest następującej treści:

— „Dziękuję Bogu żeśmy szczęśliwie przybyli do Wiednia; zdrowie me nie cierpiało, co zaś więcej i co mi droższe daleko, zdrowie mego dziecięcia także w dobrym stanie.

„Z Ratyzbony podróż nasza odbywała się wodą. Miły to rodzaj podróżowania! Płynęliśmy Dunajem na małym statku, przy którym dwunastu wioślarzy ciągle robi wiosłami, co tak przyspiesza drogę, iż w ciągu kilku godzin widzieć można coraz nowe okolice. Statek nasz, (mały drewniany domek, z kuchnią, pokojami i wszelkiemi dogodnościami prawdziwego domu), wymijał kolejno wspaniałe miasta, ponure lasy, pełne zboża łany, winnice gęstemi grony obciążone, zwaliska starych zamków i t. d. Przepłynęliśmy obok Passawy i Lintzu, lecz po tych pięknych widokach, Wiedeń wcale mi się nie podobał.

Wązkie ulice, ścieśniają fronty pięknych pałaców, które mię zdziwiły nadzwyczajną wysokością. Ponieważ Wiedeń pomieścić swej ludności nie może, więc mieszkańcy zaradzają temu, wznosząc drugie miasto na wierzchołku pierwszego; to jest: piętrząc wysokie domy. Ciemne

są tutejsze mieszkania, co zaś najbardziej mię zdumiewało, to widok tylu rodzin, osiadłych w jednej kamienicy. Najwięksi panowie tutejsi mieszkają osobno; często ściana tylko przegradza ich pokoje od mieszkania szewca lub krawca i nikogo nie znam ktoby miał na swój użytek dwa piętra domu, jedno dla siebie drugie dla służących[1]). Schody wspólne i zazwyczaj brudne. Wprawdzie wszedłszy do mieszkań pańskich, ujrzysz nadzwyczaj bogate urządzenie. Przepych książęcy olśni twe oczy, zwierciadła ogromne w srebrnych ramach, prześliczne i drogie obicia brukselskie, u okien zasłony adamaszkowe lub aksamitne, prawie całkiem pokryte złotą koronką lub haftem, kryształowe pająki u sufitu, wazony z chińskiej porcelany i mistrzowskiego pędzla obrazy, zachwycają przechodnia.

Miałam zaszczyt obiadować u kilku najznaczniejszych osób; przyznać muszę, iż zastawa stołu odpowiada przepychowi mieszkania. Wszystkie dania są na srebrze; naliczyłam ich aż pięćdziesiąt, najpiękniejsza porcelana służy do wetów, wino zaś wyborne i w rozmaitych gatunkach. Zwykle pod każdą serwetą kładzie się spis win które gość ma do wyboru przy stole, bywa nie raz do ośmnastu gatunków wina i wszystkie doskonałe...

„Jeszcze nie byłam u dworu, gdyż muszę czekać na suknię, bez której przedstawić się N. Państwu niepodobna. Ciekawa jestem bardzo ujrzyć tę sławną piękność, która panuje tylu rozlicznym narodom...

— Drugie listy pisane do siostry, oraz do znajomych osób a między niemi do Popego, w tych wyrazach malują życie Wiedeńczyków i dworu.

— „Wykończono przecie moją dworską suknię, jest to

[1]) Jak to jest powszechnie przyjęte w Anglii.

nie przyzwoity strój ale ramiona i szyja korzystnie się w nim wydają. Muszę ci też opisać potworne tutejsze mody które się utrzymują wbrew zdrowemu rozsądkowi. Noszą tu na głowie wysoką trzyłokciową budowę, na kilka piętr ułożoną, z wstążek i gazy. Podstawę tej struktury nazywają bourrelet (rodzaj wałka, watą wypchanego służącego naszym wieśniaczkom za poduszeczkę kiedy chcą wiadro postawić na głowie). Tylko poduszeczka którą tutejsze damy noszą, jest czterykroć grubsza. Ta poduszka pokrywa się fryzurą bardzo wypudrowaną, nastrzępioną wielkiemi szpilkami o brylantowych perłowych i innych drogocennych główkach. Robrony zaś pań Wiedeńskich daleko szersze są niż nasze, pokrywają one ziemię na kilkołokciowy okręg.

Strój tak dziwaczny powiększa wrodzoną szpetność której Wiedeńskim paniom, przyroda nie uskąpiła. Szkoda, że cudnie piękna cesarzowa Niemiec[1]) musi także nosić owe dworskie suknie. Miałam u niej prywatne posłuchanie (jak tego wymaga etykieta) trwało z pół godziny, zachwycona byłam jej powabem i dobrocią. Choć jej rysy nie dość regularne i oczy trochę małe, ale wejrzenie pełne słodyczy, piękne czoło, nosek zgrabniutki, usta zaś niewypowiedzianego wyrazu i wdzięku. Uśmiech jej wzbudza uwielbienie, a cała postać z niczem porównać się nie da. Ani powaga Junony, ani wdzięk Cyprydy ani nawet Medycyjskiej Galeryi cudne posągi, dokładnego wyobrażenia o jej postaci dać nie mogą.

Chciałabym była ucałować te prześliczne drobne rączki, lecz etykieta nie pozwala takiej poufałości, tylko

[1]) Była to matka sławnej Maryi Teressy, z domu Kezka Walfenbütler.

damom dworu wolno jest przy powitaniu i pożegnaniu złożyć pocałunek na białej ręce monarchini; mnie jako posłowej nie wypada wcale witać obcą władczynię w taki sposób.

Kiedy się dużo dworskich dam naschodziło, cesarzowa zasiadła do gry w quinze. Ponieważ grać w nią nieumiem, N. Pani posadziła mię obok siebie po prawej stronie i z nadzwyczajną dobrocią zaczęła ze mną rozmowę. Myślałam, iż wkrótce przybędą na to posłuchanie mężczyzni; lecz tu inaczej niż w Anglii, sam tylko mistrz ceremonii może wejść do bawialni cesarzowej i to z oznajmieniem o przybyciu N. pana. Jego Cesarska Mość Karol VI. raczył zemną rozmawiać, ale nigdy nie rozmawia z innemi damami; całe też przyjęcie jest sztywne i trochę nudne u dworu Wiedeńskiego, bo tak nakazuje etykieta.

W czasie mego posłuchania, przybyła do cesarzowej panującej, wdowa po Józefie I. cesarzowa Amelija bratowa Karola VI. w towarzystwie swych dwóch córek młodych i bardzo miłych księżniczek. Powstali Ich C. Moście i poszli aż ku drzwiom na jej powitanie. Gdy cesarzowa Amelija zajęła fotel obok swej bratowej, pozwolono wejść mężczyznom. Przy wieczerzy usługiwały dwie młode z orszaku cesarzowej dziewice. Żadnej one płacy nie pobierają, tylko mają mieszkanie w pałacu monarchini, lecz na zabawy i widowiska uczęszczać im w mieście nie wolno!

Trzy takie najpierwsze, nazywają się damy klucza, noszą bowiem na wstędze u boku zawieszony klucz złoty.

Jest zwyczaj, że te panny nawet po wyjściu ze służby dworskiej, muszą corok złożyć jaki podarunek cesarzowej

w dzień Jej imienin. Wszystkie przyboczne damy orszaku monarchini, są niezamężne, zaś na mistrzynię dworu, obierają zwykle jaką nie młodą wysokiego rodu wdowę. Gdy która z panien dworskich za mąż idzie, dostaje od cesarzowej jej portret ozdobiony brylantami.

Następnego dnia, odwiedzałam cesarzową matkę, panią wielce pobożną i cnotliwą. Ciągle tylko modlitwie i pobożnym ćwiczeniom oddana, ubrana w żałobne szaty, pozwala jednak swoim paniom dworskim, nosić kolorową odzież. Smutno i nie ładnie wygląda cesarska wdowa, w swojem czarnem ubraniu i żałobnych krepach, które osłaniają jej czoło i skronie, przy czem sama twarz dosyć dziwnie odbija.

Na trzeci dzień wypadało mi odwiedzić trzecią cesarzową Ameliją, mieszkającą o milę za Wiedniem. Przybyłam na szczególną zabawę, nigdy nie widzianą przezemnie a bardzo upowszechnioną na tutejszym dworze.

W głębi pięknego ogrodu na małym tronie, siedziała cesarzowa Amelija. Po obudwu stronach stały dwa rzędy panien, na których czele ujrzałam obie arcy-księżniczki, ślicznie ufryzowane z brylantami we włosach, w ręku zaś trzymały piękne lekkie strzelby. Na przeciw, w pewnej odległości, spostrzegłam trzy owalne obrazy mające służyć za cel do strzału. Na jednej z tych tarczy wyobrażony był kupidynek spełniający czarkę wina, z napisem: Tu łatwo być mężnym. Druga, wyobrażała fortunę z wieńcem kwiatów w ręku, przy niej napis: dla tej do której uśmiechnie się fortuna. Trzecią tarczę zrobił miecz laurem owity i godło: Niema wtydu dać się tu zwyciężyć. Smakownie ułożone trofea stały nie daleko tronu, na nich wśród kwiecistych uplotów zawieszone były rozmaite drobiazgi niewieściego stroju, koronki

wstążki, tureckie chustki złotem wyszywane itp. Mnóstwo mężczyzn z najpierwszych rodzin Wiedeńskich, przybyło na tę zabawę, ale wolno im tylko przyglądać się, bo same kobiety strzelają do celu. Pierwszą nagrodę pozyskała arcyksiężniczka Amelija[1]) z rąk cesarzowej, był to piękny rubinowy pierścień otoczony brylantami, w złotem pudełku. Na drugą nagrodę był kupidynek sadzony brylantami a w dodatku cała zastawa do kawy z chińskiej porcelany i złota. Ubawiłam się niezmiernie tem strzelaniem do celu, szkoda że nie mam talentu Wirgiliusza, by opisać zręczność młodych dziewic, jak on odwzorował podobnąż swych bohaterów zabawę w Enejdzie. Cesarz nadzwyczaj lubi ten rodzaj zabawy; dla tego rzadko tydzień upłynie bez owych strzeleckich igrzysk. Dzięki temu tutejsze dziewice mogą śmiało bronić zdobywanej warowni. Śmiały się też serdecznie, widząc iż boję się wziąść do ręki broń nabitą...

— O sławnym bohaterze Austryi, księciu Eugeniuszu Sabaudzkim, pani Montagu tak pisze w liście do Popego. „Pewna jestem, że zażądasz odemnie szczegółów z życia tego bohatera. Mogłabym to uczynić bo go często widuję, ale tak mi przykro mówić o rodzaju życia jakie prowadzi w Wiedniu, jak nie lubię myślić o Herkulesie u stóp Omfalii. Nie rozumiem co za przyjemność mają drudzy, w zapatrywaniu się na usterki wielkich mężów? Tę może, iż to ich stawia choć w ten sposób na równi ze znakomitemi ludźmi, lecz dla mnie, widok ułomności ludzkiej, bardzo przykrym jest widokiem.

— Po krótkim pobycie w Wiedniu, pani Montagu uda-

[1]) Siostra Maryi Józefiny żony Augusta III. Króla Polskiego.

ła się z mężem do Turcyi, mimo odradzań swych nowych Wiedeńskich przyjaciół. Chcieli oni zatrzymać ją czas jakiś u dworu, straszyl iją więc niewygodami podróży, surowością zimy oraz napadami Janczarów. Uwierzyła im piękna podróżna, ale choć z trwogą w sercu, puściła się jednak w drogę by dzielić niebezpieczeństwa męża. Wszakże poznała, iż obawa jej była płonną i że troskliwość przyjaciół niepotrzebnej nabawiła ją trwogi.

Stanąwszy w Peterwardinie taką czyni wzmiankę o Węgrach w liście do sióstr.

— Sądzę, że cię zajmie opis kraju nieznanego ci zupełnie. Podróż naszą odbywamy na saniach i wyznać muszę, że mi się podoba ten rodzaj jazdy. We dwa dni po wyjeździe z Wiednia, stanęliśmy w Raab, przyjęto nas z wielką czcią, nawet biskup Temeswaru raczył nas odwiedzieć. Jest to zacny, pięknej i szlachetnej postawy starzec, pochodzi z dawnego rodu Nadastich, wyświadczył nam wiele grzeczności. zaopatrzył w wyborne zimowe owoce i sławne węgierskie wino, na drogę. Raab jest warownem miastem z liczną załogą, leży nad rzeką tegoż nazwiska na Granicy Turcyi i Austryi. Za panowania Amurata III. w 1594 roku, Sinan basza zdobył Raab, lecz oskarżony przed sułtanem gdy pod miecz katowski dał głowę, hrabiowie Szwartzenberg i Palfi odebrali na powrót to miasto, we cztery lata po zdobyciu przez Turków. Odtąd daremnie kusili się Turcy o wydarcie tej warowni Austryakom, pozostała w ręku cesarskich.

Na drugim brzegu rzeki Raab, leży Komorn któreśmy wyminęli a odpocząwszy w Nosmuhl lichej mieścinie, dwa dni jechaliśmy do Budy przez najpiękniejsze okolice, lecz mimo dobroci ziemi odłogiem leżące, z przyczyny ciągłych wojen Porty z Austryą, oraz domo-

wych rozruchów. Smutne mi przychodziły myśli na widok tych pól tak żyznych, tych tak niegdyś kwitnących miast Węgierskich; dzisiaj pola nieuprawne, miasta w gruzach bezludne; w tem niegdyś kwitnącem królestwie, znać wyraźnie brak troskliwej opieki, wojnę i ucisk.

Buda nosi na sobie to piętno zniszczenia. Pałac królewski, dawniej najpiękniejszy gmach w całym kraju dziś całkiem zniszczony. Jenerał Ragule komendant załogi w Budzie zajmuje się troskliwie naprawą zamku i fortyfikacyi, lecz inne części miasta, od czasu ostatniego oblężenia, leżą w zwaliskach!

Gościnnie nas przyjął jenerał Ragule; żona jego nader miła osoba, on zaś znakomity w swym zawodzie człowiek. Mieszkają na zamku który zbudowany w miejscu wzniesionem, góruje nad miastem i śliczny z niego widok. Po za murami ujrzałam mnóstwo chatek, to miejsce zwie się miastem Rascyan, osiedlone jest bowiem przez ten naród. Dziwnie wygląda owo miasto, domek przy domku, jak w obozie.

Soliman wielki w 1526 r. zdobył Budę ale w następnym roku odebrał ją Ferdynand I. podówczas król Czeski znowuż zdradą załogi przeszła do rąk tureckich i dostała się z woli sułtana, Janowi Zapolskiemu (szwagrowi Zygmunta Augusta). Gdy po zgonie tego władcy, Ferdynand I. powtóre obległ Budę, Izabella Jagielonka matka następcy tronu wezwała na pomoc Solimana. Oddalił on Austryaków, lecz turecką załogę postawił w tem mieście, a Izabella zmuszoną była gdzieindziej zamieszkać.

Murgrabia Brandeburgski oblegał Budę w 1542 r., jednak miasto dzielnie się broniło i margrabia od oblężenia odstąpił. Tak samo nie powiodły się oblężenia pod

dowództwem hrabiego Szwartzenberg w 1598 roku, jenerała Rosworm w 1602, księcia Lotaryngii na czele wojsk cesarskich w 1684 r. Wszakże we dwa lat później po uporczywej obronie załogi tureckiej gdy waleczny Apti basza poległ na wyłomie, Buda poddała się księciu Lotaryngskiemu, co w taką rozpacz Turków wprowadziło, iż dla tej przyczyny, niechętni, złożyli z tronu Machometa IV.

Kilka dni zabawiwszy w stolicy Węgier, udaliśmy się w dalszą drogę przez miasta Adam i Todowar! Były to kwitnące grody pod panowaniem tureckiem, dzisiaj także w gruzach. Dwudziestego piątego stycznia (1717) stanęliśmy w Mochaczu, tam obejrzeliśmy pobojowisko na którem poległ Ludwik król Węgierski (26 sierpnia 1526 r.), w czasie swego odwrotu ku grobli, kiedy zamierzał cofnąć się z garstką swego wojska, przed dziesięć razy liczniejszemi zastępy Muzułmanów, którym przywodził Balibens, dowódca wojsk Solimana I. Ta przegrana, dała po raz pierwszy wstęp wojskom Porty do środkowych Węgier.

Nie liczni mieszkańcy tego kraju, mają tu obfitość niesłychaną. Ziarna, wina, zwierzyny lasów, jest podostatkiem w Węgrzech. Nam jako poselstwu, to jest mojemu mężowi, wszystko wolno mieć bezpłatnie; ale pan Wortlej nie chce krzywdzić biednych wieśniaków, zabierając im darmo ich zapasy, oni tyle już ucierpieli przez wojnę! To też niezwyczajna, dla nich, ludzkość nasza, tak zdumiewa biednych włościan, iż tłumnie zbiegają się przy naszym odjeździe, przynosząc na pożegnanie z tuzin tucznych bażantów lub innego rodzaju zwierzynę. Ubogi lud tutejszy nosi kożuchy, oraz czapki i obuwie futrzane. Przebyliśmy zamarzły Dunaj z całym naszym pakunkiem. Na drugim brzegu spotkał nas jenerał, Veterani prosząc uprzejmie,

abyśmy przenocowali w jego zamku, albowiem do Essek droga niebezpieczna gdyż lasy pełne wilków. Aczkolwiek późno ale bez szwanku stanęliśmy w Essek, zkąd mąż mój wysłał gońca do baszy Belgradu, ja tymczasem obejrzałam miasto. Było ono ludne i handlowne, warowne i dobrze zabudowane pod panowaniem Porty. Leży nad Drawą która wpada w Dunaj. Most w Essek zaliczają do najpiękniejszych w świecie, jest zbudowany z kłód dębowych, długości ma ośm tysięcy kroków ($^3/_4$ mili geograficznej). Spalił się on wraz z miastem w 1685 roku, na rozkaz hrabiego Lesly lecz Turcy kazali naprawić szkody zrządzone pożarem, lubo we dwa lata później, ustąpić z Essek musieli. Objął w imieniu cesarskiem jenerał Dunnwalt to miasto, które dotąd należy do Austryi a jednak uważane za przedmurze Węgier. W Bocorwar mieście Rascyjskiem, poznałam żonę i krewnę pułkownika.** Tutejsze kobiety daleko są piękniejsze od Wiedenek. To też jeżeli się w Wiedniu pojawi co ładnego, pewnie jest z Węgier. Ubranie pań węgierskich podobało mi się bardzo. Moja nowa znajoma, miała szkarłatną suknię z aksamitu, podbitą i obłożoną sobolami, spadającą aż do ziemi i zręcznie stan obciskającą. Rękawy obcisłe a przód sukni spięty perłowemi i brylantowemi guziczkami których dwa rzędy zdobią stanik. Czapeczka ze złotogłowiu obłożona sobolim futrem, wdzięcznie spada na bok i dopełnia stroju. Teraz odpoczywamy w Peterwardinie, wkrótce zaś udamy się do Belgradu...

Na pół drogi do Belgradu w Betsko miasteczku należącem jeszcze do Węgier, spotkał nas Aga Janczarów, z orszakiem wojska przechodzącym liczbę niemieckich żołnierzy, których jest stu. Mieli oni przyrzeczone od Porty, iż takąż liczbę wojska dla posła angielskiego dostawi

gdy więc zobaczyli turecki zastęp znacznie liczniejszy od swego, w niewypowiedzianej byli obawie. Lękałam się aby między niemi a Turkami nie przyszło do walki; lżej mi się zrobiło na sercu gdy już niemieckie wojsko odeszło. Trudny był wjazd do Belgradu, ogromne śniegi przeszkodziły szybkiej podróży. Sawa z jednej strony broni wstępu do miasta. Oddzielała dawniej granicę Węgier od Turcyi, ale ją przekroczył Soliman I. i choć Austrya odebrała na czas jakiś Belgrad, teraz przecie znów do Turcyi należy. Strzeże tego miasta, załoga z najwaleczniejszych janczarów złożona, przywodzi im Seraskier basza, czyli jenerał, lubo prawdę mówiąc, nie on przywodzi janczarom lecz janczarowie robią z niem i mieszkańcami co im się tylko podoba; oni w Belgradzie są jedynie prawdziwą władzą. Przed dwoma miesiącami zabili swego Seraskiera za to, iż bronił im pustoszyć austryackie granice. Dzisiejszy, nawet ich nieśmiał za bunt ukarać, owszem patrzy na ich bezprawia przez szpary i pieniężnemi upominkami ich obdarza. Nieradabym długo przebywać w tak niebezpiecznym mieście, ale musimy czekać rozkazów z Adryanopola, które ledwie że za miesiąc nadejdą. Widziałam w drodze do Belgradu, Karłowickie pola. Niedawno książe Eugeniusz odniósł tam zwycięztwo nad Turkami, są jeszcze ślady tej sławnej bitwy. Pobojowisko zarzucone skieletami ludzi, koni, wielbłądów. Ze zgrozą spoglądałam na te szczątki ludzkie, dotąd nie pogrzebione, a wojna straszną mi się wydaje. Co to za wyraźny dowód nierozwagi ludzkiej? (choć się tak przechwalamy z rozumu). Ogromne ziemi obszary leżą odłogiem i nikt nie ciągnie z nich korzyści, a tu o kawałek miejsca tyle krwi przelanej! Chciałabym podzielać zdanie pana Hobbs: że wojna jest stanem przyrodzonym dla czło-

wieka, lecz w takim razie, brak rozsądku potrzebaby także uważać jako rzecz właściwą człowiekowi.

Stanąwszy w Adryanopolu, pani Montagu odetchnęła po trudach podróży, albowiem był to kres ich drogi dalekiej wycieczki gdyż ówczesny sułtan Achmet III., który wstąpił w 1703 roku, na tron + 1730; obrał sobie Adryanopol za siedzibę i tem ściągnął na siebie niechęć janczarów. Nasza podróżna ciekawa była ujrzyć zwycięzcę Wenecyan i zdobywcę Morei, posłuchajmy jakiego wrażenia doznała na widok sułtana.

— Wczoraj z żoną francuzkiego posła staraliśmy się obaczyć sułtana gdy szedł do meczetu. Poprzedzał go liczny janczarów poczet, na ich turbanach powiewały białe pióra. Takież pióra zdobiły spahów (straż pieszą i bostandzich) ogrodników sułtańskich. Ubiory ich różnobarwne pstrzyły się zdala jak ogród tulipanami sadzony; w purpurowym aksamicie aga janczarów jechał na koniu, przez dwóch, bogato przybranych niewolników, prowadzonym. Obok niego Kizlar aga (nadstrażnik seraju) murzyn w żółtej barwy sukniach sobolami oszytych. Nakoniec podjechał i sam sułtan; siedział na przepysznym, dyamentami osypanym, rumaku, w zielonej szacie czarnemi lisami oszytej. Za nim prowadzono sześć koni z bogatym rzędem, a dwóch najpierwszych urzędników dworu niosło: jeden, złotą czarkę, drugi zaś srebrną, z czarek owych sułtan raczy pijać kawę. Inny niósł na głowie srebrny stołeczek, na którym władca wiernych, usiądzie w meczecie. Niezdołam opisać rozlicznego sposobu składania zawojów, co ma służyć jako godło dostojeństwa urzędników Porty; dodam tylko, że są w jasnych barwach, ubiory tureckie, bogate i ozdobne, tak, iż cały ten pochód sułtański wydał mi się nader wspaniałym. Achmet III. ma lat około 40-tu, piękne, duże, czarne

oblicze ładne ale surowego wyrazu. Zatrzymał się przed oknem z któregośmy patrzały i spojrzał na nas uważnie; sądzę, iż wiedział kto jesteśmy.

Jedna z pań greckich, towarzyszyła mi jako *tłomacz* w odwiedzinach haremu wielkiego Wezyra. Żona tego urzędnika, (zapewne z ciekawości) zaprosiła mię na obiad. Nie chcąc zawodzić jej nadziei, włożyłam dworski mój ubior z Wiednia, chcąc by wielka wezyrowa, miała się *czemu* dziwić i w towarzystwie mej tłomaczki, poszłam na obiad. Żona wielkiego Wezyra przyjęła mię bardzo grzecznie w towarzystwie kilku przyjaciółek. Jest ona już nie młoda, służy jej gromada czarnych i białych niewolnic, ale przepychu niema w jej domu, gdyż oboje z mężem oddani są pobożności. Wielki Wezyr ma tylko tę jedną żonę i co dziwniejsza, od nikogo podarunków nie przyjmuje. Po wcale dobrym obiedzie, pożegnałam moją gospodynię, namaszczona wonnościami i okadzona przez dwie klęczące przedemną niewolnice; tego zaszczytu dostąpiły także moje włosy, rękawiczki i chustka od nosa.

Greczynka namówiła mię do odwiedzenia żony *Kiheya* urzędnika przy wielkim Wezyrze; dałam się nakłonić i wcale tego nie żałuję. Tu zupełnie co innego jak w domu Wezyra, dwóch czarnych niewolników spotkało mię przy drzwiach i przywiodło przed dwa rzędy prześlicznych młodych dziewic, których długie warkocze spadały aż do ziemi. Żałowałam, że się tym pięknościom przypatrzyć nie mogę, lecz wszedłszy do wspaniałego pawilonu kwiatami ubarwionego, zapomniałam o wszystkiem. Z białego marmurowego wodotrysku biła wysoka wody kolumna, aż pod sufit komnaty. Woń jaśminu, napełniała powietrze, a sufit malowany w najpiękniejsze kwiaty, wydawał się istnym ogrodem. Na sofie pokrytej; perskim dywanem,

siedziała żona Kyhaja, młoda Fatyma, u jej nóg igrały dwa małe aniołki cudnej piękności, w jedwab i złoto ubrane, były to jej córeczki. Ale matka przewyższała je urodą! Jak żyję, nic równie zachwycającego nie widziałam. Powstała na moje powitanie, a oddając mi ukłon wschodnim obyczajem, rękę położyła na sercu, z takim wdziękiem, z taką godnością, jakiej na żadnym dworze królewskim niewidziałam dotąd. Gdym usiadła na podanych mi węzgłowiach, zaczęłam się bacznie przypatrywać Fatymie, chcąc koniecznie wynaleźć w niej jaką niedoskonałość, lecz to było niepodobném. Appelles chciał odmalować bóstwo piękności i pożyczył wdzięków do swego obrazu u kilkunastu najpiękniejszych niewiast Grecyi, arcydzieło Appellesa utworzyła przyroda, tworząc Fatymę [1]). Cóż powiedzieć o jej poruszeniach przypominających gracye, o jej rozkosznym uśmiechu i czarnych wielkich oczach, łagodnych jak błękit nieba a płomiennych jak wulkan. Nigdy żadne dzieło dłuta niewydało nic podobnego do tej doskonałej piękności. Otoczona gronem służebnic, przypomniała mi boginię wdzięków w nimf orszaku; doprawdy nie sądziłam, ażeby tak piękny obraz, rzeczywistość utworzyć zdołała. W bardzo prędkim czasie zaprzyjaźniłam się z tą zachwycającą istotą, która na moje, szczerego uwielbienia wyrazy, odpowiadała nader pochlebnemi acz nie zasłużonemi pochwałami, skierowanemi do mojej powierzchowności.

Chciałam też poznać towarzyskie życie niewiast tureckich, udałam się przeto do łaźni: albowiem dla kobiet

[1]) Ta cudnej urody niewiasta, była córką Polki, zabranej w niewolę przy zdobyciu przez Turków Kamieńca podolskiego, za Michała Korybuta.

wschodu, są one tem czem u nas bale, teatra lub salony. Miałam na sobie moje podróżne ubranie które musiało bardzo się im wydawać dziwnem, żadna wszakże nie objawiła ani zadziwienia, ani ciekawości, owszem największą okazywały mi uprzejmość. Nie znam żadnego z dworów Europy na którymby kobiety tak grzeczne względem cudzoziemki były, jak tego doświadczyłam w łaźniach Adryanopola. Ze dwieście kobiet było tam zgromadzonych, u żadnej niespostrzegłam szyderskiego uśmiechu, nigdzie nie dosłyszałam szeptu zdumienia, coby niechybnie w naszem towarzystwie nastąpiło, gdyby ktoś nieubrany podług naszej mody, śmiał się pojawić.

Teraz kiedy ten lud lepiej poznaję, dziwię się z jak bezczelnem kłamstwem z jaką nieznajomości rzeczy pisano, o tych stronach. Naprzykład: co do zamykania kobiet w haremie. Prawda, iż niewolno, żadnej wysokiego rodu kobiecie wyjść na ulicę bez dwóch *murlin* to jest zasłon, z których jedna twarz, druga zaś cały ubiór zakrywa. Tak osłoniętej nie pozna mąż najzazdrośniejszy, żaden też mężczyzna nie waży się iść za kobietą albo ją zaczepić na ulicy. Ten zwyczaj noszenia zasłon, nadaje turczynkom zupełną wolność. Co do czci jaką odbierają w Turcyi kobiety, o takiej nigdy nie marzyły Europejki; bogate, rozporządzają dowolnie swym majątkiem a w haremie panują w całem znaczeniu tego wyrazu. Lubo prawa pozwalają Turkom aż czterech żon, lecz rzadko się zdarza, aby kobieta wysokiego urodzenia chciała się zgodzić na to współzawodnictwo.

— Czytam tu Homera (pisze pani Montagu w liście do Popego) i nadzwyczaj mię zajmuje. Wiele, dawniej niezrozumiałych ustępów Iljady, stało się teraz jasnych. Niektóre zwyczaje i ubiory, dotąd się jeszcze przechowały

w tych stronach. Tutejsze księżniczki otoczone dworem służebnic i drogiemi zasłonami okryte, przywodzą mi na pamięć Andromakę i Helenę. A gdy patrzę na starych baszów o srebrnowłosej brodzie, siedzących w cieniu, przypomina mi się Pryam ze swemi doradcami. Taniec tutejszy zapewne się jeszcze nie odmienił, od owego czasu, kiedy Dyana pląsała nad brzegami rzeki Eurotas. Zawsze jeszcze najznakomitsza przoduje tanecznicom, te zaś naśladują poruszenia przodownicy. Śpiewają chórami, śpiewy ich acz wesołe, są czarownej słodyczy. Teraz także, Teokryt zrozumialszy dla mnie jest, rozkoszne jego sielanki, są tylko wiernym obrazem tutejszych wiejskich obyczajów, choć to już tak dawno! Ludy, wieki minęły, zwyczaje narodowe pozostały niezmienione! Opuszczam Adryanopol; piękny to gród; Machomet IV-ty i Mustafa II-gi brat dzisiejszego sułtana, tak byli ujęci pięknością Adryanopola, iż tu chcieli przenieść stolicę państwa, co niezmiernie janczarów gniewało. Nad rzeką Maritza, starożytnym Hebrus, wznoszą się dwa pyszne mosty. Chciałam zwiedzić bazar tutejszy, otaczali go janczarowie, co mię zatrwożyło; alem się uspokoiła, gdyż ustąpili się przedemną, choć w tureckie odziana byłam suknie, z taką czcią, jak gdyby wiedzieli, iż to żona posła wielkiej Brytanii przechodzi koło nich. Bazar obejmuje trzysta kilkadziesiąt sklepów dobrze utrzymanych, najbogatsze są żydowskie. W ręku żydów prawie cały tutejszy handel. Turcy bowiem są bardzo leniwi i nie radzi przemysłem się zajmują.

Meczet Selima I-go także godzien widzenia. Stoi on w środku miasta na najwyższem miejscu. Pierwszy dziedziniec jego, jest o czterech bramach, drugi zaś o trzech. Oba dziedzińce są otoczone klasztorem, napiętrzonym rozlicznemi kopułami, na marmurowych kolumnach wspar-

tym. W każdym także, jest wodotrysk, białym wyłożony marmurem; portyk zaś, dźwigają kolumny z zielonego marmuru. Nie bardzo znam się na budownictwie, ale podług mnie, ten meczet należy do najwspanialszych dzieł sztuki budowniczej. Wstąpiłam też na wieżę z której *Iman*, wiernych na modlitwę przyzywa. Jedne tylko drzwi prowadzą ku potrójnym wschodom, tak stucznie zbudowanym, iż trzy osoby mogą wejść i zejść niespotkawszy się wcale. Za tym meczetem jest bazar w którym ubodzy darmo otrzymują pomieszkanie. Mnóstwo derwiszów odzianych w płaszcze wełniane z kapturami, odprawiało tam swe modły.

Jadąc do Konstantynopola, zatrzymaliśmy się w starożytnym mieście Selivrea, które dziś jest portem. Słynie ono kościołem dla greckiego wyznania. Znajduje się w tym kościele cudowny obraz Matki Zbawiciela przez świętego Łukasza malowany. Tło w nim złote, podobnie jak u wszystkich obrazów szkoły byzantyńskiej, malowanie zaś wcale nie piękne. Mój zbiór medali starożytnych coraz się powiększa. Mam jeden z popiersiem Perseusza Macedońskiego tak dobrze zachowany, iż z rysów popiersia, odgadnąć można zły charakter człowieka. Kupcy tych osobliwości, nic się na swym towarze nie znają. Sprowadzają rozmaite zabytki z Alepu, Kairu, Palestyny, lecz wartości ich rzetelnej niewiedzą. Cenią tylko medale świętych; jeden drożył się z medalem Pallady trzymającej w ręku przewrócony posąg zwycięztwa i mówił mi, że to Najświętsza Panna. Tenże sam, Sokratesa chciał mi sprzedać za ś-go Augustyna.

Spodziewam się, że mumija którą tu zamówiłam, dojdzie mię w całości. Król szwedzki w tym względzie

nie był tak szczęśliwy. Kazał bowiem przywieść sobie mumiją, Turkom się uroiło, że to muszą być zwłoki jakiejś ważnej osoby skoro je król sprowadzać każe i czy to przez przesąd czyli też politykę, zatrzymali je po dziś dzień w Carogrodzie w zamku Jeddykuły czyli siedmiu wież.

— Jakie tu cudne powietrze! Wy w tej chwili marźniecie jak zazwyczaj w styczniu, ja zaś siedzę przy otwartem oknie grzejąc się u promieni słenecznych a hijacenty i róże z mego ogrodu, wonią napełniają pokój. Podobają mi się bardzo niektóre z praw tutejszych. Przekonanych o kłamstwo piętnują na czole... O! ileżby to osób w Europie chodziło z napiętnowanem czołem! Moja umiejętność tureckiego języka nabawiła mię kłopotu, jaki mają wszyscy zdobywcy, którzy cudze zagarnąwszy, własne tracą posiadłości. Jestem w obawie, czy nie zapomnę po angielsku, muszę dobierać wyrazów, gdy chcę ojczystym odezwać się językiem. Podobno trzeba będzie porzucić obcą a we własną wprawić się mowę, ludzkie pojęcie równie jak ludzka potęga, mają pewne niczem niecofnione granice...

— Meczet świętej Zofii, założony przez Justyniana wielkiego, liczą do osobliwości Carogrodu, po długich bardzo staraniach zaledwie otrzymałam pozwolenie wejścia do niego. Niewiem dla czego, wszystkie inne meczety chrześcianom wolno odwiedzać, do tego zaś wstęp im zabroniony? Jeszcze tam widzieć można obrazy świętych w mozajce, zatarte już nieco ręką czasu, lecz bynajmniej przez muzułmanów nie zniszczone, choć takie było powszechne w Europie mniemanie. Mówią, że kopuła meczetu świętej Zofii ma sto trzydzieści stóp średnicy. Pokazują tu grób Konstantyna świętego, będący w wielkiem u Turków poszanowaniu. Może to brak znawstwa z mej strony, ale

meczet Solimana wydał mi się piękniejszy. Największy zaś i najwspanialszy jest meczet sułtanki Walidy, matki Mahometa IV-go. Nasz przechwalony kościół świętego Pawła bardzoby się nędznie przy nim wydawał, również jak nasze place przy tutejszym atmejdanie (końskim placu) dawnym Hippodromie za cesarzów greckich. Zbytek w Turcyi wygląda inaczej niż u nas. Ich pałace, ogrody, ubiory są bogatsze, a bodaj czy nie piękniejsze. Sądzę, że oni prawdziwie pojęli na czem zawisł powab życia? To też muzyka, rozrywki, spoczynek w chłodzie podczas dni gorących a nadewszystko swoboda umysłu i pokój ducha, upiększają dni tutejszych mieszkańców, kiedy my, zazwyczaj stwarzamy sobie tysiące udręczeń wynikających z pychy, pragnienia dostojeństw i chęci coraz nowych bogactw. A gdy już po długoletnich trudach dosięgamy życzeń naszych celu, przychodzi śmierć lub choroba i nacieszyć się powabami życia nie pozwala. Niesłusznie Alkoran jest wyszydzany przez wyznawców innej wiary, niemylisz się pan sądząc, że zawiść powymyślała tyle śmiesznych powieści o zasadach Islamizmu. Mahomet nie wyłączył niewiast od błogosławionego pobytu w raju, za dobrym był na to szlachcicem i dosyć też uwielbiał płeć piękną aby taką zdrożność popełnić. Raj muzułmanek ma być oddzielny od raju mężczyzn, choć ja sądzę, że to nie umniejszy jego powabów. Ale za główny warunek zbawienia, Mahomet położył zamężcie, dziewice tedy i wdowy umierają w grzechu śmiertelnym. Morowe powietrze i ospa która u nas taką śmiertelność sprowadza, są tu uważane za nic nie znaczące choroby i przekonałam się sama, iż nie są bynajmniej zatrważające ani śmiertelne. Tajemnicę zaszczepiania ospy, znają tu stare kobiety które z wiel-

kiem powodzeniem szczepią ospę dzieciom [1]). Tyle kocham ojczyznę moją, iż myślę zaszczepić kazać dla próby ospę memu drogiemu synkowi, a do lekarzy angielskich napiszę aby zwyczaj ten zaprowadzić u nas chcieli. Sądzę jednak, że mię czeka silny z ich strony opór, na który przecież myślę się narazić bohatersko...

W czerwcu 1718 r., pani Montagu opuściła Turcyę w towarzystwie męża, synka i córeczki która przyszła na świat w Konstantynopolu 1717 roku. Była to późniejsza hrabina Bute, do której mnóstwo listów z Włoch pisanych przez panią Montagu, doszło naszych czasów. Z brzegów Afryki nasza podróżna takie uniosła wrażenie.

— O sześć mil angielskich od Tunis widzieć się dają szczątki pysznego wodociągu, który niegdyś dostarczał wody mieszkańcom Kartaginy, mąż mój zapewniał mię, iż wodociągi Rzymu nie są równej temu wspaniałości. Widziałam po drodze szkaradny lud tutejszy, śniady, brzydkich rysów, oszpecony tatuowaniem. Podróż nasza odbywała się przy księżycu który tu w całym biasku przyświecał, w dzień albowiem, upały są nieznośne. Zwiedzaliśmy też zwaliska starożytnej Kartaginy; odpoczęłam w jednem z podziemiów, które, jak mówią, miały być stajniami dla słoniów; jabym zaś wnosiła, po szczątkach pozostałych kolumn, że to były letnie pałace postawione dla chłodu pod tem skwarnem niebem.

— Opłynąwszy brzegi Afryki, stanęliśmy we Francyi. Okropny jest dla mnie widok nędzy, której zaradzić nie mogę, wszystkie wioski Francyi przedstawiają ten smutny obraz.

[1]) Jeszcze w Europie nieznanym był ten sposób chronienia się od okropności ospy naturalnej; pierwsza pani Montagu zaprowadziła go w Anglii a potem ospę krowią odkrył doktor Jenner.

Gdzieśmy tylko stanęli na przeprzęgu, tłum żebraków oblegał nas do koła. Twarze ich były tak wynędzniałe, odzież tak podarta, iż nie potrzeba im było wymowy aby nas przekonać o ich nędzy. Otóż to cała wspaniałość francuzka aż do Fontainebleau... tam dopiero zobaczysz tysiąc pięćset pokoi i przepych królewski. Ich opera nieznośna dla tych którzy słyszeli włoską, za to tragedya Bajazet, doskonale była odegraną przez aktorów francuzkich, życzyłabym naszym aktorom gry, tak pełnej pojęcia roli i uczucia.

Widziałam piękne owe francuzki, lecz wydały mi się nadzwyczaj śmieszne w swych strojach i z taką umalowane przesadą, tak zabawne w uciętych krótko i upudrowanych lokach, że mi się wydały wcale do kobiet niepodobne. Z radością a nadspodziewanie spotkałam w Paryżu siostrę moją (hrabinę Mar). Zwiedzamy razem Paryż; Wersal wydał mi się wspaniały, ale nie piękny i po włoskich pałacach podobać się nie może. W Luwrze widziałam młodego króla wraz z księciem Rejentem, Ludwik XV-ty jest wysoki, dobrze zbudowany ale zdaje się słabowity. Co mię tu najbardziej bawi to, że Anglik, tak samowolnie rządzi się w Paryżu; mówię o panu Law [1]). Spogląda on na Duków i parów Francyi de haut en bas, oni zaś najpokorniej mu się kłaniają, biedni! Jak ten lud lekki i wiecznie w ruchu będący, dziwnie wydaje się po tureckiej powadze. Kiedy spoglądam na tutejszych mieszkańców, to wyobrażam sobie, iż patrzę na maryonetki.

[1]) Wiadomo wszystkim jak Szkot Law, zawrócił głowę francuzom swym systematem papierowych pieniędzy, tak dalece, że w owym czasie gotówkę uważali jako monetę podrzędną, papiery zaś za prawdziwe bogactwo. To pojęcie znacznie się przyłożyło do bankructwa kraju za Ludwika XV-go i jego następcy.

Ogromne oczy na wszystko tu otwieram, lecz tego nikt nie zważa, *tu* dziwić się jest modą. Dziwią się chcąc komu okazać swe względy, dziwią się przez ciekawość, przez uprzejmość, przez dobry ton i t. p.

Między wiekiem młodzieńczym a męzkim, niema tu żadnego przejścia. Skoro tylko młodzian porzuci książki szkolne, zaraz wchodzi w piękny świat i natychmiast staje się śmiesznym, goniąc za płochemi rozrywkami, za wdziękiem i miękkością w ułożeniu; tak dalece, iż męzką powagę dopiero spotkać można u sześćdziesięcioletnich.

Przy końcu 1718 roku pani Montagu wróciła do Anglii, gdzie była okrasą dworu Jerzego I-go przez swą prostotę, piękność i naukę. Lecz jeżeli ona dodawała uroku zebraniom dworskim, dwór za to, w owych czasach różu, robronów, pudru i krygów musiał się jej, tak bardzo miłującej we wszystkich stosunkach życia, prawdę, niezmiernie nudnym wydawać. Słodziła niesmaki światowego życia, prawdziwa przyjaźń, którą dla pani Montagu mieli najstojniejsi uczeni angielscy jako też najmilsze kobiety londyńskiego świata, lecz po kilku latach pobytu Maryi Montagu w ojczyźnie, kiedy jej dowcipne wiersze zwracały uwagę dworu i uczonych, Marya, obraziła miłość własną sławnego Aleksandra Pope, który z najszczerszego przyjaciela stał się najzaciętszym wrogiem i pozostał takowym aż do śmierci, czerniąc w swych utworach sławę pani Montagu. Niestety, spór poszedł o wiersze i walka odbywała się na rymy, straszna rzecz miłość własna i zemsta ludzi, posługujących się drukarską prassą!

Gdy zdrowie pani Montagu zaczęło słabnąć, udała

się na stały ląd w 1739 roku i bawiąc kolejno w rozmaitych miastach włoskich, doczekawszy się licznych wnuków po hrabinie Bute swej córce, wróciła do Anglii zasmucona zgonem męża który nie opuszczał kraju, a w rok po stracie małżonka, na ręku swej córki i wnucząt, zakończyła życie w 1762 roku.

Jest w Lichfield w katedralnym kościele, pomnik wystawiony pamięci, tej ze wszech miar znakomitej kobiety. Posąg niewiasty wyobrażającej Piękność, stoi w postaci płaczącej nad urną tej, która wdziękom i zdrowiu, tak znaczną uczyniła przysługę, zapoznawszy swych rodaków ze szczepieniem ospy. Ten pomnik został wzniesiony kosztem Henryetty Inge w 1789 roku.

MAGERÓWKA I SOBÓTKI.

Sobótkę jako czas niesie,
Zapalono w Czarnym lesie.
Tam goście tam i domowi,
Sypali się ku ogniowi;
Bąki zaraz troje grały,
A sady się sprzeciwiały.

Każdy kraj, naród, każda okolica, ma swoje podania, pamiątki, ma uroczystości religijne, rodzinne malujące właściwy charakter mieszkańców. Któż, jeżeli nie lud prosty, zachowuje te święte pamiątki, któż jeżeli nie on, krok w krok, od wieku do wieku idąc śladem ojców, cześć składa ich wspomnieniu? Może zbyt powtarzane moje zaczęcie; lub może zbyt poważne, zbyt wiele mające pretensyi, do maluczkiego obrazu, w którym chciałabym kilka tylko wrażeń umieścić.

W roku 1852, bawiłam u wód w Solcu, w dość licznem gronie tych *pacyentów*, co to rano piją szkaradną wodę wykrzywiając usta, przed południem biorą kąpiel w przykry sposób drażniącą powonienie, po obiedzie aż do zmę-

czenia używają przechadzki, a wieczorem zapomniawszy całodziennej pańszczyzny naznaczonej przez lekarza, idą na salę, gdzie jeżeli tylko dobry humor posłuży, (o jaki u wód nie trudno), kilkanaście obojej płci młodzieży się zbierze, jeżeli szabas nie stanie na zawadzie orkiestrze, to wnet da się słyszeć drgającą polkę, serdeczny mazur, etykietalny kontredans, i młode pary chwytają się, krążą wirują, przesuwają jedna po drugiej, a patrząc na te ożywione lica, na jaśniejące pełnem życiem oczy, na usta w pół ze zmęczenia, w pół z uśmiechu otwarte, zapytał byś zapewne ciekawie, dla czego ta młoda zgraja tu przybyła, czy dla tego aby pijąc gorzką wodę ze źródła, wyprzedziła gorycze które mniej więcej los i życie między wszystkich rozdziela, czy też aby oddechem swoim odświeżyła powietrze przesiąkłe siarką i błotem. Ale jeżeli oko zmęczone ciągłym ruchem ochotnych tancerzy, różnobarwnym strojem lekkich tancerek, zechce spocząć na chwilę, jeżeli opuszczając środkowy punkt sali gdzie ten ruchomy żywych kwiatów kłąb się rozwija, zwróci je na szereg ławek podpierających ścianę, mniej zapewne powabny obrazek, ale nie mniej ciekawy, nasunie się jego spojrzeniu. Tu matka blada, wyżółkła, ze zmarszczką na czole, z uśmiechem na ustach patrzy jak jej dwie nadobne córki stawają do mazura, i kosztem własnego zdrowia, radaby przedłużyć zabawę, co przynosi wesele jej dzieciom. Tu babka poważna, z białym włosem na sędziwej skroni, co chwila przymyka snem zemdlone powieki, ale skoro jej się mignie różowa sukienka wnuczki, źrenica jakiegoś blasku nabiera, zdaje się odróżniać szelest tej różowej sukienki, a usta szepczą cichą modlitwę, ciche błogosławieństwo dla ukochanego dziecka. Nieco opodal, w rogu sali, otoczony nie wielką gruppą mężczyzn, siedzi człowiek

barczysty; bladą męzką twarz, ciemny wąs ocienia, szerokie ramiona ściska surdut opięty, lewą rękę wsunął za piersi, a prawą oparł na jednej z kul przy nim stojących. Jak dla sędziwej babki, talizmanem od snu chroniącym jest różowa sukienka, tak dla nieznajomego kaleki, błękitna szarfa co się w tysiączne kręgi rozwija, to raz obejmie wiotką tancerki kibić, to znowu wzniesie się wysoko, i wężem po nad ciemnym włosem przebiegnie, to muśnie jej różowe policzki, to się na ustach tancerza położy, to figlarnie obejmie obojga ramiony. Biedny kaleka patrzy choć nogi wyżej stóp ucięte, nie pozwolą z miejsca mu tego ruszyć, on przecie wzrokiem wplótł się w tańcujących koło, przebiega z niemi, krąży, wiruje, a tuż tuż przed nim migota błękitna wstążka młodej ciemno-włosej dziewczeczki. Któż jest ten mężczyzna? Kto ta młoda urocza dziewczynka? Czy to jej narzeczony? czy ona jego oblubienica? O! wpatrz się lepiej w te męzkie źrenice co takim ogniem płoną; patrzmy lepiej, tam namiętność jaskrawym blaskiem nie razi, tam czysta święta, choć ziemska miłość spoczęła, bo to jej ojciec! bo to jego córka! A na boku w jednym rogu sali, zebrało się drobnych taneczników koło. Jak młode powoju gałązki, poplotły swoje rączęta; małemi nóżki fałszywy takt biją, białe ząbki wysuwają z pod czerwonych ustek, co raz odrzucą kędziory, co im na czoło spadają, coraz mignią oczkiem, na siedzącą mamę, lub ojca, a w ich spojrzeniu nowej nabrawszy odwagi, weselą się, pląsają, chichoczą. A tuż koło okien sali, gdzie grzmi huczna muzyka, gdzie bawią się młodzi, patrzą starsi, chichoczą dzieci, gdzie pełno gwaru, wrzasku i życia, przesunęła się cicho, nieznacznie, bez żadnego szelestu, postać jakaś ciemna, poważna, zwróciła kroki pomiędzy klomby drzew, a księżyc w tej chwili wychylił głowę

z po nad białych chmur osłonki i oświecił ową postać, nie dokładnie rysującą się dotąd. Ah, to ojciec Lucyan! Zakonnik reguły Ś-go Franciszka, znany, kochany, szanowany od wszystkich, którzy go tam ujrzeli. Pomimo kaptura, głęboko wsuniętego na głowę, łatwo dojrzeć te oczy tak pełne blasku a tak łagodne, ten słodki uśmiech w którym się cierpienie przebija, ten wyraz pokoju, poddania, ten polot ducha ku niebu, ten wzrok wlepiony w miliony gwiazd, jak gdyby pomiędzy niemi upatrywał drogi którą się ma tam dostać, jak gdyby przeczuwał że się tam wkrótce dostanie. O! dziwną sprzeczność stawiała z cichym skromnym zakonnikiem, ta zgraja różnobarwna, gwarliwa, dziwną swoim strojem, dziwniejszą może jeszcze swym duchem. Ale dla czegoż mówić o tej sprzeczności? czyż ona tak szczególna, tak rzadka na świecie? Czyż jej co dzień nie widzimy, w głośnym śmiechu, w ciężkich łkaniach, w boleści i rozkoszy, w pogardzie i uwielbieniu, w nędzy i bogactwie? Ja tylko chciałam wspomnieć kilka chwilek spędzonych w Solcu, ja chciałam wspomnieć o tańcach na które patrzałam, o zabawach, którym niekiedy uczestniczyłam, o spacerach, które ochotnie dzieliłam z drugiemi, wreście o uroczystej Sobótce, niegdyś u nas w kraju, w wigilią Ś-go Jana obchodzonej, a dotąd, choć może niemniej uroczyście, w Krakowskiem i Sandomierskiem, utrzymującej się jeszcze.

Owoż tedy grono owych *pół pacyentów*, co to przyjeżdżają niby się leczyć, a niby bawić, mając tyle rannych spacerów przy piciu wód, które pomimo wód, które pomimo błota i deszczu i zimna, odbywały się z wielkim zapałem, mając do sytu muzyki, podówczas pod dyrekcyą pana Siwka będącej, która każdego dnia zacięcie grała, wy-

jąwszy Soboty, bo wtedy trzeba było szanownym dyrektorom orkiestry, szabas odprawiać; nie kiedy mając dla rozrywki, współpacyentów z sąsiedniego Buska w celu wzajemnego naradzenia się, którego dnia ma być bal lub fantowa loterya, nakoniec mając dla zupełnego uharmonizowania wiejskiego życia, massy przechodzących żydków, z różnemi pachnidłami, mydełkami, gracikami, a wszystko to niezmiernie potrzebne, dobre i tanie, mając tedy to wszystko i w przeciągu dwóch tygodni oswoiwszy się ze wszystkiem, jak z chlebem powszednim, zapragnęliśmy jak owi żydzi na puszczy, innego pokarmu, prócz zwykłej manny i o mało jak żydzi na Mojżesza, nie poczęliśmy wołać na pana Godefroa dziedzica Solca: *daj nam co innego.* Aż nakoniec w tem rozpamiętywaniu o marnościach świata, a rozmaitości zabaw, zeszedł nas szanowny dziedzic i zapytał: „A znacie państwo Sobótkę?

Niektóre z osób przytomnych, poprzednio będące już w Solcu, odpowiedziały z twierdzeniem, większa zaś liczba, a do tych i ja należałam, odpowiedzieliśmy, że znamy tylko z pism i ze słyszenia.

— Otóż jutro będzie Sobótka, dodał pan Godefroa, jeżeli pozwolicie państwo, przyślę tu dwie czworokonne karety, o dwudziestu czterech oknach, dobrze słomą wysłane, kto łaskaw to siądzie, bo ztąd do Magierówki blisko pół mili drogi, a choć suknie dam nie zupełnie z tych powozów wyjdą świeże, to się przynajmniej nóżki oszczędzą.

— Dobrze, dobrze! ze wszystkich stron zawołano; A prócz nas będzie kto jeszcze więcej? Pan czy będzie?

— A jakże, jako widz i jako gospodarz.

— Jenerał S... czy będzie?

— Bez niego niepodobna, wszak on jest prawdziwą zachętą wiejskich zabaw, już mi wszystkich moich ludzi serca poodbierał.

— O której porze zaczną się Sobótki?

— Po zachodzie słońca.

— Więc czekamy.

— Do widzenia.

Wierzcie mi państwo, że po większej części nasze potrzeby nie są koniecznością, ale urojeniem konieczności; widzimy to w pokarmach, strojach, zabawach. Gdyby to było inne miejsce nie poczciwy Solec, gdzie Bóg dobry niemniej choć gorzkie ale zdrowe dał źródełko dla swego ludu, gdyby to było w cudnej Szwajcaryi, w uroczych okolicach Renu, gdzie taka massa Europejczyków się zjeżdża, gdzie taka różnobarwność, taki przesyt wszystkiego, pewnie uroczystość Święto-Jańska, pewnie nasze Sobótki, które tak Kochanowski w Czarnolesie wyśpiewał, pewnie stara naszego ludu zabawa, a dla tego właśnie mu droga że stara, nie miałaby tyle powabu dla towarzystwa *tak zwanego z wyższem wykształceniem*, a które na teraz gromadziło się w Solcu. Ale jak powiadam nie było w czem przebierać nie było o czem wykwintniejszem marzyć, więc każdy zaczął myśleć o Sobótce, i w miarę bogactwa wyobraźni własnej, zaczął ją w różne sukienki przystrajać. A że projekt rano jeszcze ułożono, więc dzięki Bogu do wieczora gotowy był przedmiot do pogadanki.

O godzinie dziewiątej wieczorem, trzask bicza, kilkakrotnie powtórzony, dał hasło aby się wybierać na umó-

wioną wyprawę. Młode dziewczątka, chciwe zawsze pokazania swoich świeżych sukienek, swoich ładnych kapeluszy, pomimo uwag matek, pomimo niezbyt eleganckich *ekwipaży*, postroiły się jednakże; starsze zaś do których ja należałam, wzięły suknie codziennie na wody używane, a przezorniejsze, zabrały nawet i kalosze. Kilka dywanów pokryło potężne snopy słomy, zastępujące miejsce elastycznych poduszek w powozach, kilka trwożliwych: ach! i kilka głośnych śmiechów, dało się słyszeć przy wsiadaniu. Istoty młode *nieważkie* płynęły lekko po powierzchni falistej słomy, ale niestety te, w których siła ciężenia była widoczniejszą, wpadły za pierwszym skokiem jak gdyby w przepaść, w której zaledwie głowy było widać. I znowu nowy śmiech, nowe klaskanie w ręce, nowe gwary i uciechy.

— A mój Boże, gdzie parasolik? pytała jedna. Ja zgubiłam trzewik w słomie! wołała druga. Czy mama ma moje rękawiczki? zagadnęła trzecia. A czy ci dobrze? A gdzie masz nogi? A czy ci suknia na koło nie spadła? I Bóg wie dopókiby było tych zapytań, urządzań się, sadowień, gdyby dziarski a niecierpliwy krakowiak, nie trzasnął raz jeszcze z bicza i konie nie ruszyły, a za ich przykładem, drugie, następnie kilka bryczek zajętych przez młodych panów, bawiących u wód w Solcu.

Dzień był niezmiernie gorący, słońce dopiekało do rana, wieczorem przed zachodem skryło się za obłoki, ale chociaż jego promienie nie paliły jak poprzednio, powietrze niemniej było duszące, ciężkie i parne. Chmury czarne nagromadzały się w około, a i w dniu poprzednim widać było Tatry o ośm mil leżące od Solca, (niezawodna przepowiednia deszczu).

Skoro konie ruszyły z miejsca, pomimo znacznego ciężaru, pomimo drogi gliniastej i grzęzkiej, pędziły szybko: bo żwawi krakowiacy, chcieli jeden drugiego prześcignąć i tylko ich haftowane kerezyje, wiatr na dwie strony rozwijał, bił po twarzy falami długich ciemnych włosów i bujał pawiem piórkiem wznoszącem się nad czerwoną czapeczką.

Jużeśmy minęli figurę stojącą na pół drogi między Solcem a Zborowem, figurę przedstawiającą Chrystusa Pana wyrobionego z kamienia, wzniesionego na kamiennym słupie, w postawie siedzącej, opartego na ręku, nie wiem w której chwili życia swojego, czy wtenczas kiedy płakał nad synami Jerozolimy? czy wtenczas kiedy dumał o mającej nadejść śmierci męczeńskiej i gorszej jeszcze od śmierci zdradzie swego ucznia Judasza?

Zapewne artysta nie znalazłby w tej postaci Zbawiciela odpowiednich warunków piękności, ale lud prosty z taką wiarą odmawiał nieraz serdeczne pacierze, ale przechodzące ubóstwo w kornej postawie klękało przed tym, którego głowa pochylała się na piersi pod ciężarem boleści, ale ja i moje młode towarzyszki, które przy mnie były, tyleśmy razy składali wieniec z kwiatów u stóp jego! Mój Boże! cztery lata upłynęło od tego czasu, dziećmi były wtenczas, jedna z nich dopełniła już powołania, jakie niebo naznaczyło kobiecie, druga przed tronem Ojca w Niebiesiech, składa od roku swe modły. Mój Boże! jakże nie raz gorąco modliła się z nami, pod tą figurą! a ja żadnych z chwil życia swojego minionych, choćby najweselszych, nie żałuję tak jak tych, w których łaska Nieba wiarą i modlitwą mnie natchnęła.

Jużeśmy minęli figurę, punkt środkowy pomiędzy Solcem a Zborowem. Zborów jest to wioska ładna, w ładnem położeniu, własność pp. Godefroa, niemniej jak kilka

innych wiosek, a pomiędzy niemi Solec, gdzie są urządzone mineralne kąpiele i wody do picia. Zborów i wioski przyległe były kiedyś własnością tak znanych w kraju naszym Zborowskich. W tych stronach, jak mówią, niegdyś ów sławny Samuel Zborowczyk zamieszkiwał. Od Zborowa do góry zwanej Magierówka, lub Magiera, jest pół mili drogi, ztamtąd zaś do miasteczka Stopnicy cała mila. Na Magierówce od strony zachodu, wchodzi się do jakichś ukrytych sklepień, o których różne dziwy gadają, zwyczajnie jak o wszystkiem, czego oko sprawdzić nie może, a bujna wyobraźnia, stara się dopełnić. Mówią, że podziemia te ciągną się przez całą milę i prowadzą do miasteczka Stopnicy. Mówią, że Samuel Zborowczyk w czasie swojej banicyi w nich się ukrywał, że ten tunel milowy przebywał swobodnie, że tam wielkie skarby po sobie zostawił, a niektórzy nawet, to jest amatorowie zakazanego przez Mahometa napoju, łykają ślinki, bo powiadają że biedny wywołaniec jak mógł się tam pocieszał i pozostawił po sobie beczki dobrego, bo ma się rozumieć, jak dziś to już i starego wina. Do tego jeszcze dodajmy, że lud prosty umieścił tam i duchy! Śmiejcie się moi państwo, ale uderzmy się w piersi i przyznajmy, że lud prosty najczęściej nas zawstydza, bo tam gdzie my tylko materyą widzimy, oni zawsze znajdują i ducha. Wracając się jednak do poprzednich podań, raz jeszcze powiadam, żem je tylko słyszała jako ustne, nie zaś jako fakta historyczne. Co do tych sklepień, do których po części sztuka, po części natura musiała rękę przyłożyć, nie wiem czy je kiedy dokładnie zbadano: bo jeżeli wszyscy badacze tak byli odważni jak nasi towarzysze, z któremi razu jednego znajdowałam się w tem podziemiu, to nie wielkie korzyści z tego mogły wyniknąć: gdyż po kilku krokach naprzód

zrobionych, cofnęliśmy się do odwrotu i wyprawa skończona. To jednak trzeba wyznać na usprawiedliwienie opuszczającej nas odwagi, że atmosfera była zimna, wilgotna niesłychanie, a mniej więcej pacienci Soleccy artrytyczni, więc jedno chwyciło się za głowę, drugie za nogę, trzecie za rękę i w jednej chwili przypomnieli sobie, że nie przyjechali dla zwiedzania okolic i skarbów zaklętych, ale żeby się tłustem Soleckiem błotkiem okładać i w wonnej siarce kąpać! Dodam jeszcze jedno na obronę opuszczającej nas odwagi, że tak było mało powietrza, tak było duszno, iż zapalona pochodnia zgasła natychmiast.

Ależ widzę nie wybrnę z tej rozpoczętej drogi od Solca, już teraz zaczynam na *serjo*.

Przejechaliśmy koło figury, następnie przez Zborów, koło pięknego ogrodu, koło pięknych starych drzew i znowu dalej jakaś figura, jakaś chatka i znowu jakieś drzewa, coraz nie wyraźniej rysujące się przy zmroku wieczora, przy grubych czarnych chmurach, zasłaniających księżyc niekiedy, ukradkiem ciekawie wysuwający twarz bladą z pod ich ciemnej osłony. A tu i owdzie pod lasem, dalej przy chacie owczarza, tuż obok łanu płowego zboża, nad brzegiem jakiejś wody, migocą nie wyraźne ognie. Za chwilę płomień się ich rozszerza, rozdyma, wznosi w górę i kiedy na wpół ciekawe, na wpół trwożliwe oko weń wpatrzemy, jaskrawy żywioł blednie, maleje i niknie, a tuż przy nim, przed nim, za nami, inny znowu powsta je wznosi się i szeroko ramiona rozciąga.

Byłożby to złudzenie? byłyżby to cuda? tak, to są cuda ludowych pamiątek, to są stare zabytki przeszłości, to są oddawna znane sobótki.

Każdy tu chłopek, przez rok chociaż ciężki, oszczędził kilka snopków słomy, może z krzywdą nawet bydeł-

ka, każda dziewczyna przyniosła bodaj wiązkę suchego chróstu, aby uczcić wigilią świętego Jana, zapaleniem Sobótki i gdzie ogień szerszy, gdzie jaskrawszy, tam więcej uciechy.

Zbliżaliśmy się do Magierówki, ale właśnie przed nią, trzeba było zjechać w dolinę drogą spadzistą, z boku pochyłą, nierówną wszędzie, a dodać jeszcze kamienistą i śliską. Za chwilę Magierówka miała nam się ukazać w całym swoim uroku, wpatrzyłam się ku niej z jakimś dziwnym zachwytem, chciałam ją wzrokiem przed wszystkiemi doścignąć, ale nagle trwożliwe krzyki moich towarzyszek, zbudziły mnie z tego zachwytu. Jak powiedziałam, droga była stroma i śliska, a panowie w bryczkach jadący za nami, chcieli koniecznie nas prześcignąć, godność zaś naszych krakowskich woźniców, oburzała się na samą myśl podobnej zniewagi, więc ma się rozumieć, co chwila biczem obudzali dumę w szlachetnych zwierzątkach, nie pozwalając się im wyprzedzić. Na prośby zaś, groźby i wzywania pań, woźnice byli głusi. Konie niestety! słyszały wzywania dobrze, ale na to tylko, aby przerażone, bardziej jeszcze przyśpieszały biegu. Wreszcie, dzięki Bogu, bez żadnego wypadku, któryby pewnie nadał większy interes naszej przejażdzce, dostaliśmy się na drogę równiejszą a ztamtąd powoli wjeżdżaliśmy pod górę.

Cudowny, choć nieco ponury, nieco dziki rozwinął się przed okiem widok. Owa góra co we dnie z jednej strony patrzyła na Winiary, takie piękne, zielone, fantastyczne, przeglądające się, kąpiące w naszej kochanej Wiśle, co patrzyła na starą Wiślicę, od kilku wieków przechowującą w swem łonie statut Kazimierza, co widziała niekiedy we mgle wrzące Tatry, co poglądała na blizką swoją sąsiadkę *Kamienną górę*, na śliczną wioskę *Kikow*, strojną świeżuchną jak młoda druchna, owa góra Magiera, cel naszej podróży, zdawała się dzika, ponura niby wyrwana z zamyślenia, niby ze snu zbudzona krzykiem ochoczej wiejskiej młodzieży, śpiewem dziarskich krakowiaków, muzyką rzniętą od ucha, która głośno witała przychodniów. Ależ to nie dla niej, śpiewy gwarnej młodzieży, nie dla niej tony bezładnej muzyki, ona stara laty, poważna wspomnieniami, otoczyła się ciemnym płaszczem wieczoru, nasunęła na czoło obłoki nad nią wiszące i zdaje się jakby ogromne drzewa, co ją z jednej strony otaczały wieńcem, szmerem swoich liści wypowiadały jej skargi.

Jednak ochotna młodzież, nie słucha starej gdery, nie wpatruje się w jej zasępione lica, ona tylko z radością klaską w twarde dłonie, kiedy ognisko szerzej ramiona wyciągnie, kiedy basetla i skrzypce silniej się ozwą, kieyd chłopak w wirowym kręgu swoją tancerkę, powiedzie w sam środek ogniska, kiedy inny niemniej przekorny, niemniej swawolny, zapalony zwój słomy pod bose nóżki podrzuci. Bo trzeba wyznać moje salonowe panie; co to w atłasowych trzewikach, migacie lekko po woskowanej posadzce, że żadna w zręczności nie sprostałaby zręcznej krakowiance, bo przesuwać się prawie po ognisku, a nie poparzyć bosych nóżek, lub poparzywszy, znieść to ze stoicką odwagą, tak, że ani tancerz, ani widzowie nie spostrzegą, to trzeba prawie cudu... a może tylko niezmyślonej a serdecznej chęci do zabawy.

Zwyczaj palenia ognisk w wigilią świętego Jana, tak upowszechniony w Sławiańszczyźnie; znany był niemniej i u innych starożytnych ludów. Bretonowie, wierne prawnuki starych Gallów, zachowują go dotąd. Niedawno wpadł nam w ręce opis tego obrzędu w Armoryce, docho-

wany po dziś dzień. Przytaczamy go wiernie: „Mrok zapada pomału, widnokrąg tonie wśród ciemności. Młodzież wiejska ciągnie od wioski na pobliskie wzgórza, wlekąc za sobą długie szczapy drzew i suche gałązki chrustu, które mają wieczorem spłonąć na cześć świętego Jana.“

„I niebawem każdy wierzchołek skały, zabłysnął jak gwiazda, tysiące ognisk wybiega z pod ziemi, jakby ogień z nieba spadł na starożytną ziemię Bretonów. W powietrzu tymczasem brzmią głośne okrzyki, a po nad niemi panuje głośny dźwięk pasterskiej kobzy.“

„Starcy oparci na koszturach, snują się poważnie od ogniska, a piękne jasnowłose dziewczęta Armoryki, przyglądają się ciekawie ogniom, które w dniu tym po dziewięć kroć zapala lud na cześć Ś-go Jana.“

„Pasterze tymczasem, przepędzają trzody przez gorejące płomienie, a potem sami wyprawiają do rana ochocze pląsy i tany. W około ognisk urządzone widać wygodne siedzenia. Tam zasiadają niewidzialne duchy zmarłych i przewodniczą miłej im niegdyś zabawie.“

„Gdy ogniska gasną, dziewczęta na wyścigi biegną ku nim i wydzierają z pośród promieni na pół opalone listki *gehet*. Te listki zawieszają na szyi, aby ich mocą chronić wdzięki od zatraty. Starzy zaś unoszą dymiące głownie i mieszczą je na ścianie po nad łożem, między święconą palmą a znakiem Bożej męki, aby odwracały gromy i burze od ich ubogiej chaty.“

Opodal na boku, zastawiona ucztą nie kosztowna, nie wykwintna, jak dla prostego ludu; beczka piwa, beczułka wódki, ot, i cały bal na teraz. A przy tej beczce, beczułce, stoi jakaś urzędowa figura włódarz czy karbowy, ba prawda! coś większe bo sam pan pisarz. Kiedy niekiedy przemówi do młodzieży z napomnieniem, aby nie tak często odwilżała spragnione usta; ale gdzie tam gadać i dziś zaraz każdy idzie do *Jaśnie Pana Jenerała*, żeby się użalić, że mu tego odmawiają, co mu jego hojność przeznaczyła, a poczciwe serce Jenerała, widocznie się raduje, z tej przewagi jaką powziął nad tutejszym ludem. Boć mniejsza o to że dziś piwa i wódki im dostarczył, ale przed parą laty, z jednej wioski do drugiej wodę własnym kosztem rurami sprowadził,(1) jak sam powiada przez wdzięczność, że go tutejsze źródło uleczyło, a czego zagraniczne dokazać nie mogły. Daj Boże, abyśmy na naszej ziemi, więcej takich wdzięcznych serc znaleźli.

Otóż jak powiadam, każdy z nich idzie do *Jaśnie Generała*; a generał to ich połaje że za dużo piją, to poklepie po ramieniu, to ściśnie za głowę, a zawsze zwróci uwagę na dziedzica obok stojącego, na właściwego ich pana; tylko to napróżno, bo generał dziś królem balu obrany. Wszędzie też go pełno, zachęca do zabawy, odwodzi od zbytku i miarkuje niekiedy zbyt głośną uciechę. Jego postać wysoka wysmukła, poważna a przecież giętka pomimo wieku, przesuwa się tu i owdzie. Skoro postąpi bliżej ogniska, widać włos pobielany, czoło wysokie, oko pełne energii. Chociaż od lat wielu spokojną wioskę zamieszkał

---

[1]) Na drodze pod samą wioską Solcem, rezerwoar, nad nim umieszczony kamień, z napisem, studnia Szydłowskiego.

mimowolnie jednak patrząc na niego, zdaje się, że pałasz u boku migota.

Na lewo wpół kole, inne się wcale utworzyło grono; nie są to już owi zręczni tancerze, ani lekkie hoże tancerki, co na planie naszego obrazu, główne miejsce zajmują, ale są to postacie rosłe i małe, różnego wieku i kształtu, jednych starość przystroiła w zmarszczki, drugich młodość w świeżą krasę, a wszystkich mniej więcej ubóstwo w łachmany. Są to matki kilkorga dzieci, w gronie tych dzieci przybyłe; są to nakoniec komornice, najemnice, niższa warstwa w społeczeństwie wiejskiego ludu. Ich ubiory szczególniej niewiast, składające się z jakichś płócien, w rodzaju burnusów zarzuconych, miały w sobie coś dziwnie fantastycznego. Dodać jeszcze należy, że cała gruppa tych ludzi, tworząca półkole, oparta była o ścianę wysokich, gęstych drzew, a płomienie padające z ogniska, nadawały im wyraz raczéj duchów aniżeli mieszkańców ziemi.

Po drugiej stronie, inni widzowie zajęli miejsca i było to nasze towarzystwo, zamieszkałe chwilowo w Solcu, dla poratowania zdrowia, a z którem jak już wspomniałam przybyłam na Magierówkę. Ładne ale delikatne twarzyczki panienek, skromne ale świeże i lekkie stroje, dziwną sprzeczność tworzyły z twarzami ludowych dziewcząt i ich prostem ubraniem; ale nierównie większa sprzeczność dawała się widzieć, w strojach i postawach młodych wiejskich chłopaków. I cóż w tem dziwnego? Zanadto odskoczyliśmy od pierwiastkowego wychowania, od pierwiastkowego trybu życia, odstąpiliśmy od matki natury, i z ufnością niedoświadczonych dzieci, rzucaliśmy się w objęcia sztuki.

Zabawa była zajmująca, bo ochocza, szczera, a serdeczna. Patrzyłam na ten lud prosty, poczciwy a swobodny, ze łzą w oku, nie wiem rozrzewnienia, szczęścia czy zazdrości, patrzyłam na te uciechy, na to wesele nie udane. Słyszałem co chwila powtarzane okrzyki wdzięczności dla generała S., co im taką niespodziankę wyprawił, i pod wpływem wrażenia, podbiegłam pod jedno ognisko, wyjęłam kawałek papieru, ołówek i te kilka wierszy napisałam do niego:

Mój Jaśnie Panie, niech ci Bóg płaci,
Chociaż nie za mnie, to za mych braci.
Jać tam Mazurka, to Krakowiacy,
Ale my z rodu, wszyscy jednacy.
Boć wszyscy idziem od ojca Lecha,
To ich uciecha, moja pociecha,
Toć się też serce moje raduje,
Widząc Krakowski lud jak tańcuje.
Chociaż nie jemu tańczyć się godzi,
Boć głód, zaraza, częste pożogi,
Dawno już weszły w Krakowskie progi.
A blada nędza wziąwszy się w boki,
Z chaty do chaty wiedzie swe kroki.
Lecz dajmy pokój, niechaj lud skacze,
Ja nie chcę dumać, bo się rozpłaczę.
A płacz podobno przy wodach szkodzi.
Więc się też wolę z niemi weselić,
Ból mój potłumić, radość podzielić,
Myślą pobiegnąć w dalekie czasy,
Ku Kochanowskim tam, w Czarnolasy
I tam się wplątać w tańczących koło,
I tam pohulać sobie wesoło.
A potem wrócić tu, na Magierę
Aby powtórzyć życzenia szczere,

Mój Jaśnie Panie, niech ci Bóg płaci,
Chociaż nie za mnie, to za mych braci.

Zacny jenerał przyjął z serdeczną zwykłą uprzejmością ten dowód mego szacunku dla niego. Była może godzina jedenasta przed północą, kiedy długo posmutniałe i posępne chmury, rozpłakały się nakoniec grubemi kroplami deszczu. Zabawa jednak takiego ducha nabrała, że nie tylko tancerzom, ale nam prostym widzom, ruszyć się jakoś z miejsca nie chciało. Kto mógł, nasunął kaptur na głowę, kto mógł skrył się pod jakie drzewo, aby chwilkę pozostać, aby chwilę sympatycznie podzielić takie radosne serc wylanie. Co jeszcze powiem, ten przekorny deszcz, więcej uroku nadał naszej wyprawie; nigdy pełna pogoda, jasne niebo, czysty księżyc, nie harmonizowałyby z tą prostą, na wpół dziką zabawą ludu. Nigdy ciepły wietrzyk coby lekko muskał gładko uczesane włosy młodych panienek, nie byłby takiej wesołości obudził, jak deszcz, co bez ceremonii bił po ładnych główkach i białych ramionach. A owe świeże leciuchne sukienki, mój Boże! co się też z niemi działo; biedne, zgniecione, mokrą gliną, wigotnym piaskiem powalane, szczęście że noc je tajemnicą pokryła. Powoli powietrze zaczęło się ochładzać, deszcz zimny a uporny gasił gorące ognia płomienie przykro mi było patrzeć na ten żywioł który bez litości drugi pochłaniał, i to z takiem zimnem systematycznem wyrachowaniem gasił każdy żywszy, gorętszy jego wybuch. Trzeba było pożegnać Sobótki; ogniska przygasły, muzyka milkła, nawet gdzieś znikła z przed oczu, zwróciliśmy prawie po ciemku nasze kroki ku drodze, ale jakież było zadziwienie, kiedy zaledwie zstępując z góry, zaświeciło nagle kilkanaście pochodni, a muzyka zabrzmiała pożegnalnym marszem. Była to miła niespodzianka, przez pana Godefroa dla nas zrządzona.

Było tam jeszcze i kilka wypadków, w powrocie do Solca, jako to złamanie jakiejś parasolki, rozdarcie jakiejś sukni, zgubienie kalosza: w dodatku kilka *oh!* kilka ah! przy zjeżdżaniu gliniastą, a przez deszcz bardziej jeszcze rozmiękłą i śliską drogą, ale nic ważniejszego nad to nie wypadło, a kąpiel kroplista jaką nam obłoki sprawiły, jakkolwiek nie wchodząca w tryb kuracyi Soleckiej, nikomu nie zaszkodziła, i nie wiem nawet czemu wszystkie artrytyzmy przyczaiły się dnia tego.

KILKA CHWIL
Z ŻYCIA ARTYSTY.

I.

Było to w pierwszych dniach kwietnia 1700 roku. Na Maryackiej wieży w Krakowie tylko co strażnik wytrąbił *Salve Regina*; odgłos pieśni, płynął z rosą wzdłuż nadwiślańskich wybrzeży, niesiony ku Karpatom wiatrem wschodnio-północnym. Kraków tylko co ze snu ockniony poruszył się jakby wielkie mrowisko. Pusto jednak było w starym grodzie Krakusa; obszar miasta nieodpowiedni ludności, czynił je podobnem do wielkiego grobowego pomnika, wymownie świadczącego o minionych wiekach chwały. Całe domostwa stały pustkami, nosząc jeszcze ślady niszczącej ręki Szweda.

Daremnie, dzwony czterdziestu kościołów, wzywały wiernych na modlitwę; nie było komu się modlić; gdzie niegdzie tylko mieszczanin przybrany w ciemny kontusz

rozpięty na piersi, z pod którego wyglądał pas zwyczajem miejskim okręcony w koło bioder na żupanie: w rogatej czapce krymskim obszytej barankiem, odkrywając głowę i szepcąc *Ave Marja*, wstępował w otwarte podwoje kościoła. Niekiedy towarzyszyła mu podeszła jejmość otulona półsalopkiem z błękitnego grodeturu z królikami, przybrana w wysoki rąbkowy kornet, z pękiem korali na szyi, a różańcem w ręku, za kupnem żywności, której aż na zbyt hojnie dostarczali okoliczni Łobzowianie i Proszowiacy. — Wozy naładowanem zbożem ciągnęły pomału na Kleparz, ów bogaty spichlerz Krakowian. Górale w krótkie przybrani gunie kafowej barwy, zarzucone ledwie na rękawy, w kapeluszach okrągłych na głowach, w skórzane obuci kierpce, znosili na targ ptastwo dzikie i suszone ryby, lub też jednokonnemi wózkami wieźli na sprzedaż bryndze i domowe sprzęty, zręcznie z drzewa wystrugane nożykiem. Góralki dźwigały na plecach sztuki białego płótna, albo zioła lekarskie z Babiej góry. Stróże tymczasem zamiatali ulice, a żebraczki okryte w nędzny łachman, chciwie rozgrzebywały śmietniki, w nadziei, że im los coś nadarzy i że choć raz w życiu sprawdzi się na nich przysłowie: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje!

Po moście, który przecina tak zwaną starą Wisłę i wiedzie na przedmieście Kazimierz, biegło żywo drobne dziesięcioletnie pachole, przybrane w płową wytartą kontusinę i skórzanym opasane paskiem. Z pod czapeczki, obszytej wytartym barankiem, której barwy trudno było dopatrzeć, tak zmienioną była od słońca i deszczu, wysuwały się kosmyki białych jak konopie włosów, zwyczajnych wszystkim niemal polskim dzieciom. Twarz chłopca

była blada, oko błękitne, nieco zamglone; rysy dość kształtne, miały wyraz, tęskny i zadumany. Przebiegłszy most sunął co żywo na Kazimierz, wymijał przechodzących, nie oglądając się wcale za niemi, na nic nie zwracając uwagi, jakby go kto gonił, lub jaka ważna myśl pędziła wciąż przed siebie. Przebiegł już całą Szewcką ulicę, potrącając nieuważnie żydów, którzy snuli się tu i owdzie, w wielkich futrzanych czapkach i długich łapserdakach i klapali śmiało pantoflami o bruk własnego przedmieścia, po którem woń śledzi, czosnku, i cebuli rozchodziła się szeroko. Dobiegł wreszcie do krakowskiej ulicy i wązką przecznicą zawrócił na prawo. Oko jego zabłysło radością, gdy ujrzał naprzeciw siebie wspaniały gotycki przedsionek, kościoła świętej Katarzyny. Wszedł z cicha przez otwarte drzwi, umoczył rękę w święconej wodzie, przeżegnał się krzyżem świętym, i po marmurowej posadzce pustego prawie przybytku, pobiegł lekko przed ołtarz świętej Katarzyny, przed którym właśnie ksiądz augustyanin, odprawiał ofiarę Mszy świętej. Ukląkł pokornie na boku, koło wspaniałego grobowca Spytka Jordana kasztelana krakowskiego, złożył obie ręce do modlitwy, i oko wlepił w obraz: a w miarę jak poglądał na promieniejące oblicze świętej męczenniczki, której Dzieciątko Jezus składa na głowie oblubieńczy wianek, gdy tymczasem aniołowie, w śnieżną mgłę otuleni, rzucają z nieba lilije i róże, i na złotych harfach przygrywają pieśń wesela. w miarę jak obejmował wzrokiem cudowne dzieło sztuki, twarz pachołęcia nabierała znaczącego wyrazu, rozpłomieniała się uroczo; oko jego płonęło, jakby nadziemskim zapalone ogniem; rumieniec oblewał zwolna jego blade jagody; pół otwarte usta koralową przybierały barwę, a pierś poruszała się coraz żywiej.

Msza święta skończyła się; ksiądz augustyanin, pochylony i siwy starzec, odszedł z kielichem do zakrystyi, a nasz chłopczyna, klęczał jeszcze na miejscu, jak przykuty. Dziadek pogasił świece, obecni wyszli z kościoła, on jednak pozostał przed ołtarzem. Ale nieco opodal siedział w ławie mąż urodziwy i wspaniały, przybrany w zieloną aksamitną delją podbitą sobolem. Oblicze jego piękne było i ujmujące; wysokie czoło cechowała myśl podniosła, a wąs ciemny i długi po nad rumianemi zwieszony usty, nadawał mu dzielną i rycerską postawę. Dopełniała jej karabela, bogato w jaszczur oprawna, która nieznacznie wyglądała z pod sobolowej delii.

Był to Franciszek Maxymilian Ossoliński, później podskarbi nadworny króla Stanisława Leszczyńskiego chorąży Drohicki, mąż nie podeszły jeszcze w lata: nie wskazywał bowiem więcej nad lat trzydzieści kilka, ale zasłużony już i wielce poważany od współczesnych.

Ossoliński ciekawie poglądał na chłopczynę, śledził okiem każde jego poruszenie, czekał długo. chcąc go jak się zdaje odgadnąć, ale widząc nareszcie, że chłopiec nie myśli powstać z miejsca, zbliżył się cicho i rękę położył na jego ramieniu.

Chłopiec drgnął z przerażenia.

— Święta Katarzyno ratuj! zawołał stłumionym głosem i padł twarzą na ziemię.

— Nie bój się chłopcze, zagadnął Ossoliński, ja ci przecie nic złego nie zrobię, no spojrzyj mi w oczy, wszakże ja nie taki straszny.

To mówiąc podniósł chłopca; objął obiema rękoma jego jasną łowę, i obrócił ją ku sobie.

Chłopczyk zrazu blady był jak ściana, ale pomału lica jego nabrały lekkiej barwy, aż w końcu zarumieniły się mocno.

— Jak ci na imie mój mały? zapytał chorąży łagodnie.

— Szymonek, odparło drżąc pachole.

— No mój Szymonku, uspokój się; nie masz się czego lękać, chodź ze mną, boć to w domu bożym rozmawiać nie wypada. Poranek piękny, pójdziemy trochę za miasto i tam pogadamy sobie bo widzę, że walny z ciebie chłopak, chociaż nieco tchórzem podszyty; nie zdałbyś się jak widzę na żołnierza.

Chorąży rzekłszy te słowa, przyklęknął przed ołtarzem, uderzył czołem o kamienne stopnie, przeżegnał się, wziął za rękę drżącego chłopczynę i przez pyszne podwoje gotyckiego przedsionku, wyprowadził go na ulicę. Doszli w milczeniu do rogu ulicy krakowskiej, zawrócili nią w prawo ku Wiśle, i tuż przed sobą ujrzeli kopiec Krakusa, zwany powszechnie rękawką.

— No mój Szymonku, rzekł chorąży, idąc z chłopcem wzdłuż krakowskiej ulicy, powiedz że mi, czemuś tak klęczał jak osłupiały przed ołtarzem? Czy masz jakie zmartwienie żeś się tak modlił gorąco? czy ci kto zrobił co złego?

Szymonek milczał chwilę, spojrzał na chorążego zpod oka, ale ośmielony wyrazem dobroci wyrytym na iego twarzy, odpowiedział półgłosem:

— Nie proszę pana, nikt mi nic złego nie zrobił.

— O cóż się więc modliłeś? czy o zdrowie dla matki?

— Moja matka wcale nie chora.

— A gdzież ona jest?

Szymonek wskazał ręką w górę.

— Tam, odrzekł, z aniołami w niebie.

— A zkądże ty wiesz o tem?

— Alboż to ja raz widziałem matkę we śnie, a ile razy przyszła do mnie, to zawsze wskazywała mi niebo i mówiła: patrz zawsze tam Szymonku, bo tam mieszka pan Jezus i Najświętsza Jego matka, i aniołowie i święci i dusze tych wszystkich, co dobrze żyli na ziemi.

— A zkądże wiesz, że tam jest i matka twoja?

— O! bo ona była dobra, bardzo dobra, a potem kiedy mi zawsze mówi o niebie, toć je musiała widzieć.

— A ojca, czy masz jeszcze?

— Ojciec już dawno umarł; jeszczem był maleńki to go też wcale nie pamiętam.

— U kogoż ty jesteś mój Szymonku?

— U rodzonego stryja, co jest nauczycielem w parafianej szkółce, przy kościele Panny Maryi.

— A czy dobry on dla ciebie? czy cię czego uczy?

— O! i bardzo dobry, uczy mnie czytać, pisać i rachować.

Szymonek milczał chwilę, schylił głowę a potem rzekł nieśmiało.

— Czytać i pisać lubię, ale co rachunki to mi nie idą w głowę; stryj mnie za to łaje, bo powiada że na rachunku świat stoi. Jednak ja wolałbym się uczyć czego innego.

— I czegoż naprzykład? zapytał chorąży z uśmiechem.

— Chciałbym się nauczyć malować.

— I cóżbyś ty malował?

— Oto malowałbym Pana Jezusa i Matkę Boską, i aniołów i świętych. Oj! żebym ci ja umiał wymalować te

wszystkie cuda, co mi się co noc roją we śnie, to by to były śliczne rzeczy, takie piękne jak te, co są na obrazie świętej Katarzyny u panien Augustyanek.

— A wiesz-że ty, kto malował ten obraz?

— I zkądże ja mam wiedzieć?

— Otóż ja ci powiem, malował go ojciec Bernardyn, a nazywał się Franciszek Lexycki.

— Czy on żyje jeszcze? zapytał Szymonek z zajęciem.

— Nie moje dziecko, umarł już ze trzydzieści lat temu.

— Jaka szkoda! i któż mnie tak malować nauczy, kiedy już jego nie ma na świecie.

— Nauczy cię ten, kto i jego nauczył. Chłopcze patrz w niebo; dobrze mówi twoja matka.

— O ja tam zawsze patrzę, aż mnie nie raz łaje stryj i stryjenka, że jak się zapatrzę w górę, to i nie wiem co się dzieje na ziemi. Czy i ojciec Franciszek patrzał w górę?

— Oj patrzał, patrzał i dla tego też malował takie piękne rzeczy.

— A któż jego nauczył malować?

— Ten, co malował piękny świat Boży w takie cudowne barwy, rzekł z powagą Ossoliński, wskazując na szerokie pola, zasłane zielenią: w tej chwili bowiem doszli z Szymonkiem do mostu, wiodącego na Podgórze. Ten go uczył malować mówił dalej, kto takim błękitem pomalował niebo, kto kwiatom polnym daje ozdobne sukienki. — I któż to taki Szymonku?

To chyba Bóg, odpowiedział chłopczyna, a w oku jego błysnął ogień.

— Tak nie inaczej Bóg, odparł chorąży, módl się Szymonku; on cię nauczy malować!

— A to jakim sposobem?

— Ześle ci myśli święte, ducha twojego pociągnie w niebo, ku sobie, i wskaże ci cuda, jakich drudzy nie widzą. Ale ty dziś jeszcze tego nie zrozumiesz.

— Prawda, nie rozumiem, rzekł chłopczyna, jednak to takie piękne słowa, mnie tak miło ich słuchać.

Ossoliński pogłaskał chłopca po głowie, Szymonek ujął jego rękę i z uczuciem do ust przycisnął.

— Powiedz że mi mój Szymonku, zapytał, czy ty chcesz, żebym cię wziął do siebie?

Silny rumieniec okrył policzki chłopczyny.

— O mój Boże! czyż to prawda? zawołał uradowany.

— Prawda, jeśli tylko twój stryj na to pozwoli.

— A dla czegożby nie miał pozwolić? Ależ ja będę mógł codzień tak jak teraz przychodzić do kościoła świętej Katarzyny i przyglądać się Bożemu Dzieciątku i aniołkom?

— Będziesz mógł mój kochany; alboż ci teraz bronią tego?

— I jak jeszcze; rzekł Szymonek nieśmiało, stryjenka nazywa mnie zawsze włóczęgą i powiada że ze mnie nigdy nic dobrego nie będzie.

— Czyż ona wie, gdzie ty chodzisz?

— Nie, nigdy jej tego nie mówiłem.

— A to czemu?

— Co mam mówić napróżno, wiem, żeby nie zrozumiała, dla czego mnie milej patrzyć na ten obraz jak na inny.

— No otóż ja cię rozumiem, to też bronić ci tego nie

myślę; ale powiedz że mi mój Szymonku, czy ty i do innych kościołów zaglądasz z takiem upodobaniem?

— O tak! jak się tylko mogę wysunąć to biegnę do Panny Maryi; szczęściem że to tak blisko, a do tego kościół przez cały dzień otwarty.

I na cóż ty tam najlepiej lubisz patrzeć?

— A na cóżbym miał patrzeć, jeżeli nie na Przenajświętszą Panienkę, co to stoi pomiędzy apostołami, jakby lilia, i niby czeka rychło ją aniołowie poniosą na skrzydłach do nieba. Czasem pobiegnę też i na Stradom do kościoła ojców Bernardynów; oj tamże to dopiero jest prześliczna wieczerza Pańska w ołtarzu i jeszcze piękniejszy ukrzyżowany Pan Jezus.

— Nie zły masz gust mój chłopcze, a wiesz że ty, kto malował te obrazy? zapytał chorąży.

— To chyba ten ojciec Franciszek, co malował i świętą Katarzynę, bo one jakoś odmiennie od wszystkich wyglądają.

— Nie inaczej mój kochany. Aleś ty jak widzę wyborny znawca. A sam nie probowałżeś kiedy rysować, choćby węglem po ścianie?

— Węglem, bo się boję stryjenki, ale ja czasem dostaję papier i ołówki od Stasia, co to jego ojciec ma kramik w rynku; to też rysuję sobie po kryjomu jak umiem.

— A to dla czego pokryjomu?

— Bo mnie stryjenka zowie zawsze próżniakiem, jak mnie zejdzie nad tą robotą.

— Jak będziesz u mnie, pozwolę ci rysować, od rana do wieczora i chodzić po wszystkich kościołach w całym Krakowie. Ale przedewszystkiem musisz się uczyć mój kochany. Ja też będę cię posyłał do pana Tyllmana, z którym się znam bardzo dobrze; on ci wskaże pierwsze początki rysunku, a potem nauczy cię i malować.

Szymonek padł jak długi do nóg dobroczyńcy swego. a gdy zacny podskarbi podniósł go z ziemi, spostrzegł twarz chłopca zalaną rzewnemi łzami.

Doszli właśnie w tej chwili do podnóża Krakusowego kopca, chorąży spoczął na murawie, kazał chłopcu usiąść koło siebie, i szczerze bawił się jego prostą rozmową. Twarz Szymonka jaśniała niewypowiedzianem szczęściem. Po półgodzinnym spoczynku, Ossoliński powstał pierwszy i wziąwszy za rękę chłopczynę, poszedł z nim do szkółki przy kościele Panny Maryi, gdzie właśnie stryj Szymonka uczył katechizmu zgromadzoną dziatwę. Stary nauczyciel odurzony szczęściem jakie spotkało chłopca, przystał chętnie na żądanie chorążego, sadził jak mógł łaciną i szumnemi dziękował mu słowami, za łaskawy fawor dla bratunka.

Ossoliński odszedł do domu, zostawiwszy kilka dukatów w złocie na pierwsze potrzeby Szymonka. Nazajutrz potem chłopiec przybrany w karmazynowy żupanik i w szafirowy kamlotowy kontusik, z rękawami założonemi z tyłu na krzyż i przepasany ładnym jedwabnym pasikiem, w zgrabnych czerwonych bucikach i takiejże czapeczce na głowie, wymyty i wyczesany, wybierał się z domu ze stryjem, także suto ubranym w świąteczny kontusz i karabelę na znak szlacheckiego rodu. Poczciwa stryjenka, która mimo, że nieraz zwała Szymonka próżniakiem i włóczęgą, kochała go jednak serdecznie, żegnając go, kładła mu na szyję medalik z Najświętszą Maryą Panną Częstochowską, i ze łzami błogosławiła go krzyżem świętym. A Szymonek choć uszczęśliwiony w duszy, ocierał jednak łzy ukrad-

kiem, gdy szedł obok stryja, przez wielki rynek ku Kryształoporom, kędy mieszkał chorąży Ossoliński.

II.

Trzecia godzina z rana wybiła na zegarze Farnego kościoła w Warszawie. Było to w początkach Czerwca. Mrok nocny ustępował zwolna pierwszym odbrzaskom dziennym. W odwiecznej kamienicy Starego Miasta, na drugiem piętrze, w sali jasnej i dość obszernej, pośród rozstawionych stalug i porozrzucanych palet, pędzlów, farb i innych przyborów malarskich, siedział w krześle mąż poważny; włos jego rzadki przypruszony był siwizną, rysy pełne słodyczy, ale zaostrzone i wyciągnięte chorobliwie, zapowiadały zły stan zdrowia, a cera zwiędła i pożółkła, bardziej jeszcze o tem przekonywała.

Siedział nieruchomy w krześle, jakby posąg z kamienia, ktoby jednak przyjrzał się baczniej, dostrzegłby na tem kształtnem i wypukłem po-nad brwiami czole, myśl głęboko pracującą w tej dobie. Był to Szymon Czechowicz, słynny malarz, przed kilkoma laty przybyły z Rzymu, Krakowianin rodem, od roku osiadły w Warszawie.

Długo poglądał w otwarte okno, przez które słabo wdzierał się do pracowni różowy odblask świtu; potem spojrzał na piękny obraz, oparty naprzeciw niego na stalugach, wyobrażający świętego Franciszka z Assyzu, w chwili gdy się modli, niebieskim uniesiony zachwytem, a przed oczyma jego, aniołowie roztwierają podwoje nieba, i w całym blasku chwały pojawia się Chrystus i Przenajświętsza Jego Matka.

Szymon Czechowicz zadrżał; lekka krasa ubiegła do reszty, z bladej i tak jego twarzy, gdy spojrzał nagle na oblicze zakonnika z Assyzu, strawione pracą ducha, w ciągu długoletniej pokuty, powleczone zaledwie skórą suchą i zżółkłą jak pargamin; zadrżał spojrzawszy w te oczy głęboko zaklęsłe, wypłakane, wypalone bezsennością, a jednak nadziemskim płonące jeszcze ogniem. I trudno było nie zadrżeć: głowa świętego bowiem, istnym była wizerunkiem trupiej czaszki: potrzeba było całej mistrzowskiej siły artysty, aby w to oblicze napiętnowane śmiercią, tchnąć odblask nieśmiertelnej piękności.

A jednak piękną była ta postać; wpatrzywszy się w nią przez chwilę, miejsce trwogi, zastępowało uczucie podziwu i uwielbienia, ręce same unosiły się w górę, na wzór tych wyschłych rąk pokutnika, wyciągniętych ku niebieskiemu widzeniu. Długo, długo Czechowicz nie mógł oderwać oczu od obrazu; po raz pierwszy w życiu upodobał sobie własne dzieło. Może dziś więcej niż kiedy, myśl jego tęskna i rozżalona, szukała w dziedzinie sztuki pociechy, której świat jej dać nie mógł; może też co pewniej, szary pomrok otaczający obraz, nie dał sumiennemu artyście dostrzedz błędów, których tyle widział w każdem dziele swej ręki, choć drudzy dopatrywali tylko wszelkie warunki doskonałości.

Gdy dumał Czechowicz, słońce tymczasem weszło na widnokrąg, ale ukryte jeszcze za chmurą, wątpliwem światłem rozjaśniało pracownię. Na jej głównej ścianie, porozwieszane były obrazy włoskiej szkoły, pomiędzy któremi Chrystus z berłem trzcinowem w ręku, w cierniowym wieńcu na głowie, i Marya bolesna, przyodziana w błękitną zasłonę; oba obrazy pędzla Karola Muratti słynnego rzymskiego mistrza, pierwsze trzymały miejsce. Inne

zaś ściany, od sufitu do ziemi, ozdobione były pracami zacnego Czechowicza, wykonanemi po większej części w Rzymie. Na kilku stalugach oparte były nowo wymalowane po powrocie obrazy, do których biegły mistrz, dorzucał co dnia po parę rzutów pędzla i zwolna doprowadzał je do owej cudownej harmonii, która panowała w podniosłej jego duszy.

Pracownia Czechowicza, jaśniała istnie jakby przedsionek nieba; wszędzie oko obejmowało świętość. Tu Anioł Stróż odziany w białą powiewną szatę, z lilią w dłoni, prowadzi niewinną duszę do nieba, tu Chrystus modli się na puszczy, a Anieli pańscy czuwają u stóp jego, oczekując rozkazu. Tam Bóg-Człowiek nakarmia zgłodniałe rzesze, rozmnożonym cudownie chlebem. Tu Michał Archanioł w rycerską przyodzian zbroję, depcze stopą szatana. Tam Rafael rozwija skrzydła ku niebu, w oczach zdumionego Tobiasza. Tu śpi dzieciątko boże i wyciąga ręce do aniołów, którzy okazują mu narzędzia przyszłej męki; tam znów Eliasz ulata w niebiosa na promienistym wozie. Wszędzie światło, wszędzie cud, wszędzie świętość, harmonia i ubłogosławienie. Wszędzie niebo! O! bo duch artysty oderwany od ziemi, rad w wysokie ulatał przestrzenie, bo oko jego wciąż poglądało w górę, zkąd mu spływał obficie zdrój łaski i natchnienia; bo mistrz ukochał niebo i tą potęgą miłości, zaklął w około siebie świat nowy i w nim lubił pełną oddychać piersią.

Wpośród tych świętych i błogosławionych, trzy tylko ludzkie odbijały postacie; ale wszystkie trzy wyższem naznaczone były piętnem. Jednę z nich opromieniał duch proroczy, czoło drugiej znamionowała siła i mądrość, trzecia była istnem uosobieniem dobroci i powagi. Były to

wizerunki Piotra Skargi, Stefana Batorego i Maxymiliana Ossolińskiego, opiekuna i drugiego ojca artysty.

Długo Czechowicz patrzał w natchnione oblicze świętego Franciszka i duchem pragnął uczestniczyć w pobożnym jego zachwycie. Snadź dosięgnął celu, bo strumień gorących łez wytrysnął nagle z pod zaklętych jego powiek i oblał zwiędłe jagody. Przysłonił twarz rękoma, i zdał się pogrążony w milczącej a spokojnej boleści, a wiatr ranny wciskając się przez otwarte okno, rzeźwił płonące czoło mistrza i rozgarniał włos siwy, po zapadłej skroni.

I o czemże duma Czechowicz? zkąd te łzy jego, ta milcząca boleść? Dziwnież one odbijają przy godowej szacie, w jaką przyodziany w tej chwili. Ma albowiem na zobie żupan z błękitnego grodeturu i ciemny brązowy kontusz bramowany złotem; ma pas lity, słucki, a przy boku karabelę z rękojeścią wysadzaną turkusami, drogą pamiątkę po Ossolińskim. Lecz wymowniej jeszcze świadczy o godach, wiązka rozmarynu i mirtu, związana na długą białą wstęgę i wraz z nią przypięta do kontusza.

I zkądże te godowe szaty? ta wiązka zielona, co tak dziwnie odbija, obok siwych włosów artysty? Owóż, dzień to godowy, dzień ślubu dorodnej Reginy, ukochanej bratanki i wychowanicy Czechowicza; którą po powrocie z Rzymu, zastawszy sierotą, przygarnął do siebie i pielęgnował jak ojciec. Kilka godzin ubiegło zaledwie, jak zacny opiekun powiódł ją sam do ołtarza, oddał ją w ręce młodego małżonka, Łukasza Smuglewicza, współzawodnika swego w sztuce, wyprawił nowożeńcom ucztę, odesłał ich na nowosiedliny, przeżegnał oboje krzyżem świętym, i powrócił w puste ściany swej pracowni, sam jak sierota, jak artysta wieczny tułacz na ziemi, z duszą wy-

kołysaną w snach niebieskich, a potem wygnaną w świat smutnej i chłodnej rzeczywistości.

I któż nie pojmie, jakie uczucia przepełniały pierś Czechowicza, gdy po gwarze uczty, po dźwiękach weselnej pieśni, ujrzał się sam jeden, w obszernej pracowni słabo rozjaśnionej wątpliwym brzakiem dziennym; gdy wlepił oko w cudne oblicze pokutnika z Assyzu, którego święta postać, wymownie przypadała do poetycznej i miłującej jego duszy? Nie raz on już kreślił te natchnione rysy, ale czuł o ile ręka jego nieudolnie odtwarzała tę piękność, którą duch ledwie pojmować zdołał! Bawiąc długie lata w Włoskiej ziemi, w pięknej ojczyźnie Franciszka świętego, nasłuchał się tysiąca krążących o nim legend: był w Assyzie na odwiecznym jego grobie: zwiedzał jaskinią wykutą w skale, gdzie święty mąż trawił dnie i noce na modlitwach; widział po za grotą, ów cudowny krzak róży, wiecznym okryty kwiatem, odtąd jak padły nań krople krwi pokutnika, który w serdecznej skrusze objął go swemi ramiony.

Dziś Czechowicz czując boleśniej niż kiedy, sieroctwo swoje i opuszczenie, z większą niż zwykle żarliwością zasyłał myśl ku temu, który jak on, samotnemi łzami naznaczył drożynę żywota! Po długiem wreszcie milczeniu odjął ręce od oczu i odsłonił wilgotne lica.

— Oni szczęśliwi! rzekł drżącym głosem, dla nich wschodzi ta zorza, i wskazał na niebo zarumienione świtem; dla nich ziemia pokrywa się kwiatami i zielenią, dla mnie nic! nic! samotna praca, samotna modlitwa, samotne łzy, otóż i wszystko!

To mówiąc opuścił głowę na piersi. Alboż to mało? dodał po chwili, z tajemnym wyrzutem, a błękitne jego oko surowy przybrało wyraz. A ty o święty! miałżeś

co więcej na ziemi? tu wyciągnął obie ręce ku promienionej postaci zakonnika. Miłość w sercu, pieśń na ustach, modlitwa w czynie i słowie, oto były jedyne skarby twoje, a jednak niemi zdobyłeś niebo, niemi ściągnąłeś roje aniołów, którzy za życia radowali oczy twoje, a ucho twe cudnie karmili dźwiękiem niebieskiej harmonii! I mnie jak tobie Bóg ukazał drogę; ale czemuż wola moja tak słaba, czemu duch krąży wiecznie w niskiem kole i nie może wzlecić tam, gdzie nie ma chłodu ani tęsknoty?

Powstał, założył ręce na piersi, obszedł w około pracownię, a słaby rumieniec wystąpił na zapadłe jego lica. Przechodząc objął okiem piękny wizerunek Ossolińskiego. Zatrzymał się przed nim i z głębokiem uczuciem patrzał na te szlachetne i rozpogodzone rysy, które w Rzymie odmalował z pamięci.

— Gdyby nie ty, drogi mój opiekunie! zawołał drżąc od wzruszenia: coby dziś ze mną było? Może jak stryj nieboszczyk uczyłbym dzieci wokabuł łacińskich w szkółce Panny Maryi; gdyby nie ty, nie znałbym tego świata sztuki, w którym tak mi swobodnie oddychać! Gdyby nie ty, nie byłbym zwiedził starożytnego Rzymu i Włoch, tej klassycznej ziemi bohaterów i świętych; gdyby nie ty, nie byłbym zdobył tych zaszczytnych wieńców. To mówiąc, odchylił zasłonę z zielonego sukna zapuszczoną na framudze, zdjął ze ściany wieniec ze zwiędłego bluszczu i poglądał nań z uśmiechem.

— O! szczęśliwy byłem pamiętam: rzekł po chwili, gdy w obec zgromadzenia, w akademii świętego Łukasza, Karol Muratti, włożył mi go na głowę. Sala zabrzmiała od oklasków; towarzysze otoczyli mnie; jedni ze współczuciem, drudzy z ukrytą zawiścią podawali mi rękę; a ja uderzyłem w pierś dłonią i jak niegdyś mistrz włoski, za-

wołałem w uniesieniu: „I ja też jestem malarzem!“ Tak i jam malarzem i jam artystą! i dziś z równą powtarzam to chlubą! Ty sztuko jesteś mi życiem. Przy tobie nie czuję opuszczenia. Ty ogrzewasz mnie lepiej niżby ogrzał płomień domowego ogniska; dla ciebie nie zawarłem rodzinnych związków, zaniechałem wszelkiej osobistej nadziei! Dla ciebie trawię nocy bez snu, dni bez spoczynku; dla ciebie jam sierotą, i nie żal mi sieroctwa, bo ty jesteś mi wszystkiem!

Oko malarza zapłonęło, lica przybrały pozór młodości, podniósł do ust suchy wieniec, pocałował go z zapałem, a łza upadła na zwiędły liść bluszczowy.

Nagle zmarszczył brwi, odtrącił wieniec z daleka.

— Nie! zawołał drżącym od zapału głosem, ty mi nie jesteś wszystkiem, niech mnie Bóg uchroni od tego. Niechaj Włoch ukocha sztukę dla sztuki! ja nie dopuszczę się nigdy takiego bałwochwalstwa. Drogą mi jesteś sztuko ale bardziej nad ciebie kocham Boga, którego ty słabem jesteś odbiciem! Ty mi nie będziesz celem, ale drogą do celu. Tobą ogrzeję serca braci ludzi, i dam im przeczuć nieśmiertelną piękność, której źródło wypływa z nieba. Gdybym cię ukochał dla twej jedynie piękności, bez wyższego celu, gdybyś miała nadąć serce moje pychą i żądzą oklasków, zdeptałbym te znikome wieńce, spaliłbym w proch te płótna, rzuciłbym w ogień te pędzle i palety, chwyciłbym raczej pług, i orałbym ziemię w Imie Boże.

I zamyślił się głęboko, stanął w oknie i ścigał wzrokiem gotycką wieżę farnego kościoła, odbijającą ciemno, na tle zrumienionego nieba.

I myśl malarza ubiegła w przeszłość; wspomniał stary Kraków, jego wieżyce i krużganki, wspomniał kopiec Krakusa, i u jego podnóża pierwszą rozmowę z opiekunem, który od wielu lat spoczywał już w grobie. Rumieniec wytrysnął na zaklęsłe lica artysty.

— Wiem, wiem co uczynię! zawołał z zapałem. Co on mi dał, oddam to drugim, inaczej nie znalazłbym pokoju. Założę szkołę, otoczę się młodzieżą, stworzę sobie rodzinę, bez której tak tęskno sercu memu. I sztuka moja nie umrze zemną razem, bo rozdzielę między drugich ten ogień co przepala pierś moją. I nie będę już płakał na sieroctwo moje i opuszczenie! Dzięki Ci Panie, od Ciebie to pochodzą dobre natchnienia i myśli.

Słońce pełnym promieniem błysnęło w okno malarza i odbiło się na obrazie świętego w Assyzu; skrzydła aniołów zadrżały, uzłocone jasnym promieniem. Na farnej wieży ozwał się dzwon na anioł Pański. Czechowicz padł obliczem na ziemię, przysłonił oczy rękoma i długo modlił się w milczeniu.

W rok potem, w tejże samej pracowni pełno było gwaru i życia. Przy wielkim stole w koło, rysowały dzieci, z sztychowanych wzorów. Na osobnych stolikach pod oknami, starsi uczniowie odtwarzali kredą gipsowe odlewy; pomiędzy tym wesołym rojem, przechadzało się dwóch mistrzów, sędziwy Czechowicz, z młodym Łukaszem Smuglewiczem, mężem bratanki swojej. Postać Czechowicza, mniej była wątła i pochylona niżeli przed rokiem. Żyjąc w pośród młodzieży, w właściwym sobie żywiole, mając głębokie przekonanie że jest pożytecznym, że nauka której nabył długą pracą i doświadczeniem, nie pójdzie z nim do grobu, uczuł w sędziwej piersi nową siłę; czuł się młodym, bo działał; czuł się szczęśliwym, bo

pracował na chwałę Boga i pożytek ludzi; bo godnie się wywiązał z zaciągniętego długu.

Taki był początek pierwszej malarskiej szkoły w Warszawie: Czechowicz był jej twórcą.

III.

Trzydzieści lat odtąd upłynęło. W ubogiej celi ojców Kapucynów w Warszawie, przy oknie otwartym na ogród, siedział przed stalugami ośmdziesięcioletni starzec, przy nim ustawione było wielkie zwierciadło. Starzec poglądał w nie co chwila, a potem drżącą ręką, zbierał farbę z palety, i nakładał ją na rozciągnięte w ramach płótno. Oblicze jego blade było, ale pełne niezmąconej pogody; włos bieluchny, niby puch łabędzi przysłaniał obie skronie; czaszka tylko, świeciła naga i gładka; oko starca mgłą przysłonione, zapadło głęboko, brew zbielała, wysokie czoło poryło się zmarszczkami.

Szymon Czechowicz (on to był albowiem) podłożywszy farby na płótno, przyglądał się sam sobie w zwierciadle, pragnąc zbadać dokładnie wyraz własnej twarzy, a potem dopiero, z pamięci więcej niżeli ze wzoru odtworzyć ją na obrazie.

Popatrzywszy długo w milczeniu, skinął głową i uśmiechnął się niewinnym, dziecięcym prawie uśmiechem.

— No i cóż ty mi powiesz dziaduniu? zapytał żartobliwie, ochrzypłym od starości głosem. Źle coś, źle zaprawdę! Oczy zagasły, jagody zwiędły, włosy wypadły z czaszki, reszta z nich zbielała jak śnieg; ziemia święta,

woła nie żartem do siebie. Nie bój się stary, deptałeś ja po Bogu, to ci też ciężką nie będzie.

Łza cicha, spokojnie wybiegła z pod powieki starca, i potoczyła się po licu, i utonęła pomiędzy zmarszczkami.

— Wstydziłbyś się płakać dziaduniu, dodał: czy to ty dziecko? czy niewiasta? Myślałby kto, że masz czego żałować na ziemi! Twoja dziatwa, rozpierzchła się po świecie jakby jaskółki w jesieni! zostało ci tylko trójko na pociechę, ten Pan Jezus na krzyżu: i ten drugi w żłobku: to mówiąc wskazał na dwie ściany: i ten o to święty Wojciech, nasz ukochany patron i apostoł, com go zapisał ojcom Kapucynom, za gościnne przyjęcie. Niech go sobie zawieszą obok Przemienienia. Oj! nie żałuj stary, nie żałuj! Pan Bóg miłosierny nad tobą, dał ci przejść spokojnie przez życie; zesłał ci aniołów swoich, co cię piastowali na skrzydłach jak mówi Psalmista. Były i ciężkie godziny, ale wszystko co bolało, zostało tu na wieki, (to mówiąc przycisnął rękę do piersi). Świat o tem nie wiedział, bo i co światu do tego? Ludziom oddałeś wszystek kwiat twojej myśli; a co było w niej mętne, wypłakałeś sam na sam przed Bogiem. Dobrze dziaduniu, kocham cię za to.

I zapomniawszy się, wyciągnął dłoń zgrzybiałą do zwierciadła, chcąc pogłaskać siwą głowę dziadka; ręka odbiła się o zwierciadło, a Czechowicz nagle ockniony z marzenia, rozśmiał się serdecznie sam z siebie.

W tem ktoś do drzwi zapukał. Czy wolno wejść zawołał głos z korytarza?

— A czemużby nie? odparł rozweselony Czechowicz, u starego zawsze otwarte i progi i serce.

— Dobry dzień jegomości — rzekł człowiek w pode-

szłym już wieku, a jednak o dwadzieścia lat z górą młodszy od Czechowicza.

— Bóg z tobą, mój poczciwy Łukaszu.

— A cóż to? zagadnął przybyły, oglądając się w koło po celi. — Jegomość jak widzę sam jeden, a ja Panie odpuść, choć głuchy, słyszałem tu śmiech i rozmowę, jakiem szedł korytarzem.

Czechowicz uśmiechnął się łagodnie.—A cóż to? rzekł: czyż nie widzisz, że nas tu dwóch, jednakich jakby dwie krople wody, i wskazał na własną postać w zwierciedle. Owoż, gawędziliśmy z sobą, zwyczajnie jak starzy. Siłaż wody zbiegło jak się znamy, zjedliśmy z sobą nie jednę beczkę soli, to też jest o czem pogawędzić pospołu. — Wolne żarty jegomości rzekł Łukasz Smuglewicz; słyszałem pewnie rozmowę w celi księdza Gwardyana, jakiem przechodził pode drzwiami.

— Chcesz wierz, — nie chcesz nie wierz, — cóż ja z tobą poradzę? — rzekł Czechowicz. A cóż mój Łukaszu, niemiałeś tam jakich wiadomości od Franusia?

— Panie odpuść, z tem ci ja tu przyszedłem. Są, są, i jakie jeszcze! pisze o to chłopak, że coraz lepsze ma powodzenie w Rzymie. Jacyś lordowie Angielscy, chcieli oo gwałtem zabrać z sobą za morze i obiecywali mu złote góry, byleby jechał z nimi.

— A cóż on na to? zapytał starzec niecierpliwie.

— Nie przyjął, jak mi Bóg miły; powiedział Anglikom że jeżeli Pan Bóg dał mu zdolność jaką, to na tg tylko, aby ją poświęcił krajowi i współziomkom.

— Poczciwy chłopiec! rzekł Czechowicz, ocierając oczy rękawem od habitu.

— Przysłał też obraz, w darze dla króla jegomości:

rzekł Łukasz Smuglewicz z rozradowanem okiem: śliczna to rzecz co prawda, ale...

— I cóż na nim? Chrystus, czy Święta rodzina? zagadnął starzec z młodzieńczym zapałem.

— Gdzie tam! zupełnie co innego.

— Może Kupidyn ze strzałami, albo Djana na łowach? zawołał Czechowicz oburzony. Miły Boże! szkoda chłopca, zmarnuje talent — oj napiszę ja mu prawdę!

— Nie bój się jegomość, nie żadne to bóstwo pogańskie; on za tem nie goni, nie poszła w las nauka.

— I cóż takiego? gadajże mój Łukaszu?

— Oto, Panie odpuść, wymalował prawdę w postaci niewiasty. — Czas zdziera zasłonę z jej oblicza. Obraz śliczny co się zowie, sam Rafael Mengs przyznałby się do niego. Ależ to jakoś nie wypada, ofiarować prawdę królowi.

— Nie widzę w tem nic złego mój Łukaszu; a ciekawym też roboty Franusia; choć nogi nie słuchają, powlokę się na Stare Miasto do twojej pracowni.

— Bóg zapłać ojcze; oj będzie Regina szczęśliwa, a spłakała się nieboga, jakem jej przeczytał list syna.

— Poczciwy Franuś, rzekł starzec, miły Boże! już go oczy moje nie zobaczą na ziemi. Powiadam ci mój Łukaszu, że to najpiękniejszy kwiat z tego wianka młodych malarzy, cośmy w świat wypuścili z naszej pracowni. Żaden z nich nie ma takiej przyszłości przed sobą. Pamiętaj tylko, jak tu przybędzie, a moje kości spruchnieją już w świętej ziemi, ostrzeż go, niech się nie da ułudzić, niech nie wpadnie w zastawione sidła; niech go nie nęci nikczemna chęć zysku i niech nie rzuca światu prac niepomyślanych głęboko i niewykończonych sumiennie. Niechaj nie schlebia chwilowym upodobaniom, niech nie szuka po-

klasków i próżnej sławy! Wyższe nad to, zadanie artysty. Jemu nie wolno igrać z tym świętym ogniem, który Bóg mu wlał w piersi; jemu nie wolno być bawidłem świata. Artysta służyć winien Bogu, jeśli chce aby Bóg zsyłał mu zdroje natchnienia. Sztuką frymarczyć się nie godzi! Raczej cierpieć głód i nędzę, niż sprzedawać za pieniądz to, co człowiek najdroższego nosi w duszy po Bogu, niż przeczysty ideał przystrajać według mody i czczych wymagań świata. — Ojcze! zawołał Smuglewicz — święte słowa twoje; masz prawo głosić zasady, według których wiodłeś cały żywot. Ty wielki mistrzu, trawisz stare lata w nędzy i opuszczeniu; gdy inni, nie godni poddać ci pędzla i palety, zasypani są złotem, za swoje nimfy i trytony. Ale ich sława przebrzmi bez śladu, a twoja dziś zapomniana, rozkwitnie na twym grobie, wtedy gdy świat ugodni się i wzrośnie do pojęcia Boskiej piękności twych utworów. O tak! Franciszek musi iść w twoje ślady!

To mówiąc ujął drżącą rękę starca, przycisnął do ust z uczuciem, oblał ją rzewnemi łzami.

Dzwonek kościelny wezwał wiernych na mszą świętą. Czechowicz powstał, położył kij i paletę.

— Chodź Łukaszu, rzekł wzruszony, pomódlmy się Bogu; — niech utrzyma Franciszka na obranej drodze, niech rozwieje pomrok przed oczyma zbłąkanych, niech wiekuista prawda rychłe odniesie zwycięstwo!

I obadwaj starcy wyszli pomału z celi.

Miesiąc upłynął od tej doby. W kościele Ojców Kapucynów, stała na niskim katafalku prosta sosnowa trumna pomalowana czarno, kilkanaście świec jarzących płonęło w około niej. Gwardyan ojców Kapucynów, odziany w ornat żałobny, odprawiał mszę świętą przed ołtarzem Przemienienia Pańskiego. Po za katafalkiem na kamiennej posadzce, klęczał stary Łukasz Smuglewicz i małżonka jego, podeszła Regina, oboje czarno przybrani. Przy boku matki klęczały dwie dorodne dzieweczki; przy ojcu zaś dwaj synowie, młodziany pod wąsem, Antoni i Lucyan, obadwaj biegli malarze.

Ciche łzy płynęły z oczu obecnych w ciągu żałobnego nabożeństwa. Żal ich podwajał się jeszcze, ilekroć objęli okiem piękny portret oparty o trumnę. Wyobrażał on starca z włosem białym jakby puch łabędzi, z dziwnie łagodnem obliczem i na pół zgasłem okiem.

Był to portret Szymona Czechowicza, który on na kilka dni przed śmiercią, drżącą wykończył ręką.

Mimo żałobnego obrzędu, kościół nie wyglądał ponuro! Promień słońca wdzierając się przez kościelne okno, spływał na ubogą trumnę. Łzy nawet obecnych, jakkolwiek szczere i serdeczne, płynęły spokojnie; snać nikt nie trwożył się o duszę, którą anioł stróż wiódł bezpiecznie przez zawiłe drogi żywota, osłaniając ją tarczą wiary, a jasną pochodnią sztuki wskazując jej niebiosa.

Po skończonej mszy, zakonnicy otoczyli trumnę i odśpiewali kondukt. Gdy *Requiescat in pace* rozległo się po pustych ścianach klasztoru, Łukasz Smuglewicz z synami ujęli trumnę na barki i złożyli ją w miejscowych kościoła katakumbach, na odpoczynek wieczny. Regina płacząc, postępowała za zwłokami swego opiekuna.

Franciszek Smuglewicz, ukochany uczeń zmarłego, w kilka lat potem powitał rodzinne mury Warszawy, a gdy wrócił, nie zastał już i sędziwego ojca. Łukasz bowiem, zmarł w parę lat po Czechowiczu, a kości jego złożone w grobach klasztoru Reformatów, oczekiwały w pokoju, na rzewną synowską modlitwę.

FRYDERYKA BREMER.

Fryderyka Bremer słynna powieściopisarka Szwedzka, wydała w trzech tomach, podróż swoją odbytą w r. 1849 po Ameryce, czyli obraz życia rodzinnego, w nowym Świecie, która przetłumaczoną została na wszystkie prawie europejskie języki, a w oryginale w nowych coraz edycyach jest powtarzaną.

Sam tytuł dzieła za powiada, że autorka w odbytej podróży zwracała głównie uwagę na domowe ogniska Ameryki, które też opisała z pełnym życia talentem. Trzeba było prawdziwie skandynawskiej odwagi i potężnej ciekawości, aby w podeszłym dosyć wieku, samej jednej bez rodziny, znajomych i przyjaciół, puścić się przez Ocean, na drugą stronę ziemskiej kuli, i w ciągu dwóch lat poprzestać na nowych stosunkach, tuląc się jak ptak wędrowny, pod cień gościnnej strzechy. Ale panna Bremer, jak sama powiada o sobie, czuła że w piersi jej kipi krew starych Normandzkich Piratów, którzy pchali swoje wędrowne łodzie wzdłuż rzek i morskich wybrzeży, chciwi przygód i podbojów. Wreszcie, głośna sława wyprzedziła autorkę Szwedzką, i świetną utorowała jej drogę w nieznane strony między obcych ludzi. Amerykanie witali ją z zapałem,

otworzyli jej gościnnie domowe progi, i przyjęli śmiałą pielgrzymkę do swych rodzinnych ognisk. Księgarze i wydawcy, zbiegali się do niej na wyścigi, prosząc aby u nich drukowała nowe prace, wyprawiano dla niej uczty, wzywano ją na weselne gody, domagano się jej autografów, sypano jej kwiaty pod stopy.

Kto wie czyli urok tak świetnego przyjęcia, nie roztoczył różowej zasłony przed oczyma panny Bremer, i nie przedstawił jej w świetle ideału, tej ziemi pięknej samym młodocianym wdziękiem; może pokrył przed nią nie jednę ciemną skazę, nurtującą dziewicze łono Ameryki, i nie dał uczuć mroźnego tchnienia, samolubstwa i chciwości, kryjących się pod świetne barwy postępu i przedsiebierczego zapału. Może też wreście autorka, jako protestantka, zbyt pobłażliwem okiem patrzała na to zamącenie wyobrażeń religijnych, które jak rak toczy Ameryką, a które my z naszego stanowiska, w innem widzielibyśmy świetle. Bądź co bądź, piękne obrazy panny Bremer, zasługują na uwagę, dają nam bowiem poznać wewnętrzne życie Amerykanów, mało nam dotąd znane. Pragnąc zatem obznajmić choć cokolwiek czytelników moich. z życiem i ludźmi nowego świata, umyśliłam dać im obszerne wyjątki z dzieła słynnej szwedzkiej autorki. Nim jednak przystąpię do rzeczy, powiem wprzód słówko o samej autorce.

Panna Fryderyka Bremer, napisaniem kilku pięknych powieści, zjednała sobie Europejską sławę. Akademia Szwedzka przysądziła jej złoty medal, w nagrodę za głęboko moralne i wysokiej wartości dzieła. Poczęto przekładać je na wszystkie niemal języki, a lubo powieść każda wiele traci w przekładzie, i my także, czytając *Sąsiadów*, *Rodzinę H*, *Córki Prezesa*, *i Ninę*, musieliśmy nie raz uderzyć czołem przed znakomitą zdolnością Szwedzkiej autorki. Główna jej zaleta leży w tem, że umie otoczyć niezwykłym urokiem najdrobniejsze szczegóły domowego życia, a najzdrowsze myśli, szczepić w serca i umysły czytelników.

Co do szczegółów życia Panny Bremer, o tyle je tylko znamy, o ile sama mówi o sobie, w krótkiej przedmowie do *sąsiadów*, którą napisać musiała, na usilne żądanie wydawcy. Podajemy ją tu w całości, te kilka słów bowiem, skreślone z właściwym pannie Bremer samodzielnym talentem, określają nam dokładnie jej ducha. „Kiedyś w przyszłości mówi, gdy nie będę już należała do ziemi, duch mój powróci między ludzi, i opowie im tajemnice doznanych cierpień: miłości i wesela, słowem odsłoni im głęboką tajemnicę ubiegłego żywota. Niechaj nikt nie ulęknie się wtedy mego ducha; jeżeli o północy odwiedzi jaką duszę cierpiącą i niespokojną, to jedynie po to, aby ukoić jej niepokój; aby roztlić nowym płomieniem, słabo tlejący kaganiec, aby przynieść jej bratnią i przyjacielską pociechę.

Tymczasem zaś, kto ciekawy, niech przez zasłonę zwyczajnego życia, pozna przeszłe dni moich koleje, niech odkryje żem się urodziła 1801 roku nad brzegami Aury, w Finlandyi, że mnie trzymało do chrztu kilku uczonych członków uniwersytetu z Abo. W czwartym roku życia, opuściłam rodzinną Finlandją; uniosłszy z niej jedyne tylko wspomnienie. Tą pamiątką było słowo, było imie potężne. W czasach ciemnego poganizmu, lud Fiński powtarzał je z miłością i trwogą, dziś jeszcze je powtarza, ale z uczuciem uszlachetnionem wpływem chrześcijaństwa. Zdaje mi się nie raz, że słyszę to imie w gromie piorunu, huczącego po nad ziemią, lub w ciepłym powiewie letnie-

go wiatru, który ją orzeźwia i budzi. Tym imieniem jest Jumala. Tak Finowie pogańscy nazwali główne swoje bożyszcze, tak Finlandczycy chrześcijańscy, mienią po dziś dzień Boga.“

„Jeżeli miły czytelniku, pójdziesz za mną do Szwecyi, gdzie ojciec mój kupił posiadłość, opuściwszy finlandzkie rękodzielnie, nie będę cię trudzić szczegółowym opisem moich lat dziecinnych, mojej młodości, tak ubogiej na zewnątrz, ale wewnątrz tak hojnie uposażonej. Istny to odmęt zaprawdę! Ukażę ci tylko przelotnie, obraz rodziny, która co jesień w zamkniętym powozie, opuszcza wieś, a ciągnie do stolicy, wiosną zaś wraca na powrót w pola. Pod rodzinnym dachem, młode dziewczęta grają sonaty, śpiewają pieśni, rysują czarną kredą, rzucają okiem w przyszłość i dziwne dostrzegają w niej cuda. Moje rojenia przynajmniej nie miały żadnych granic, marzyłam nawet o wojennych wyprawach. Chcesz że jeszcze poznać lepiej domowe nasze kółko? Spojrzyj oto na rodzinę zebraną w wielkiej sali wiejskiego domu, w chłodny wieczór jesienny. Ojciec rodziny czyta na głos książkę, chłopcy płatają figle, dziewczęta słuchają i szyją. Jedna z nich baczniej nadstawia ucha i nie może ukryć wrażenia, jakie sprawiają na niej świetne gwiazdy niemieckiej literatury. Głowa jej płonie, łzy płyną z jej oczu strumieniem, podczas gdy ojciec czyta dziewicę Orleańską Schillera.“

Wkrótce poznała ona inną boleść, nauczyła się płakać, nie nad tragedją poetyczną, ale nad smutnym dramatem rzeczywistego życia. Ciężka zasłona spadła na promienne sny jej młodości, mrok przedwczesny zastąpił młodej pielgrzymce w drodze życia. Walczyła z nim rozpaczliwie, pragnęła go pokonać ale próżno. Śnieg pada coraz grubszy, coraz ciemniejszy obłok roztacza się po niebie.

Nadchodzi noc. Chłód srogi na wskróś ją przenika, nogi sztywnieją, tracą władzę. Podczas tej nocy zimowej bez końca, od wschodu i zachodu, słyszy głuche i przeciągłe jęki, jęki konającej przyrody i zbolałej ludzkości, widzi własne życie z całą siłą miłości, bólu, nadziei, modlitwy, żywcem zakopane w zaspie śnieżnej, przyciśnięte chłodną bryłą lodu. Niebo całe ciemne. Nigdzie serca, nigdzie przyjaznego spojrzenia. Wszystko umiera, wszystko kona, wszystko, oprócz boleści.

Ale z odmętu powstaje nowe życie; ta prawda i w niej się z iściła!

Ubiegły lata, wszystko inny wzięło obrot. Jej oczy długo zamglone, świecą znów niepojętą szczęśliwością, odrodziła się w duchu. I skądże taka zmiana? Czyż się spełniły piękne sny młodości? czyliż zajaśniała światu wdziękiem albo chwałą? Nie! sny młodości pierzchły jak mgła poranna, piękne lata uleciały ptakiem, a jadnak ona znowu młoda! Dusza jej wyszła z ciemności grobowej, noc pierzchła nad jej głową, kiedy Bóg wyrzekł: „Niechaj światło się stanie.“

I światło przeniknęło chmury ciemności; i z okiem wlepionem w jasny promień zawołała: „O śmierci! gdzież jest twoje żądło? Mogiło, gdzie twoja ofiara?

Odtąd wiele nowych grobów otworzyło się w ziemi, wiele z nich pochłonęło najdroższe jej sercu istoty; uczuła i czuje dotąd ostrze nie jednej boleści, ale serce jej spokojne. Noc zniechęcenia przeszła już na zawsze. Tak, przeszła, zostały tylko jej owoce. Są kwiaty które nocą tylko rozwijają wonne kielichy, są dusze, które tylko pod wpływem wielkiej boleści, otwierają się ku przedwiecznej prawdzie.

Prace moje literackie rozpoczęłam z ósmym rokiem

życia, szumnemi wierszami do księżyca. Przez całą młodość pisałam na ton równie podniosły. Gdybym nawet miała nieprzyjaciela, żałowałabym go, żeby mu przyszło czytać te ramoty. Pisałam, miotana niespokojnem uczuciem młodości, jak woda w strumieniu poruszona wiatrem, zatacza nie wyraźne koła po piasku, pisałam aby pisać. Później, poszedłszy dalej w życie, pisałam aby drugim przynieść chwilę pociechy. Chcesz czytać moje książki, znajdziesz je u księgarzy.

Dobiegłszy później jesieni. widzę jeszcze zielone łąki, góry i gaje, na które patrzałam w młodych latach: długie nawyknienie, podwaja ich cenę w oczach moich. Poznałam dziś wszystkie ich zioła, każde niemal zdźbło trawy.

Na przyszłość pragnę tylko szczerze, abym wysnuć mogła z siebie kilka dzieł dawno obmyślanych. Jeżeli dokonam tego, tego, szlachetne umysły które mnie zachęcały pobłażaniem, niechaj sobie przyznają całą zasługę mej pracy. Wdzięczna im jestem z głębi serca."

ŻYCIE DOMOWE W AMERYCE.

Przez Fryderykę Bremer.

List I.

Dnia 22 Września rozpoczęła się żegluga moja na oceanie, droga Agato! Czas przepyszny, wiatr dobry, niebo i morze toną w blasku słonecznych promieni, statek mój wspaniały i wygodny. Z roskoszą używam spoczynku po nużących dniach, które spędziłam w Anglii.

Dziś niedziela, dzień dla mnie prawdziwie świąteczny. Mieliśmy uroczyste nabożeństwo na okręcie. Wszyscy podróżni, w liczbie sześćdziesięciu i kilku, w niedzielne ubrani suknie, zebrali się w wielkim salonie na pomoście. Kapitan nasz, człowiek młody jeszcze i dzielnej postawy, czytał na głos kazanie i modlitwy, wszyscy przywtarzaliśmy chórem, według obrzędu anglikańskiego ko-

ścioła. Myśl, że byłam sama jedna, bez rodaków, bez krewnych, bez przyjaciół, wśród tego różnolitego tłumu, połączona z nim jednak wspólnym węzłem modlitwy, myśl ta łzy szczere wycisnęła mi z oczu. Po nabożeństwie czytałam poemat sławnego amerykańskiego poety Longfellów, pod napisem Ewangelina. Rzecz dzieje w północnej Ameryce. Poemat to dziwnie zajmujący, pełen dramatycznego życia. Rozpoczyna się obrazem dziewiczych lasów nowego świata, tych olbrzymich drzew, przypominających postacie starożytnych Druidów o długich brodach, których włos biały za potrąceniem wiatru wydaje dźwięk harmonijny. Pyszny to początek. Cała pieśń nacechowana smętnym tonem, osnuta na prawdziwem zdarzeniu z życia spokojnych a prześladowanych mieszkańców Akadyi; powiewa z niej żywotne natchnienie Ameryki.

Trzynaście kobiet należy do naszego grona, niektóre z nich bardzo miłe. Wiele jednak chwil trawię samotnie. Mam własny gabinet oświecony oknem w suficie, wieczorem zaś lampę. Wszystko tu piękne, wspaniałe, wytworne. Stoły zastawione nieustannie. Ale ten zbytek nie przypada mi wcale do smaku, obiady zwłaszcza, są dla mnie prawdziwą plagą. Cała przeprawa, licząc w to i życie, kosztuje trzydzieści pięć suverenów.

Czwartek.

Piąty dzień podróży, a jesteśmy już w połowie drogi do Nowego-Jorku! Wiatr ciągle pomyślny, jeżeli tak dalej pójdzie przeprawa, będzie jedną z najszczęśliwszych. Ale nie mów hop aż przeskoczysz! Zdrowa jestem zupełnie, słońce i duch mój opiekuńczy stale mi towarzyszą.

Widok nieba i morza, dziwnie pokrzepia duszę, przypina jej lotne skrzydła i wznosi ją wysoko po nad szumiące fale oceanu! Od kilku dni widzimy tylko błękit, wodę i morskie ptastwo, krążące wciąż nad nami. Nigdzie nie dojrzeć żagla ani dymu z paropływu, w koło przestrzeń i pustynia. Ale dla mnie dość tych fal przejrzystych i tych jasnych promieni, dość tych obłoków żeglujących swobodnie po błękicie, za któremi błądzę i myślą i okiem. Całemi godzinami przechadzam się sama jedna po moście; napawam pierś chłodnem powietrzem oceanu. Patrzę jak nasz Lewiatan kołysze się na fali i myślą uciekam na dalekie wybrzeża. Czuję że płynie we mnie krew dawnych skandynawskich Piratów; jak oni niegdyś, tak i ja kocham całą duszą te spienione bałwany i wśród ich szumu, czuję że oddycham pełną piersią.

Pomiędzy podróżnemi, są dwie młode kobiety z Georgii. Jedna z nich, młoda Hanna, dziwnie miła i ujmująca panienka. Słaba jest na piersi, wie że umrze nie długo, ale ze spokojną odwagą idzie naprzeciw śmierci. W oczach jej jaśnieje anioł przyszłości, a przez delikatne rysy przebija człowieczo trupia głowa.

Wiele dziś cierpiałam, widząc jak dwóch młodych podróżnych Anglik i Hiszpan, uganiali się za biedną ptaszyną, co zagnana wiatrem, daremnie szukała schronienia w pośród lin okrętowych. Naprożno błagałam ich aby dali pokój niewinnemu stworzeniu. Dziwi mnie to, że żaden z podróżnych nie wziął ptaszyny pod opiekę. Walka tem się skończyła, że ptak zostawił piórka w ręku jednego z prześladowców swoich, poczem bez trudności osadzony w klatce, przeżył w niej ledwie kilka godzin. Zdaje mi się że wolną jestem od przesadzonej czułości, a jednak bo-

li mnie ciężko okrucieństwo ludzkie względem zwierząt. Wreszcie, żal mi tych niebacznych dzieci; wierzę bowiem w prawo odwetu w małych nawet rzeczach. Przyjdzie chwila, że te młodziany zapragną spoczynku, a nie znalazłszy go, przypomną sobie ofiarę swej płochej swawoli.

Myśli cisną się tłumnie do mej głowy, w miarę jak się zbliżam do kresu. Co tam zobaczę? sama nie wiem. W każdym razie ujrzę *nowe* przedmioty, dowiem się *nowych* rzeczy. Zapomnę przeszłości patrząc wyłącznie przed siebie.

II.

Nowy Jork, 4 Października.

Po trzynastodniowej żegludze, postawiłam nareszcie stopę na stałym lądzie Ameryki. Stoję w hotelu zwanym *Asterhouse*, jednym z najsłynniejszych w Nowym-Jorku. Obejmuje on więcej mieszkańców niż cała stolica Islandyi, bo około pięciuset. Przed hotelem jest wspaniały dziedziniec, zdobny w drzewa i zielone trawniki, wielki wodotrysk bije w pośrodku i mile orzeźwia powietrze. Ulica Broadwej, przy której położony hotel, najludniejsza jest i najwspanialsza w całem mieście. Pośrodkiem niej krążą białe i złocone omnibusy, tudzież niesłychane mnóstwo różnej wielkości powozów. Szerokie chodniki aż się roją od tłumu przechodniów, a piękne domy po obudwu stronach ulicy, oraz wystawne sklepy, dopełniają uroku.

Ostatniego dnia żeglugi pogoda była wątpliwa. Ocean i niebo, przybrały ołowianą barwę. Ale zaledwie wpłynęliśmy do pięknego portu w Nowym-Jorku, słońce wypłynęło z po-za chmury i złotym blaskiem oblało ziemię. Nowy świat przyjmował mnie uroczyście. Było w powietrzu coś żywotnego, promienistego, młodego, jakby tchnienie dziewicze. Poiłam pierś tym czarodziejskim nektarem, a stojąc u rudla poglądałam na brzeg niedaleki. Las masztów przysłaniał miasto, widziałam tylko dzwonnice owiane kłębami dymu, a po obu stronach portu, na zielonych wzgórkach prześliczne wille ocienione drzewami.

Rodzina z Georgii, z którą odbyłam morską podróż, wzięła mnie w opiekę i przywiozła do hotelu *Asterhouse*. Razem z bladą Hanną zamieszkałyśmy pokój na czwartem piętrze, jedyny, jakiśmy znaleźć mogły. Zeszłam właśnie z towarzyszkami do salonu, gdy jakiś pan nieznajomy, z ciemną cerą i dziwnie łagodnem okiem, zbliżył się do mnie i wyrzekł moje nazwisko. Był to pan Downing. Uprzedzony listem przyjaciół moich przybył z umysłu na spotkanie moje do Nowego Jorku z wilii nad *Hudsonem* gdzie mieszka. Postać jego pełna szlachetności i znaczenia, mile mnie o nim uprzedziła. Pragnie koniecznie zabrać mnie z sobą pojutrze do swojej wilii, gdzie mam poznać młodą jego żonę i spocząć trochę po trudach podróży. Tam ułożę sobie dalszy plan moich wycieczek, które chcę rozpocząć zwiedzeniem górzystych brzegów Hudsonu.

Spędziłam wieczór wraz z towarzyszkami podróży i panem Downing, w jednym z wielkich i wspaniałych salonów hotelu, gdzie wiele nowych zabrałam znajomości. Na każdem piętrze są przepyszne sale, oświecone gazem, przystrojone w zwierciadła, aksamit i złoto. Tam wszyscy

mieszkańcy hotelu żyją jakby u siebie, przyjmują i oddają wizyty, zasiadajac na miękkich kanapach i fotelach, w około oddzielnych stolików.

5. Października.

Dzisiejszy dzień ntrudził mnie nad wyraz. Od samego rana przyjmowałam odwiedziny mnóstwa nieznanych mi osób. Musiałam bez ustanku kłaniać się, podawać rękę, obracać głowę na wszystkie strony. Kobiety z dziwną gościnnością zapraszały mnie do swoich domów. Odebrałam pełno listów z prośbą o *autografy*. Podałam dziś rękę ośmdziesięciu przynajmniej nieznajomym osobom, a wielu dla braku czasu przyjąć wcale nie mogłam. Podoba mi się nad wyraz serdeczne obejście Amerykanów; wdzięczna im jestem za współczucie jakie mi okazują, za ich szczerą gościnność. Z przyjemnością jednak wyrwałam się na parę godzin z tego odmętu i pojechałam z panem Downing do pięknego portu *Grenwood*. Tak się nazywa ogromny cmentarz w Nowym Jorku, który obszarem swoim przechodzi o wiele cmentarz paryzki *Pere Lachaise*. Można po nim przejeżdżać się powozem. Z najwyższego wzgórza pyszny widok rozciąga się na morze: chciałabym tu odpocząć!

W liczbie odwiedzających mnie osób była i panna Lynch, młoda muza amerykańska. Miła to osoba; wzniosła dusza maluje się na jej obliczu. Pomimo utrudzenia będę dziś u niej na wieczorze, gdzie mnie zapozna z częścią tutejszego literackiego świata. Aż się lękam na myśl takiego rozproszonego życia jakie tu prowadzę. Siły moje nie podołają, jeśli tak dalej będzie.

Newburg nad Hudsonem, 7 Października.

Jakże mi błogo i miło w Nowym Świecie! jakżem wdzięczna Opatrzności, że mnie tu sprowadziła! Mniejsza o to żem strudzona i niemal przygnębiona nawałem cisnących się myśli i wrażeń. Znajduję tu wszystko com przeczuwała, czegom szukała, o czem kiedykolwiek marzyłam: światło i pokarm dla chciwego spostrzeżeń umysłu jakim mnie Bóg obdarzył. Pan Downing, człowiek szlachetny, światły, szczery, prawdziwy Amerykanin, jest mi wybornym przewodnikiem; przy jego pomocy poznaję najżywotniejsze zagadnienia tego kraju.

Złamana całodziennem utrudzeniem, mniemałam, iż niepodobna mi będzie wyjechać o piątej z rana. Powiedziałam to panu Downing. „Sprobujemy“ odrzekł na to spokojnie. Ci Amerykanie jak widzę, nie znają w niczem niepodobieństwa! Jakoż przekonałam się sama, że byle chcieć, wiele dokonać można. O pół do piątej nazajutrz byłam ubiana i gotowa. Uścisnęłam bladą Georgiankę, zeszłam i wsiadłam do powozu z panem Downing i panną Lynch, która także pojechała z nami na dni parę.

Wsiedliśmy na statek: był to prześliczny pałacyk biały i złoty na zewnątrz, w środku zaś najwytworniej urządzony. Płynęliśmy spokojnie po szerokim i pysznym Hudsonie, a krajobraz coraz był piękniejszy, coraz rozmaitszy, w miarę jakeśmy się dostali pomiędzy górzyste brzegi rzeki. Statki parowe krzyżowały się z sobą nieustannie, a tysiące różnej wielkości łodzi o białych żaglach i czerwonej fladze. płynęły brzegiem, jakby stada białych gołębi. Wiejskie domy tuliły się do brzegów, otoczone wieńcem zielonym. Uważałam nadzwyczajną rozmaitość

w ich budowie. Wiele z nich przypominało styl gotycki, inne miały pozór świątyń greckich. Słusznie pomyślałam, czyliż domowe ognisko nie jest także świątynią? W starożytnej naszej Skandynawii poświęcano miejsce na dom przeznaczone, a Bogi, domowe *Lary*, pod każdym dachem bezpieczne miały schronienie.

Widziałam także wsie i kościoły malowniczo rozrzucone po obudwu brzegach rzeki. Po trzygodzinnej żegludze, wylądowaliśmy w małem miasteczku Newburg, gdzie czekał na nas powóz pana Downing. Pięknym parowem pomiędzy dwoma rzędami pagórków, przybyliśmy do prześlicznej wilii z ciosowego kamienia, o dwóch wysmukłych wieżyczkach. Dom na wysokiem zbudowany miejscu, otoczony ogrodem, miał widok na rzekę Hudson i urocze jej brzegi. Młoda ładna kobietka, niebieskooka blondynka, wybiegła naprzeciw nam, była to żona pana Downing.

Urządzenie domu tego daje mi niejako próbkę ucywilizowanego życia Amerykanów. Pan Downing sam go zbudował, sam obsadził drzewami, obsiał kwiatami do koła. Wszystko nosi tu piętno poważnego i wysoko ukształconego umysłu. Każda rzecz obmyślana dokładnie. Są tu i cieniste szpalery i otwarte widoki na daleką a cudnie piękną okolicę, nic tu nie razi, nie zawadza, wyższy duch odbija w całym układzie. Wnętrze domu takąż samą przedstawia harmonią. Drzwi i okna z ciemnego drzewa, pochłaniają zbyt ostre słońca promienie. Wytworne sprzęty rozstawione są z dziwnym ładem. Każdemu tu dobrze i wygodnie. Jedyna rzecz co tu dodaje blasku, są kwiaty poukładane w pięknych urnach, wazonach i koszykach. Mnóstwo do koła książek, obrazów i popiersi. Szafki o gotyckich oknach z dobrą biblioteką.

Na nich widać popiersia Lineusza, Franklina, Newtona i innych bohaterów nauki. Przestąpiwszy te progi, przeczuwamy godło pana Downing, „*Il bello et il buono*“ (piękno i dobro). Nie spodziewałam się wyznam szczerze, znaleźć takie ognisko w nowym świecie.

Mniemałam że tu przynajmniej odpocznę po trudach, zawiodłam się jednak w tym względzie. Wczoraj wieczorem, mimo słoty, podczas gdym siedziała w cichym i wygodnym salonie, przybył wydawca Magazynu (Union Magazine) z Filadelfii, professor Hart, który dowiedziawszy się z dzienników, że jestem w Nowym Jorku, udał się z umysłu do tego miasta, aby mnie *zmonopolizować* do swego pisma. Prosił mnie usilnie, aby cokolwiek napiszę podczas pobytu mego w Ameryce, mogło być drukowane w jego zbiorze. Otóż próbka przedsiębierczego ducha Amerykanów. Pan Hart bardzo mnie ujął grzecznością swoją i miłym układem; dałam mu słowo, że jeżeli tylko pisać będę, złożę moją pracę w jego ręce. Wątpię jednak żebym pisać tu mogła. Pragnę przedewszystkiem uczyć się i rozmyślać.

Zaproszono mnie na wesele w sąsiedztwie; przyjęłam chętnie wezwanie, lubię bowiem patrzeć na nowożeńców i zaślubiny. Pragnę spędzić zimę w Bostonie w tak zwanych *Amerykańskich Atenach* i pochwycić tam choć w części ruch umysłowy Nowego Świata. Zabawię trzy tygodnie w domu państwa Downing. Mamy wkrótce rozpocząć odwiedziny w sąsiedztwie. Pomiędzy sąsiadami jest także Washington Irwing, tak powszechnie znany i ceniony w Szwecyi. On to zarówno jak Fenimoor Cooper, obznajmił nas z Ameryką. Mieszka niedaleko ztąd nad Hudsonem. Panna Sedgewick, słynna pisarka, spodziewana tu także.

Nie wiem tylko sama, jak podołam z czasem, jak odpowiem tylu gościnnym wezwaniom. Choćbym nawet wszystkiemu zadosyć uczynić nie mogła, zachowam jednak w sercu pamięć gościnności amerykańskiej i nie zapomnę nigdy, że nazajutrz po przybyciu do Nowego Jorku, sześć rodzin otworzyło mi podwoje i jak członka rodziny chciało mnie przyjąć do ogniska!

III.

Z nad Hudsonu, 11 Października.

Dziś z rana o dziewiątej pojechaliśmy na wesele, pomimo ulewnego deszczu. Wszyscy zaproszeni w liczbie stu osób, byli już zebrani w chwili przybycia naszego. Ojciec panny młodej, starzec miłej postaci, podał mi rękę i wprowadził do sali, gdzie się miała odbyć uroczystość. Było to wesele jedynaczki. Starsza jej siostra umarła niedawno, w pierwszym roku małżeństwa; okoliczność ta rzuciła cień na te weselne gody. Matka zwłaszcza, nosiła jeszcze ślady żałoby na obliczu. Milczenie panowało w zgromadzeniu, a obrząd cały miał raczej pozór pogrzebu niż wesela. Otworzono podwoje, państwo młodzi weszli razem do sali. Panna młoda miała na sobie podróżny płaszczyk i kapelusz na głowie. Stanęli obok siebie w głębi pokoju: sędziwy ksiądz przystąpił do młodej pary i związał jej ręce na *wieczność* po krótkiej modlitwie, krótkiej przemowie i błogosławieństwie. Gdy się obrzęd

zakończył, krewni i przyjaciele składali życzenia nowożeńcom. Oboje zdawali się być szczerze zadowoleni. Mieli niezwłocznie puścić się w drogę do Niagary, czas naglił i statek miał za chwilę odpłynąć. Podano cukierki i szampańskie wino. Oglądano ślubne dary rozłożone na stole. Każdy z obecnych otrzymał pudełko białe papierowe, obwiązane różową wstążką, w którem była część weselnego kołacza. Po czem, tak państwo młodzi jak goście, rozjechali się każdy w swoją stronę. Wszystko odbyło się na prędce.

Ten obrzęd weselny, dziwnie charakteryzuje w moich oczach, ów pośpiech, jaki zwykle zarzucają Amerykanom. „Życie krótkie, mówią oni, trzeba się spieszyć aby zajść dalej". Pomijają więc wszelkie formy zabierające czas daremnie i wszystko czynią z zadziwiającą szybkością. Pięć minut poświęcają ledwie na najważniejszy w życiu obrzęd, a dla pośpiechu, biorą ślub w podróżnej odzieży. Mimo to jednak uroczystość acz krótka, odbyła, się poważnie i z głębokiem przejęciem. W nie jednem oku dostrzegłam łzy serdeczne. Stary sługa murzyn, który podawał cukierki, wielce miał poczciwy wyraz twarzy. Znać było, że czuł się członkiem rodziny, której służył oddawna.

20 Października.

Od czasu pobytu mego w Ameryce, czuję w sobie dziwnie podniecone życie, puls mój uderza gorączkowo. Ten rodzaj życia utrudza mnie, pomimo całego wdzięku. Państwo Downing nie mają dzieci, to też wiele udzielają się przyjaciołom i sąsiadom. Nad brzegami Hudsonu, mnóstwo mieszka rodzin; można więc wybrać sobie licz-

ne i miłe towarzyskie koło: ztąd powstaje wielki odment w życiu. Pożywienie Amerykańskie, nie korzystnie też wpływa na moje zdrowie. Wszystkiego tu za wiele: śniadania zwłaszcza, nie mają końca ani miary. Oprócz kawy i herbaty, zastawiają jeszcze ryby, mięsiwa, ciasta i pewien rodzaj słodkich kartofli nieznany w naszym kraju. Obiady podają tu na sposób angielski; wieczorem dają herbatę, owoce i bitą śmietanę; przy herbacie rozstawiają maleńkie stoliki, każdy na dwie osoby, zwyczaj to bardzo dobry, otwiera pole do miłej pogadanki.

Najprzyjemniejsze dla mnie chwile, pędzę porankiem w moim pokoju, na czytaniu i pracy, wieczorem zaś wspólnie z gospodarstwem, w bibliotece, pośród książek i popiersiów, przy płonącym na kominku ogniu. Pan Downing i jego żona, czytają głośno na przemiany, najpiękniejsze ustępy z Amerykańskich poetów; zabieram potem książki na górę dla lepszego z niemi obznajmienia. Tym sposobem poznałam już Bryanta, Lowella, Emersona, którzy podług mnie wyrażają najwybitniej, obecne życie nowego świata. Bryant śpiewak pełen prostoty, opiewa lasy, łąki i właściwe Ameryce zjawiska; pieśń jego pełna spokojnego natchnienia, jaśnieje wdziękiem niepospolitym, znać że ją poeta wyczerpał z żywego łona przyrody. Jego sławny Poemat Nocy, wielki jest, jakkolwiek w małe ujęty ramy. Całą ziemię uważa on za olbrzymi cmentarz. Lowell czerpie natchnienie z najżywotniejszych spółczesnych zagadnień Nowego Świata; opiewa on cudnie chwałę i piękność pracy. Nadzwyczaj mnie zajął maleńki poemacik, zaczynający się od słów. „O! synu ubogiego"! Jakaż w nim melodya, jaka moralna prawda! jak pięknie wyrażone nadzieje względem przyszłości ubogiego, na ziemi Nowego Świata! Niemniej piękny jego poemat opisowy

p. t. *wizja Laura falla.* Utwory Lowella są w ogóle moralne, pełne głębokiego religijnego uczucia. Najpiękniejszą pieśń swą poświęcił poeta sprawie uciśnionych murzynów, ztąd liczą go tu między najgorliwszych *abolitionistów*, to jest ludzi pracujących nad obaleniem niewolnictwa. Lowell prawdziwym jest poetą, to też pieśń porusza mimowoli serce i rozbudza myśl czytelnika.

Waldo Emerson, więcej filozof niż poeta, uderza nadzwyczajną oryginalnością pomysłów. Chciałby odbudować społeczeństwo na zasadzie prawdy. Język Emersona dobitny jest, energiczny, prosty i obrazowy. Trzyma on w ręku berło geniuszu i mistrzem jest na swojem polu. Mierność i słabość wszelką chłoszcze bez litości i depcze pogardliwie. Wszakże, obok tych wielkich zalet, Emerson jest w błędzie pod względem religijnych pojęć.

Panna Katarzyna Sedgewick, przybywa tu w tych dniach; pan Downing sprowadził ją dla mnie z umysłu. Ma lat blisko sześćdziesiąt i powierzchowność bardzo ujmującą. Szczera, otwarta, bez przesady, budzi zupełne zaufanie. W ostatnich czasach zaczęła pisać wyłącznie dla ludu. Cenią tu powszechnie jej powiastki, a nadewszystko jednę p. n. *Ognisko.*

Podczas pobytu panny Sedgewick, pan Downing zawiózł nas na wierzchołek góry South-Beakon, najwyższej w okolicy. Z wielką trudnością wdarliśmy się na wysokość dziewięciuset stóp po nad poziom. Widok z góry obejmuje niemal połowę kuli ziemskiej. Pod tym stosem nagich skał i zielonych wzgórzów, mieszkania ludzkie wydają się jakby maleńkie białe punkciki, ledwie dojrzane gołem okiem. Takie widoki bolesne czynią na mnie wrażenia. Człowiek tak wielki w swej boleści, w swej walce, niknie w takiem oddaleniu. Pocieszał mnie tylko widok

rzeki Hudson, która, śmiało jak myśl ludzka wypływała z odmętu i jasno biegła w nieskończoność.

W kilka dni po tej wycieczce, popłynęliśmy statkiem w odwiedziny do państwa Donaldson, których dom należy do tutejszej arystokracyi. Czas był piękny, spokojny, brzegi Hudsonu roztaczały całe bogactwo barw jesiennych. Zdaleka piętrzyły się przepyszne góry Catskill, na tysiąc stóp wysokie. Jest to odnoga sławnego łańcucha gór Alleghany, przecinającego Amerykę z północy na południe. Cała nadbrzeżna okolica, bogata, dobrze uprawna i zabudowana. Nie masz tu zamków ani poetycznych zwalisk, wszędzie maleńkie białe domki i osady rybackie. Kilka podań z czasów wojny z miejscowemi Indyanami, stanowi jedyne historyczne wspomnienia tych brzegów. Co do mnie, nie żałuję tu legend i zamków Nadreńskich; dość mamy zwalisk na starej naszej półkuli!

Po trzygodzinnej żegludze przybyliśmy nareszcie do wspaniałej rezydencyi Donaldsonów, gdzie zaproszeni byliśmy na wielkie śniadanie. Młoda i piękna gospodyni, z rodziny irlandzkiej i katolickiej, przyjęła nas gościnnie. Udaliśmy się do przeznaczonych nam pokoi, a ochłodziwszy się z drogi i przybrawszy stosownie, poszliśmy do salonu, gdzie było liczne zgromadzenie. Podałam rękę sześćdziesięciu przynajmniej osobom: mniejsza oto jeszcze, ale rozmowa z nieznajomemi prawdziwie uciążliwa. Kiedy powtarzam bez ustanku jedne i też same słowa, zdaje mi się w końcu, żem papuga. Towarzystwo było wesołe, śniadanie przepyszne, zabawa zakończyła się tańcem. Widziałam mnóstwo ładnych kobiet i panien z maleńkiemi nóżkami i rączkami; kształtne są, pełne życia, wysmukłe, ale nadzwyczaj wątłe; przypominały mi trochę francuzki,

brak im tylko wyrazu. Wieczorem miałam niespodziewaną przyjemność. Pani Donaldson grała na harfie i śpiewała prawdziwie po artystowsku, co się tu nie często zdarza. Synek jej trzynastoletni śpiewał także śliczną fantastyczną piosenkę. Dziecię to ma prawdziwy jeniusz muzykalny.

Nazajutrz jeszcze, mnóstwo sąsiadów przybyło poznać *nieznajomą Szwedkę*. Po obiedzie zwiedzaliśmy piękniejsze miejsca w okolicy. Na małym przylądku, zachodzącym głęboko w rzekę, zbudowano ruinę z odłamków starych kolumn, które niedawno odkryto w środkowej Ameryce i Meksyku. Posągi których także kilka sprowadzono, przypominały mi zupełnie starożytności Egipskie.

Byłam także na uczcie u babki pani Downing, w dziewięćdziesiątą rocznicę jej urodzin. Mieszka ona z drugiej strony Hudsonu. W dzień ten uroczysty, wszystkie dzieci, wnuki i prawnuki, w liczbie sześćdziesięciu, zebrały się w jej domu. Solenizantka pełna jeszcze życia, krzątała się jak młoda panienka. Jedliśmy, pili i wnosili rozmaite zdrowia. Ja sama wniosłam jedno, na cześć *domowych ognisk* Szwedzkich i Amerykańskich. Po obiedzie kilka osób grało i śpiewało i ja między innemi grałam polonezy Szwedzkie.

Jutro mamy być z odwiedzinami u rodziny Hamilton, mieszkającej nad Hudsonem w sąsiedztwie Washingtona Irwinga. W przyszłym tygodniu powracam do Nowego Jorku i rozpocznę na dobre *kampanią*, do której, te parę tygodni spędzone na wsi, były tylko prologiem. Państwo Spring z Nowego Jorku, przybyli tu umyślnie z prośbą abym za powrotem do miasta, uważała dom ich za mój własny. Tak byli uprzejmi i prawdziwie przyjacielscy, że

musiałam skłonić się do ich woli, mam oprócz tego wiele innych zaprosin.

Nadzwyczaj szczęśliwa jestem ze znajomości mojej z Downingiem. Człowiek to niepospolitej zasługi, nigdy jednak nie słyszałam go aby mówił o sobie. Panna Sedgewick powiadała mi wszakże, iż w Stanach Zjednoczonych, mało jest ludzi tak jak on znanych powszechnie, i tak prawdziwie pożytecznych. Jego dzieła o rolnictwie, o ogrodnictwie, o owocach i kwiatach, dążą do uszlachetnienia smaku i rozpowszechnienia oświaty. Te książki znajdują się w każdym domu. Ktokolwiek stawia budynek lub zakłada ogród, radzi ich się dosłownie: każde młode małżeństwo nabywa je jako rzecz konieczną. Downing sobie samemu winien własne wykształcenie. Z prawdziwą przykrością dom ich opuściłam. On sam nakreślił mi plan całorocznej podróży po Stanach Zjednoczonych Ameryki i opatrzył mnie w listy do przyjaciół. Szczęśliwa jestem z mej podróży; doznaję wprawdzie nie małych trudów: ale możnaż się skarżyć na trudy, których powodem jest ogólne współczucie! Moja Agato, gdy pomyślisz o mnie w modlitwie, podziękuj Bogu że mi taką zesłał pociechę, że tak szczodrze zaspokaja moje najskrytsze pragnienia i chęci.

22 Października.

Niezadługo opuszczę brzegi Hudsonu; kto wie, może na zawsze. Rzeka dziś gładka jak zwierciadło, tysiące łódek o białych żaglach przesuwa się po wodzie. Po nad rzeką i górami, unoszą się kłęby mgły białej. Słabo zale-

dwie, przez te uroczą zasłonę, przeglądają lasy, strojne w złotą barwę jesieni.

Te maleńkie domki odbijające jak perły na zielonem tle murawy, zawierają w sobie to co stanowi rzeczywiste bogactwo Nowego Świata. Jakże tu piękne życie rodzinne, na wspaniałym tle obywatelskiego żywota! Szczęśliwa jestem żem poznała niektóre z domowych ognisk na brzegu tej wielkiej i wspaniałej rzeki. Niedaleko Willi Downingów, jest ładny dom, w którym mieszkają cztery nie młode panny. Ich brat, nagle wzbogacony handlem, kupił tę ziemię, zbudował dom i darował go ubogim siostrom. W kilka lat potem, brat dziwnem zrządzeniem losu, stracił cały majątek. Siostry wzięły go do siebie, i wychowują jego dzieci; miłe to dobre i wesołe kobiety. Słyszę w tej chwili huk armat nad Hudsonem. Wysadzają skały w powietrze po przeciwnej stronie rzeki, kędy budują nową żelazną kolej. Para na ziemi i na wodzie, walczyć będą z sobą pospołu. Robotnicy strącają góry z drogi, inne przebijają na wylot, skały zapuszczają w głąb wody, aby służyły na pokład żelaznym szynom. Amerykanie nie wątpią o niczem a wszakże wiara przenosi góry!

Gdy patrzę na ten szereg parowych statków, swobodnie ślizgających się po Hudsonie, nie mogę przypuścić, że trzydzieści lat temu zaledwie, Fulton po raz pierwszy probował siły pary; wystawiony na powszechne szyderstwa i urąganie. Posłuchajmy jak sam wspomina owe czasy:

Gdym zbudował mój pierwszy statek parowy (mówi on), mieszkańcy Nowego Jorku, patrzali na mnie obojętnie a nawet z pogardą. Przedsiewzięcie moje wydało im się szaleństwem. Przyjaciele moi grzeczni byli, ale mi

nie ufali. Gdym się tłómaczył przed niemi, słuchali mnie cierpliwie, ale z niedowierzaniem. Nie raz, gdym pilnował budowy; dobiegały mnie pogadanki zgromadzonej gawiedzi. Szydzono z przedsięwzięcia, nazwano je *szaleństwem Fultona*. Nigdy nie usłyszałem słowa zachęty, nigdy pomyślna wróżba nie dobiegła mego ucha.“

„Nadszedł nareszcie dzień próby, chwila dla mnie stanowcza. Zaprosiłem przyjaciół na statek, aby byli świadkami pierwszego doświadczenia. Wielu z nich przybiegło, przekonani w duszy, iż będą świadkami mego wstydu, nie przypuszczając zwycięztwa. Czułem sam że mają prawo wątpić o powodzeniu; machina była nowa i źle wykonana przez nieświadomych robotników. Życzliwi mi przyjaciele stali na pomoście milczący i upokorzeni, pełni wewnętrznej trwogi. Za danym znakiem statek poruszył się, szedł chwilę, a potem stanął uporczywie na miejscu. Chwilowe milczenie zastąpiło szepty, i widocznie objawy niechęci. Obecni wzruszali ramionami i powtarzali na wyścigi: „A co? czyśmy nie mówili? to prawdziwe szaleństwo! Pocóżeśmy tu przyszli? Wstąpiłem na pokład i rzekłem do przyjaciół, że nie zbadałem jeszcze przyczyny niepowodzenia, prosiłem o chwilę cierpliwości, zapewniając że za półgodziny albo popłynę dalej, albo też zaniecham stanowczo przedsięwzięcia. Zstąpiłem potem na dół, obejrzałem maszynę, odkryłem mało znaczący powód oporu i poprawiłem na prędce niedokładność. Statek ruszył znowu, opuściliśmy Nowy Jork i przybyliśmy do Albany. Samo nawet zwycięztwo, nie pokonało przesądu. Nie przypuszczano wcale aby wielkie korzyści wynikły z mego odkrycia.“

Trzydzieści lat zaledwie ubiegło od tej chwili, a dziś

połowa ludzkiego rodu, na skrzydłach Fultona, okrąża ziemię w około.

24. Października.

Odbyliśmy nareszcie zamierzoną przejażdżkę do Hamiltonów; z przyjemnością odetchnęłam ciepłem ich domowego ogniska. Sam Hamilton jest synem Jenerała, współczesnego i przyjaciela Washingtona, który wraz z nim wielkie poniósł zasługi w sprawie o niepodległość Ameryki. Pani Hamilton, kobieta w podeszłym wieku, miła, uprzejma, pełna cnot rodzinnych, macierzyńskiej miłości. Czworo dzieci, trzy córki dorosłe i syn, składają tę rodzinę. Starsza z siostr już zamężna; dwie młodsze Marya i Angelika, przypominają typy Amerykańskich kobiet znane nam z romansów Coopera.

Pan Hamilton obwiózł mnie po okolicy. Zwiedzaliśmy zagrody tutejszych robotników, ciekawa byłam bowiem poznać ich położenie. Do kilku z nich trafiliśmy właśnie podczas obiadu. Stoły ich zastawione były obficie jarzynami, mięsiwem, ciastem, kukurydzą, chlebem pszennym i najpiękniejszymi owocami. Domy po większej części zbudowane z drzewa, pokoje są jasne, czyste; wielkie okna przepuszczają światła dostatkiem. Pan Hamilton nie mógł się wypowiedzieć jak szczęśliwym jest byt rolnika w tym kraju.

Wiele było osób na obiedzie, między innemi był i Washington Irwing. Jest to około sześćdziesięcioletni starzec. Oczy ma piękne, rysy kształtne, uśmiech łagodny zapowiada młodość uczucia i myśli. Serce jego jak mówią wyborne, humor zawsze wesoły; rad ze wszystkiego co go

spotka. Otacza się zwykle dziećmi i w ich towarzystwie najmilsze trawi chwili, młode, zwłaszcza siostrzenice, kocha i uszczęśliwia po ojcowsku. Siedzieliśmy obok siebie u stołu, i wyznam, że o mało nie zasnął. Powiadano mi, że mu często się to przytrafia, zwłaszcza podczas wielkich obiadów. Nie dziwie się temu wcale, ten obiad jednak, wcale nie był nudny. Irwing grzecznie i przyjemnie utrzymywał rozmowę, ja z mojej strony siliłam się jak mogłam, a jednak jakoś nam nie szło. Po obiedzie prosiłam aby mi pozwolił odrysować swój profil, a chcąc go zabezpieczyć od snu, posadziłam przy nim Angelikę; prosząc ją aby go bawiła rozmową. Udało się wybornie, a jeżeli portret nie dokładny, moja wyłącznie w tem wina.

Nazajutrz rano, wraz z Maryą Hamilton, odwiedziłyśmy Washingtona Irwinga. Dom jego nad Hudsonem podobny jest do spokojnej sielanki. Zielony bluszcz przysłania białe ściany i pnie się nawet po dachu. Wewnątrz, panuje spokój i życie. Waschington Irwing, jakkolwiek ma ułożenie światowego człowieka i wiele prostoty w obejściu, jest mimo te nieśmiały, co się często ludziom piszącym przytrafia. Duch poetyczny przywykły krążyć w wyższej przestrzeni, nie zawsze umie się zniżyć do ziemskiej rzeczywistości; formy przyjęte w towarzyskiem życiu, zbytnie go czasem krępują. Portret Washingtona Irwinga malowany przed laty, nadzwyczaj piękny. Oczy i włosy krucze, nadają mu pozór Hiszpana. Był niegdyś zaręczony, z młodą piękną i dobrą panienką. Narzeczona umarła, a Irwing postanowił nie wchodzić w nowe związki. Poprzestał na wspomnieniu, żył odtąd sztuką, praca umysłowa i przyroda, wyłączną były mu pociechą. Czas nie wyrył zmarszczek na jego czole, nie usrebrzył mu włosa.

Tegoż wieczora pożegnałam gościnną rodzinę Hamiltonów, i na parę dni jeszcze powróciłam z Downingami do ich pięknej willi nad Hudsonem.

IV.

4 Listopada.

Jestem na powrót w Nowym Jorku, gdzie mnie podjęła gościnna rodzina Spring. Markus Spring ma dom handlowy w mieście, i śliczną willę za miastem, zwaną Roze-Cottage. Sam ją zbudował i obsadził drzewami i winogradem. Wyjeżdża codzień do miasta, wieczorem zaś powraca, aby odetchnąć po trudach, obok miłej rodziny. Z wielką ciekawością badam życie domowe Amerykanów; zastanawiam się zwłaszcza nad charakterem kobiet. Domowe ognisko uważam za główną skazówkę, przyszłego rozwoju narodu. Jak ze strumieni tworzą się rzeki, tak z obrębu rodzinnych progów wypływa przyszłość świata. Od dawna już przeczuwam życie domowe, w całej wielkości, w pełnej chwale; ta niebieska jutrzenka będzie jedyną gwiazdą, przewodniczką mego życia. Winna ją jestem Szwecyi, Ameryka nowe z niej może wydobędzie promienie. Tu pod wpływem nowych wrażeń i okoliczności, talent mój dojrzalsze może i posilniejsze wyda owoce.

Rodzina u której mieszkam, Markus i Rebeka Spring, należą do oddzielnego rodzaju ludzi. Miłe to proste, ko-

chające, prawdziwie anielskie istoty. Od pierwszego dnia pobytu mego w ich domu, nazywają mnie po imieniu, i żądają abym toż samo nawzajem czyniła. Żyję więc z niemi ściśle jakby z rodzeństwem. Niesłychanie na mnie łaskawi. Smutna byłam trochę w pierwszych dniach po przybyciu. Cierpiałam wiele z powodu zimna. Otóż kazali natychmiast postawić piec w moim sypialnym pokoju. Markus należy do ludzi, którzy winni wszystko Bogu i sobie. Rebeka pochodzi z rodziny Kwakrów, światła, zastanawiająca się głęboko, jak zwykle kobiety z tej sekty. On nie mówi nigdy o sobie, nie lubi żeby się nim zajmowano; ale żona i przyjaciele chętnie rozpowiadają szlachetne jego czyny. Mają troje dzieci, piękne jak aniołki rafaelowskie. Z Markusem rozmawiam zwykle o przyszłości Stanów Zjednoczonych, z Rebeką o życiu wewnętrznem, które mnie nadzwyczaj zajmuje. Tak zaprawdę, więcej tu jest poezyi życia niż się nam Europejczykom wydaje. Klimat bardzo tu zmienny. W pierwszych dniach kostniałam od zimna, teraz znów tak ciepło, że można spać przy otwartych oknach. Woń panuje w powietrzu prawdziwie czarodziejska.

Zwiedzałam tutejsze naukowe zakłady z panią Skajler córką Hamiltonów, którą poznałam na wsi. Metoda uczenia zależy na tem, aby rozbudzić w dzieciach myśl i zastanowić ich uwagę. Jeden dom szkolny, obejmuje zwykle wszystkie klassy. Dzieci od czterech do sześciu lat zajmują dolne sale, każde ma osobne krzesło i pulpit przed sobą. W miarę wieku i usposobienia, przechodzą na wyższe piętra; na najwyższem, uczniowie dorośli otrzymają patenta poczem idą w świat o własnych siłach. Tak samo dzieje się i u dziewcząt. Zadawałam pytania co do wykładu nauk, ale mnie zbywano kilką słowy, aby nie tracić

czasu. W instytucie głuchoniemych, młody profesor pokazał uczniom na migi kto jestem, dając im dość długie objaśnienie. Oni to wszystko spisali na tablicach. Zdziwił mnie ich styl, ich pamięć i pojęcie.

Byłam także na jednej z wysp pobliskich, gdzie dobroczynni ludzie zbudowali Dom Przytułku dla wychodźców Europejskich chorych i ubogich. Wyspa zowie się Wards-Island, a zakład przytułkiem emigrantów. Jeden z głównych założycieli i zarządców tego domu, nazwiskiem Colden, był niegdyś pierwszym prawnikiem w Nowym Jorku. Zebrał ogromny majątek, i dziś poświęca go na dobroczynne cele. On sam przewodniczył nam w tej wycieczce. Będąc w Wards-Island, przekonałam się, ile Amerykanie łożą na podjęcie, najuboższej i najnieszczęśliwszej Europejskiej ludności. Tysiące nędzarzów w łachmanach, znajdują tu przytułek, odzież, pożywienie i leki w czasie choroby. Ztąd odsyłają najuboższych w strony Mississipi. Zbudowano wyłączne domy dla chorych na tyfus, dla niewidomych, dla dzieci, dla kobiet, osobne znów dla przychodzących do zdrowia. Wiele jest jeszcze rozpoczętych budowli. Na tych zielonych wzgórzach, pod wpływem morskiego powietrza, chorzy łatwo odzyskują siły. Pan Colden, bardzo mnie zajął; dzielny to mąż, w całem znaczeniu tego słowa. Wielkie ma serce i silną wolą, to też piastuje swój zakład, z miłością, jak matka rodzone dziecię. Z wielką czcią patrzałam na tego człowieka.

9 Listopada.

Życie tutejsze, w ciągłym ruchu i zajęciu, wyczerpuje mnie, ale zdrugiej strony czuję, jak mnie nowa nieznana skrzepia siła. Poznałam szlachetnego i zapalonego mówcę Channinga, oko jego płomieniste, oblicze natchnione, objawiają od razu wzniosłą duszę. Kocha ideał, wymaga doskonałości, a obecny stan rzeczy mało go zadawalnia. „Młodzi jesteśmy, bardzo młodzi," mówi o Stanach Zjednoczonych. Emmersona uważa za pierwszą gwiazdę Ameryki.

Za kilka dni pojadę z rodziną Spring i Channingiem, do Nowego Jersej, gdzie mamy zwiedzić Falanster północnej Ameryki. Wróciwszy zabawię jeszcze kilka dni u moich nowych przyjaciół, w Rose-Cottage, po czem panna Lynch zabiera mnie do siebie. Chce mi dać poznać wielki świat Nowego Jorku. Zamierzam wkrótce odwiedzieć Lowella i Emmersona, resztę zaś zimy spędzę w Bostonie.

V.

Rose Cottage, 12 Listopada.

Odbyliśmy więc zamierzoną wycieczkę do Falansteru. Gdyśmy wypłynęli z portu, słońce przyświecało nam pięknym jesiennym blaskiem, ale wkrótce chmury pokryły

niebo, i z deszczem przybyliśmy do Jersej. Tam czekał na nas powóz z Falansteru, prosty, obszerny, pokryty lakierowanym płótnem. W parę godzin, stanęliśmy na miejscu. Falanster składa się z dwóch wielkich budynków, otoczonych znaczną liczbą pomniejszych. Zielony i obszerny park otacza go w około. Wprowadzono nas do sali i podano wyborny obiad.

Siostra i szwagier Markusa, należą do stowarzyszenia. Oboje bardzo czynnie wpłynęli na urządzanie Falansteru, pełni są wiary w jego przyszłość i z wielką miłością patrzą na wzrost zakładu. Pan A. prezydent tego zakładu, człowiek z dobrą głową i przedsiebierczym duchem, różne już przechodził koleje. Przez kilka lat był pagtorem, i położył zasługi jako missyonarz. Następnie zajmował się uprawą roli nad rzeką Missisipi. Życie rolnicze na łonie pięknej przyrody wielce przypadło mu do myśli, ale dzieci podrosły, trzeba było myśleć o ich wychowaniu. Pan A. zbliżył się znów do świata, i postanowił stworzyć sobie byt, najwięcej przybliżony do ideału chrześcijańskiego społeczeństwa. Oboje z żoną, tudzież kilka innych rodzin, porozumiawszy się wspólnie, założyli na ośm lat stowarzyszenie, zwane Nowy Falanster Amerykański. Każdy z członków, złożył tysiąc dollarów, zakupiono grunt i pracowano wspólnie, według ustanowionych praw spółki. Wielkie z razu okazały się trudności, brakło bowiem pieniędzy na budowle i narzędzia rolnicze. Słuchałam z rozrzewnieniem, ile trudów i pracy podjęły biedne kobiety, ile okazały wytrwałości i odwagi. Mężczyzni po bratersku podali im ramię i pomagali w domowych zachodach, przechodzących nawet ich wydział. Trudy jakie ponieśli wszyscy, nadały im hart i siłę. Dziś pokonali już naj-

większe trudności, zakład rozkwita coraz piękniej, powstają nowe budowle, zamierzono urządzić ogromną jadalną salę dla wszystkich, a w kuchni i piekarni zaprowadzić machiny, któreby zastąpiły ludzką pracę. Liczba stowarzyszonych przechodzi siedmdziesiąt osób. Główny dochód Falansteru, stanowią młyny, rola i ogrodnictwo. Chodują tu pyszne brzoskwinie, melony i pomidory. W młynach urządzają tak zwaną *komenny*, rodzaj kaszy z kukurydzy, której używają tu powszechnie na śniadanie.

Wieczorem, członkowie Falansteru, zebrali się we wspólnej sali. Przedstawiono mi kilku z nich. W ogóle młodzież bardzo mnie zajęła. Mężczyźni mieli na sobie grubą ale czystą odzież, w obejściu ich wiele uważałem godności. Przyniesiono roboty i ułożono je na stole: były to grube worki na kaszę, które rozsyłano do Nowego Jorku, z pieczęcią Falansteru. Zabrałam się do szycia, Channing szył także z nami. Potem grałam dla młodzieży, śpiewki szwedzkie i polonezy.

Umieszczono mnie na noc w maleńkiej celi z wielkiem oknem i białemi ścianami. Ruch panujący w domu obudził mnie o świcie. Wszystko co żyło, pracowało gorliwie. Czyżby nie należało, pomyślałam z westchnieniem, rozpocząć dnia od modlitwy i pieśni? Czyżby nie należało uświęcić pracę wyższą myślą, błagając Boga o łaskę i błogosławieństwo? Ale pod tym względem wielka obojętność daje się widzieć na Zachodzie.

Ubrałam się i zeszłam. Nie chcąc być bezczynną w pośród ogólnej pracy, wmięszałam się w grono Falansteryanek. Wrodzone upodobanie zaprowadziło mnie do kuchni. Dobra pani A. wiodła rej przy ognisku. Co do mnie, nasmażyłam wielką ilość naleśników z gryczanej

mąki, na sposób szwedzki; wszyscy uznali, że były wyśmienite.

Deszcz ustał, promień słońca przebił gęste chmury; wyszłam trochę aby poznać okolicę, towarzyszyła mi pani A... żona prezydenta. Miała na sobie krótką bluzę, i majtki. W takim przystroju, mogła śmiało chodzić po wilgotnych łąkach i lesie. Poszłyśmy naprzód do młynów. Dwie młode panienki w bluzach, skórzanych pasach i czapeczkach na głowie, biegły w pląsach przed nami, lekkie i swobodne jak ptaszki. Szły także do młyna, chcąc pomódz młynarzom w robocie. Poszłyśmy potem na pole obsadzone kartoflami; prezydent sam, otoczony członkami rady, zawinąwszy rękawy, dobywał je z ziemi motyką. Byli to wszystko ludzie krzepkiej siły i dobrej postawy, wielu z nich odznaczało się wyższem wykształceniem. Dowiedziałam się od moich towarzyszek wielu ciekawych szczegółów, względem ustaw Falansteru. Każdy z członków może wnieść ile zechce do wspólnego kapitału resztę zaś majątku może zachować u siebie. Każdy pobiera procent od wniesionych pieniędzy. Obowiązkiem jest wszystkich pracować po dziesięć godzin dziennie; kto pracuje dłużej, odbiera osobną zapłatę. Kobiety używają tychże samych praw co i mężczyzni; mogą nawet głosować na obradach. „Ale, mówiła mi pani A. mamy tyle do czynienia w domu, że nie wiele dbamy o zewnętrzne sprawy. Zostawiłyśmy je wyłącznie mężczyznom.“

Kto chce przystąpić do stowarzyszenia, przyjętym bywa po rocznej próbie w Falansterze, jeżeli okazywał wytrwałą chęć do pracy i miłość braterską względem bliźnich. Nie wymagają tu żadnych rodowodów, ani nawet rękojmi co do przeszłego życia. Co zaś do wyznań religijnych zupełna panuje tolerancya.

Wieczorem gdy mnie zapytywano co myślę o stowarzyszeniu, wypowiedziałam otwarcie myśl moją, iż nie przewiduję przyszłości tam, gdzie nie widzę ścisłego religijnego węzła. Moralne zasady nie wystarczą, jeśli ich nie uświęci odwieczne prawo, okupione krwią Boga-człowieka. „Wąż, prędzej, czy później, rzekłam, wśliźnie się do waszego raju, a czemże go wygnacie?“ Powiedziałam także jaką z rana uczułam oschłość serca, nie widząc wspólnej modlitwy. Starzec jeden odrzekł na to ogólnikami które mnie wcale nie przekonały. Spodziewałam się że znany z wymowy Chaning stanie w mojéj obronie, alem się zawiodła. Milczał uporczywie, przysłuchując się z uwagą naszym słowom.

Zmęczyła mnie wyznam szczerze, rola obywatelki Falansteru i rada byłam serdecznie gdy wsiadłszy z przyjaciołmi na statek, płynęłam swobodnie do Nowego Jorku.

Odjechałam wcale nie nawrócona. I ja także czuję konieczność pracy, wiem że należę do wielkiego Falansteru ludzkości; ale wszelka współka w stosunkach zewnętrznego życia, przeciwną jest mojej naturze. Wolałabym żyć w ubogiej chacie na jałowej szwedzkiej górze, sama jedna z sobą, choćby o chlebie i wodzie, niżeli używać wszelkich wygód i korzyści przemysłu, w gronie obywateli i obywatelek Amerykańskich.

Dla wielu jednak ludzi, ten rodzaj spółki, prawdziwe przedstawia korzyści. Przytoczę naprzykład człowieka którego poznałam w Falansterze. Pełen jest najlepszych zalet, odebrał dobre wychowanie, ale dla słabego wzroku, nie był w stanie zarabiać sobie na życie. Ubogi i sierota, byłby zapewne pozostał na najniższym szczeblu społeczeństwa. Tu znalazł stosowne do słabego wzroku zajęcie, a w zamian za dziesięciogodzinną pracę, używa

wszelkich przyjemności towarzyskich i może zakosztować błogich owoców cywilizacyi.

Płynąc statkiem rozmawialiśmy o Falansterze. Wyraziłam myśl moją, że pod tym wielkim gmachem, nie widzę stałej podstawy, Channing spokojny jest o jego przyszłość. Myśl religijna, mówi on, musi wniknąć do Falansteru: wiara wyrobi się sama, pod wpływem życia czynnego. Duch ludzki rozwija się bez ustanku, bo w nim złożony jest powiew wiecznego żywota. „I czemuż, odparłam na to, czekać aż się myśl wyrobi sama z siebie? czemuż lepiej nie korzystać z pracy wieków? Pocóż ci ludzie mają po omacku dążyć ku poznaniu prawdy, kiedy prawda świeci tak jasno?

Jedyny to Falanster, który się utrzymał w Stanach Zjednoczonych, wiele innych upadło w zarodzie. Przyjaciele teoryi mniemają, że upadły dla tego, iż ludzie nie dorośli jeszcze do pojęcia całej przyjemności wspólnej pracy. Co do mie, pewna jestem, że brak religijnego zjednoczenia, spowodował ich upadek.

15 Listopada.

W niedzielę byłam na nauce Channinga, który ma sławę wielkiego improwizatora. Zgromadzenie składało się z pięciuset przeszło osób. Channing wszedł, odmówił modlitwę, począł mówić z oczyma wlepionemi w ziemię, głosem słabym i bez najmniejszego zapału.

— Takaż to pomyślałam wymowa amerykańska? Zatrzymał się kilkakrotnie, jakby szukając wątku myśli, nakoniec przerwał naukę i wyrzekł mocno zarumieniony: „Niech mi szanowne zgromadzenie przebaczy, że dziś wca-

le mówić nie mogę. Wszedłem na salę, nie przewidując, że mi braknie natchnienia.“

Szlachetna otwartość mówcy, podobała się wszystkim; przyjaciele otoczyli go w koło.

Byłam na obiedzie u pani Kirkland, autorki zajmującego dzieła p. t. Nowe Ognisko na zachodzie. Jest to dzielna niewiasta, w całem znaczeniu tego słowa. Dobra matka, dobra przyjaciółka i obywatelka, wiele ma powagi w układzie i serce prawdziwie macierzyńskie. Zawiozła mnie do akademii kobiet zwanej Instytutem Rutgera. Widziałam tam czterysta pięćdziesiąt zgromadzonych panien. Czytały mi swoje utwory tak prozą jak wierszem. Wiele w nich życia, myśli zdrowe, język wyborny, jednak nie dostrzegłam w niczem połysków jeniuszu. Rozgłos jaki tu mają instytucye tego rodzaju, niekorzystnie może wypłynąć na przyszłość młodych kobiet. Może rozbudzić pychę i nazbyt wielką nadać wagę czynności literackiej, słowem, może obałamucić wiele miernych umysłów, nim jedną prawdziwą wydobędzie zdolność.

Te dziewczęta za mało jeszcze żyły, za mało czuły, za mało zastanawiały się nad życiem, aby mogły wyjawiać na piśmie przekonania swoje. Dobrze jest zapewne uczyć się zawczasu porządnie i jasno wyrażać myśli. Kto chce pisać musi do tego z niemałą przygotowywać się pracą. Ale czyż pożytecznie nadawać temu taki rozgłos? To publiczne współubieganie się o nagrody, o wieńce, nie przystoi kobiecie, i więcej zapewne popsuje niż naprawi! Prawdziwa zdolność sama przez się utoruje sobie drogę, i prędzej czy później zaszczytne zdobędzie wawrzyny.

Opuściłam wreszcie Rose-Cottage, pożegnałam przyjaciół, i przeniosłam się do domu panny Lynch, młodej muzy amerykańskiej. Wieczorem zebrało się liczne grono,

panna Lynch chciała zrobić wystawę z mej osoby. Musiałam więc odgrywać rolę papugi w obec niezliczonego tłumu. Te wystawy są dla mnie prawdziwie uciążliwe. Nieznośna rzecz słyszeć wiecznie jedne pytania: A czyś pani szczęśliwie odbyła żeglugę? Czy długo zabawisz w Nowym Jorku? Jak ci się podoba Ameryka? i t. d. Pod wpływem tak rozrzuconego życia, duch ubożeje dziwnie, ciało i umysł zarówno utrudzone.

Dziś rano odwiedziła mnie panna Hund kobieta *doktór*; mieszka w Bostonie, zapraszała mnie usilnie do swego domu. Musiałam przyrzec iż zamieszkam u niej, podczas pobytu mego w tem mieście. Panna Hund, wesoła, szczera, ożywiona, pobudzała wszystkich do śmiechu. Była z nią milcząca i poważna towarzyska, *kobieta, professor frenologii*. Dzięki Bogu że dała pokój mojej głowie, już i tak dość skołatanej tym odmętem światowego życia.

18 Listopada.

Onegdaj, pani Laurence, zabrała mnie z panną Lynch do swojej willi nad Hudsonem. Po drodze odwiedziłyśmy ośmdziesięcio-cztero-letnią kwakierkę, najładniejszą starowinę, jaką w mojem życiu widziałam. Ubrana czysto, w białym welonie na głowie, wydała mi się być uosobioną niedzielą. Wyrysowałam ją w moim podróżnym albumie. Potem odwiedziłyśmy dom obłąkanych w Bluningdale. Z radością patrzałam, jak tkliwem staraniem otaczają tu owe nieszczęśliwe istoty. Obchodzą się z niemi jak z rodzonemi dziećmi. Słychać było muzykę w kilku salach; obłąkani bowiem nadzwyczaj w niej smakują. Za domem chodują oni kwiaty i rośliny; kobiety

robią sztuczne kwiaty. Jest tu także gabinet kruszczów, muszli, wypchanych ptaków i zwierząt, biblioteka, słowem wszystko co rozbudzić może myśl i zająć uwagę tych nieszczęśliwych istot. W około domu rozciąga się wielki ogród, po którym obłąkani przechadzają się wspólnie. Metoda łagodna przyjęta w Stanach Zjednoczonych względem chorych umysłowo, szczęśliwe wydaje owoce.

Zabawiwszy parę dni w willi pani Laurence, gdzie poznałam mnóstwo nowych osób, z radością powróciłam do Nowego Jorku. W drodze miłego prawdziwie doznałam wrażenia. Noc była piękna, widnokrąg, to prawdziwe miasto Boże, z tysiącem gwiaździstych pałaców i jasną mleczną drogą, roztaczał się nad głowy naszemi. Podczas tej pięknej nocy, panna Lynch otworzyła mi do głębi swoje serce. Dostrzegłam w niem gruntowną zasadę, wyższe prawdziwie połyski, których bym nie była odgadła, w istocie tak młodej i na pozór ulotnej. Oceniłam ją prawdziwie, dowiedziawszy się, że bez żadnego będąc majątku, jedynie tylko pracą swoją i talentem, stworzyła sobie byt niezależny, utrzymuje starą matkę, z którą mieszka, i dom swój uczyniła zebraniem najpierwszego literackiego towarzystwa w Nowym Jorku. Co tydzień otwiera salon dla wszystkich. Podobała mi mi się od pierwszego poznania, teraz kocham ją serdecznie. Jest to jeden z tych ptaków rajskich, które krążą uroczo po nad ziemią, nie dotykając jej skrzydłami. Panna Lynch należy w moich oczach, do najwydatniejszych postaci Nowego Świata.

Zebrania tutejsze inną mają zupełnie postać niż w Szwecyi. Kobiety ładne, ubrane z gustem, ale za nadto jednostajnie, mężczyźni jednostajniej jeszcze, bo wszyscy czarno, nie dojrzeć tu munduru. Nie źle to może, ale nie malowniczo. Sala Opery nadzwyczaj wielka i świetna,

stroje w lożach wspaniałe. Orkiestra, śpiewacy, wystawa, wszystko nie złe. Nic mnie jednak prawdziwie nie zachwyciło.

W zeszłą niedzielę, słyszałam naukę Henryka James; mówił o socyalizmie chrześcijańskim. Doktryna jego nie oparta ani na religijnej zasadzie, ani nawet na stałych prawach obowiązków, całą jej podstawą artystyczne uwielbienie pięknej strony życia. Gdy skończył, Channing obecny tej mowie powstał i rzekł: że przedmiot tak ważny wymaga gruntownego zgłębienia, a ponieważ mniema że mówca jest w błędzie, pragnie w następną niedzielę podjąć ten przedmiot, i w innem wykazać go świetle. Cieszę się więc szczerze, iż przed wyjazdem z Nowego Jorku, usłyszę naukę Channinga.

Następny list mój otrzymasz z Nowej Anglii. Jadę tam w poniedziałek z Markusem i Rebeką na doroczną uroczystość *Dziękczynienia*. Potem odpocznę w domu poety Lowella, który wraz z żoną wezwał mnie listownie w domowe swoje progi, następnie znów rozpocznę dalszą wędrówkę od komina do komina. Zajmująca to rzecz, ale niekiedy i znuży. Trudno mieć w każdej chwili na zawołanie, wesoły umysł, dobry humor i dowcip, nie raz milej by było posiedzieć spokojnie w kąciku. Cóż czynić! podziękujmy Bogu za wszystko dobre co nam zsyła, z przedwiecznej swojej łaski.

List VI.

Westborough, 2 Grudnia.

Piszę do ciebie z małego miasteczka pod Bostonem, gdzie wraz z towarzyszami podróży oczekuję na pociąg. Powiem ci naprzód o niedzielnej improwizacyi Channinga. Tym razem nie zawiódł sam siebie. Słowa jego płynęły jak przezroczysty potok, słuchałam go z zachwyceniem. Mówił o Bogu, o nieśmiertelności, o religii jako jedynej podwalinie społecznego bytu, wiążącej niebo z ziemią i prowadzącéj ludzkość ku najwyższemu, ku jedynemu celowi. Channing mówił pod wpływem natchnienia, nie powtórzył się ani razu, wymowa jego spokojna, wolna od wszelkiej przesady, wielkie na obecnych sprawiła wrażenie. Gdy skończył, znajomi otoczyli go w koło i winszowali mu z całego serca. Henryk James, mówca zeszłej niedzieli, przystąpił, dodał mu rękę, i rzekł: „Niesłusznieś mnie pan osądził, źle wytłómaczyłeś sobie myśl moją.“ Blady był i pomieszany, ale najlepszą miał wolą.

Channing odprowadził mnie do domu, „Jakże pan musisz być szczęśliwy,“ rzekłam w drodze. „O tak! odpowiedział, boli mie tylko żem zranił Jamesa.“ Pożegnałam go serdecznie, bo nie prędko zapewne go zobaczę.

Wyjechaliśmy w peniedziałek rano, w stronę Konnektikut. Opuściłam Nowy Jork wcale z siebie niezadowolona, zostawiłam bowiem wiele listów bez odpisu, nie stawiłam się na wiele zaprosin, nie zdążyłam zwiedzić mnóstwa miejsc i zakładów. Nowy Jork nudnie z pozoru wygląda. Są tam piękne ulice, piękne domy, ale życia

w nich mało. W drugiej części miasta zwanej Brodwaj, zupełnie znów przeciwnie, ruch i wrzawa nieustanna. Każdy się spieszy, jeden drugiego potrąca, nieznośne przytem wyziewy zapowietrzają miasto. Jest to prawdziwe zbiegowisko dwóch światów. Nie mieszkałabym tu za żadne skarby.

A teraz poprowadzę cię na dolinę Konnektikut, ku ogniskom Nowej Anglii, ojczyzny pierwszych pielgrzymów. Po południu przybyliśmy do Hartford gdzie nas zatrzymała na wieczór pani Sigurnej aktorka dzieła n. p. „*Miłe wspomnienia miłych krajów.*“ Poznałam u niej całe prawie miasto, zacząwszy od biskupa poważnego starca, aż do szkolnych dziewczątek. Pani Sigurnej, kobieta przyjacielska, trochę uczuciowa ale miła, zatrzymała mnie na noc. Słońce pogodnie oświeca jej progi, jakieś ciepłe tchnienie powiewa z jej ogniska: lubię takie domy i gościłabym w nich jak najdłużej. Pani Sigurnej dorowała mi swoje poetyczne dzieła, czytałam w nich poemat „*Mój Kraj.*“ Pocałowałam rękę czcigodnej niewiasty, bo ileż tam uczucia, jaka prawda, jaki duch podniosły, jak macierzyńskie wezwanie do ziemi Nowego Świata!

„Bądź matką wszystkich nieszczęśliwych, daj nowe ognisko, nowe nadzieje wszystkim synom i córom ziemi, które garną się na twe łono; daj im udział w twém bogactwie, w twem szczęściu, w błogosławieństwie jakie spłynęło na twą głowę.“

Zwiedziłam miasto Hartford z miłą moją poetką, piękne, dobrze zabudowane i położone wesoło. W południe pożegnałam nowych przyjaciół i udałam się w dalszą drogę.

Księżyc powtarzał się w głębi rzeki Konektikut, nad którą idzie kolej. Przybyliśmy późno do Worcester, gdzie

zaproszeni byliśmy na wieczorne zebranie do Mera. Mnóstwo poznałam tam osób. Pomiędzy zaproszonymi był także sławny kowal filolog Ellihu Burrit. Postać ma znaczącą, wzrost nadzwyczaj wysoki, czoło szlachetne, rysy wyraziste, słodycz i dobroć w spojrzeniu, Przybył właśnie z kongresu pokoju, tylko co odbytego w Paryżu. Wiele mówił za zasadą pokoju, której sprzyjają wszyscy, w tej ojczyźnie starych pielgrzymów. Co do mnie wyznałam szczerze, iż wolę wojnę, dobrą i uczciwą wojnę, którąby stały pokój sprowadziła wreszcie na ziemię. Trzeba aby ludzie wzrośli potężnie sercem i umysłem, aby społeczeństwo rozwinęło się wewnętrzną pracą ducha a wtedy dopiero pokój stały zapanować może nad światem!

Następny poranek zszedł nam na odwiedzeniu kilku kwakierskich rodzin. Nadzwyczajny ład i czystość panuje w ich domach, ale przy tém jest coś sztywnego i wymuszonego, czczość mimowoli ogarnia umysł. Udaliśmy się potem w dalszą podróż ku Oxbridge, gdzie mieliśmy być obecni, uroczystości dziękczynienia. Zamieszkaliśmy w domu nowożeńców, bliskich krewnych Markusa. Zbudowali sobie dom według rysunku Downinga i założyli ogród, według jego planu. Mieszkają zupełnie sami, bez sługi, młoda kobieta wszystkiem zajmuje się w domu, on zaś jest doktorem. Nocowałam w zimnym pokoiku bez pieca, stosownie do tutejszego zwyczaju. Smutne myśli dręczyły mnie w ciągu bezsennej nocy. Ale gdy porankiem słońce odbiło się o wieżę białego kościołka, który spostrzegłam przez okno wychylony z po za cienistej jedliny gdy okolica świeżym blaskiem zajaśniała przed memi oczyma, wspomniałam miłą Szwecyą, uczułam żywotne

ciepło w sercu, i powitałam z radością ów dzień uroczysty.

Tak mi ręce pokostniały od zimna, żem się zaledwie mogła ubrać; dokazałam nakoniec swego, i szczękając zębami zeszłam na dół do ciepłego pokoju, gdzie czekało już zastawione śniadanie.

Poszliśmy potem do kościoła; dzień ten cała okolica święci uroczyście. Predykant wyliczył wszystkie powody, za które zgromadzeni wierni mają dziękować Bogu. Wyszczególnił mnogie dobrodziejstwa, jakie przyniósł rok upłyniony. Jakkolwiek mówca nie był wcale biegły w swojej sztuce, obrzęd jednak pochwycił mnie za serce. I czemuż wszystkie ludy nie święcą dorocznych dni dziękczynienia? Tyle mamy dni poświęconych błagalnym prośbom, czyżby nie należało choć jednego w końcu roku poświęcić wyłącznie wdzięczności?

Badałam wiele osób o pierwotne źródło tej uroczystości w Ameryce; zdziwiłam się jednak że mnie w tym względzie nie umiano objaśnić. Jest powszechne mniemanie, iż zaprowadzono to święto wkrótce po przybyciu pierwszych osadników, przetrwało więc, jako wyraz uczucia całego ludu. Mówiono mi także, iż uroczystość powstała wktótce po osiedleniu się kolonii, gdy po długich trudach, w obec grożącego głodu, pięć okrętów naładowanych zbożem, przypłynęło wreszcie z Anglii. Ztąd przez długie czasy był zwyczaj w Massachusecie, że w dniu tym uroczystym, na każdym talerzu przy obiedzie, kładziono pięć ziarn zboża. Zwyczaj ten miejscami utrzymuje się dotąd. Czas był zimny ale piękny. Po nabożeństwie, obeszliśmy miasteczko, zaglądając do dworków i ogródków. Dobry byt panuje wszędzie, bez próżności i nie potrzebnych zbytków.

Wieczorem byliśmy na wsi, u rodziców naszej młodej gospodyni. Podobała mi się bardzo ich prostota i serdeczność. Nie zasypywano mnie tu próżnemi pytaniami, które tak mnie znudziły w wielkim świecie. Dano nam na wieczerzę dwa półmiski niezbędne w tym dniu uroczystym: indyka i plumpudyng. Powiadają, że w Stanach Nowej Anglii przed owym dniem świątecznym, indyki melancholiczną przybierają postać, przewidując rzeź niechybną. Pastor, ten sam, który kazał w kościele, pobłogosławił stół i przemówił stosownie do okoliczności. Po wieczerzy młodzież tańczyła, a ja przygrywałam jej na fortepianie.

O północy wróciliśmy do domu, umieszczono mnie na noc w salonie przy płonącym na kominku ogniu. Nazajutrz pojechaliśmy do *gminy Hopedale*, małego stowarzyszenia, w bliskości Oxbridge, gdzie rodzina Spring ma także przyjaciół i krewnych. *Gmina Hopedale* założoną jest w duchu chrześcijańskim, ustawy jej zupełnie patryarchalne. Patryarcha i administrator Adin Balou, człowiek poważny, przyjął nas otoczony liczną rodziną. Każda rodzina, ma oddzielny dom z ogrodem, wszyscy członkowie gminy trudnią się rzemiosłami i rolą. Jest kościół i szkoła przy kościele. Więcej tu nierównie żywiołu poetycznego niż w wielkim Falansterze w Jersej. Przy nas przybył tu murzyn z żoną, z życzeniem aby ich przyjęto do zgromadzenia. Lepiej mi było w Hopedale, niż w Falansterze północnej Ameryki, każdy bowiem mieszka tu i żyje osobno, a zgromadzenie nosi na sobie cechę chrześcijańską. Gmina ta istnieje już od lat siedmiu, składa się z trzydziestu i kilku rodzin, to jest stu siedmdziesięciu osób w ogólności. Adin Balou, ogłosił kilka dzieł, które darował mi w upominku.

Boston. Massachuset, 2 Grudnia.

Mróz mamy wielki, ale ja go nie czuję, siedzę bowiem w ładnym pokoiku, w hotelu kędy mnie umieścił dobry Markus. Poszłam rano do kościoła gdzie słyszałam kazanie znakomitego mówcy Parkera. Mówił zdrowo i dzielnie. Uważałam iż głowę ma podobną do popiersiów Sokratesa, cała postać odznacza się samodzielnością i siłą. Jutro wybieram się z przyjaciołmi, do sławnego Emersona; mieszka w małem miasteczku zwanem Konkord, o milę od Bostonu. Pojutrze będziemy u poety Lowella: Ten mieszka w uniwersyteckiem mieście Kambrigde, także ztąd nie daleko. Niewiem jeszcze sama jak długo zabawię w Bostonie. Przykro mi będzie bardzo rozłączyć się z zacną rodziną Spring, najlepsze to w świecie istoty, miło prawdziwie żyć z niemi.

4 Grudnia.

Przybywam w tej chwili z Konkord, najdawniejszego miasteczka w tej okolicy; byłam u Emersona. Czas mroźny i śnieżny, ale wagony dobrze ogrzane, podróż więc nie przykrzyła się wcale. Emerson oczekiwał nas w sosnowej alei, wiodącej do dworu, odkrył głowę, mimo śniegu i zamieci; postać jego szlachetna, poważna, spokojna, cera blada, rysy wydatne, włosy ciemne. Zajął się nami gościnnie i uprzejmie, mnie okazywał nadzwyczaj wiele względności, jako cudzoziemce i kobiecie.

Emerson oddzielną ma od wszystkich postawę: za wiele w nim chłodu i pychy, aby pociągał ku sobie. Orle

jego oko, zawsze krąży w przestrzeni, jakby w obłokach szukał ideału, którego spotkać nie może na ziemi, upatrując we wszystkiem brak, niedokładność, skażenie. Sam pełen siły, nie umie pojąć słabości i cierpienia drugich; gardzi bowiem cierpieniem, widząc w niem słabość nie godną prawdziwie wzniosłej duszy. Emerson przebył ciężkie zgryzoty, i czuł je jak mówią głęboko (niektóre z najpiękniejszych jego poematów, świadczą o tem wymownie); ale jeśli ugiął barki pod krzyżem, to na krótką chwilę. Stracił dwóch braci serdecznie ukochanych, i najstarszego syna, prześlicznego chłopczynę. Umarła mu także pierwsza żona w rok zaledwie po ślubie. Ma obecnie troje drobnych dzieci, z powtórnego małżeństwa. Pani Emerson, kobieta miła ale słabowita i wątła, całkiem nie podobna do męża. On wprawdzie zajął mnie, ale nie pochwycił za serce; umysł to dzielny, czysty jak kryształ, ale chłodny, wyrozumowany, krytyczny.

Powrócę jeszcze do tego domu, tak Emerson jak i jego żona, zapraszają mnie uprzejmie; może później zrozumiem lepiej tę zagadkową postać, podobną do starożytnego Sfinksa.

Od Emersona pojechaliśmy na noc do domu starego i surowego purytanina, gdzie wieczorem długie a wspólne odmawialiśmy modlitwy. Jedyna córka jego Elżbieta H... piękna miła i szlachetnej postaci, zajęła mnie bardzo. Zaręczona niegdyś ze starszym bratem Emersona, po jego śmierci postanowiła nie zawierać innych związków i dochować wiary zmarłemu. Wyższa to istota; przyjaźń ścisła łączy ją z Emersonem. Pragnę także widzieć ją jeszcze w ciągu zimy.

Wszystko w poetycznem miasteczku Konkord, przypominało mi Szwedzką zimę. Panna H., wyszła zemną

zwiedziłyśmy pomnik wzniesiony na cześć pierwszych ofiar wojny o niepodległość, które padły tu w pierwszej walce. Śnieg zasypał całe mauzoleum, pokrył także małą rzeczkę, która przecina miasto. Indjanie nazwali ją *Musketaquid*, czyli trawiasta rzeczka. Emerson dał ten tytuł jednemu z najpiękniejszych poematów swoich. Ta przechadzka w dzień jasny, pod drzewami okrytemi połyskującym szronem, obok miłej Elżbiety, orzeźwiła mój umysł i serce. Odwiedziłyśmy potem kilka domowych ognisk, wielki wszędzie panuje porządek, chociaż nigdzie prawie nie trzymają służących i posługują sami sobie. Nazajutrz rano odjechaliśmy do Bostonu.

Pan Benson, Konsul Szwedzki w tutejszym mieście, prosił mnie abym w domu jego zamieszkała przez całą zimę; jeszcze nie wiem co zrobię. Jutro jadę do Kambridge; wielki popłoch panuje w uniwersytecie, okropne popełniono zabójstwo, jeden professor zamordował drugiego. Obwiniony ma wielu znajomych i przyjaciół, uchodził dotąd powszechnie za dobrego męża i ojca. Niektórzy zaręczają że niewinien, uwięziono go jednak. W tej chwili o tem tylko mówią w Bostonie. Ciekawa jestem powtórnego spotkania z Emersonem, wyznaję żem go dotąd nie poznała. Dotknął mnie boleśnie, mówiąc z lekceważeniem o osobach które szanuję i kocham. W każdym razie duch to nie pospolity. Może być niesprawiedliwy w sądach, nie wyrozumiały, ale przynajmniej nie grzeszy samolubstwem.

Obojętnie mi z resztą, czy się sobie nawzajem podobamy. Minęły czasy gdym się ubiegła o poklaski. Długo błądziłam po pustyni żywota, z trudem i mozołem wdarłam się wreszcie na szczyt Horebu, zkąd ujrzałam Ziemię Obiecaną. Ta długa boleść, ta radość niewysło-

wiona, przyćmiły na zawsze przed oczyma memi, olbrzymie postacie, wieńce, bluszcze i róże ziemskie. Mogą mi one błysnąć jeszcze na chwilę, ale urok niebawem mija. To co dają, nie wzbogaci mnie wcale, co odbiorą, nie zuboży bynajmniej. Mogłabym w pewnych chwilach powiedzieć jak Dyogenes do Aleksandra: „Nie zasłaniaj mi mego słońca.“ Nie chciałabym nawet widzieć na oczy Emersona, tego pysznego astrologa, gdybym nie posiadała w duszy własnego nieba mego, z gwiazdami i słońcem których blasku on się może i nie domyśla.

VII.

Kambridge 15 Grudnia.

Ostatni list pisałam do ciebie z Bostonu, gdzie bawiłam czas jakiś z Markusem i Rebeką, raz upadając pod brzemieniem towarzyskich obowiązków, to znów pokrzepiona ogólnem a tak ujmującem współczuciem. Pozostał mi w pamięci jeden zwłaszcza poranek, w którym otoczoną byłam najsłynniejszemi ludźmi z całego Massachusetu: między innymi byli u mnie sławny idealista Alkott, bracia Klarke, filantrop Bernard, poeta Longfellow, młody i prawdziwy wieszcz Amerykański Lowell, (uosobiony Apollo), i wielu innych jeszcze. Waldo Emerson przybył także z jasnym promieniem na wyrazistem obliczu. Innego poranku widziałam znowu kilku słynnych prawników i Garrissona, słynnego zapaśnika w szeregach abolicyonistów. Podczas jednej ulicznej zamieszki w Bostonie,

włóczono go z powrozem na szyi, jak złoczyńcę. Na pięknej jego twarzy i w orlem spojrzeniu, przebija prawdziwie bohaterska odwaga. Mówiąc z nim, wyznałam otwarcie, że zbytnia zagorzałość abolicyonistów szkodzi własnej ich sprawie. Odpowiedział mi dobrodusznie: „Kto chce dostać pół bułki, niech się całej domaga“. Garrisson mówi umiarkowanie o właścicielach murzynów w Południowych Stanach, wielu z nich osobiście poważa, walczy jednak przeciw zasadzie, w której widzi główną plagę Ameryki. Człowiek tak niezłomnego przekonania, zaprawdę godzien szacunku.

Przyprowadził nam dwoje zbiegłych murzynów, Wiliama i Ellenę Kraft. Kobieta była prawie biała, cerę miała żółto-bladą, rysy zbliżone do naszych; lubo nie ładna wiele wyrazu miała w twarzy. Wiliam czarny zupełnie, bardzo był przystojny. Uciekli oboje, ona przebrana za mężczyznę, on odgrywał rolę służącego. Nie umieli wcale pisać; aby więc uniknąć zwykłych formalności, Ellena obwiązała sobie rękę, udając skaleczoną. Przybyli szczęśliwie koleją żelazną z południa na północ, a stanąwszy na wolnej ziemi czuli się prawdziwie szczęśliwi. Pytałam kobiety czemu uciekła od swych panów, czy ją uciemiężali? „Nie, bynajmniej, odrzekła, byli dla mnie dobrzy, ale uciekłam, bo mi nie chcieli przyznać praw człowieka. Nie uczyli mnie ani czytać ani pisać“, widać było w tej kobiecie chęć nauki, właściwą białym plemionom.

Byłam w teatrze, widziałam pannę Kushman, najsłynniejszą artystkę dramatyczną Stanów Zjednoczonych, w roli Lady Makbeth. Jeszcze w Nowym Jorku, odebrałam list od niej, z prośbą abym przyjęła jej przyjacielskie

usługi. Przed parą dniami, przysłała mi bilety do loży. Jest to artystka pełna siły, brak jej tylko trochę kobiecego wdzięku. Zachwyciła mnie jednak w scenie nocnej, gdy daremnie po spełnionym morderstwie chce obmyć ręce krwią zbroczone. Jęk jej przeniknął mnie na wskroś, dotąd słyszę go jeszcze. Panna Kushman bardzo mi się podoba osobiście. Duszę ma wzniosłą, silną, pełną zapału i rzeczywistego natchnienia. Walcząc długo i uporczywie, wyrobiła sobie wreszcie obecne stanowisko i zjednała powszechny szacunek. Należy do zacnej rodziny purytanów, gdy ojciec znaczny stracił majątek, własną pracą utrzymuje matkę, braci i młodszą siostrę. Wolę ją jeszcze w domu niż na scenie; oczy ma piękne, czoło spokojne, wyraz twarzy szczery i otwarty; prawdziwie miło być z nią razem.

Gdym się w najlepsze zabawiała z przyjaciołmi w Bostonie, Markus i Rebeka odebrali telegraficzną wiadomość, że ich najmłodszy synek niebezpiecznie chory. Biedna Rebeka zalana łzami wsiadła z mężem do wagonu. pewna że już nie zastanie dziecięcia. Ledwie że odjechała, Benson zabrał mnie natychmiast do siebie. Płakaliśmy wszyscy przy pożegnaniu, tak nam było dobrze razem, prawdziwie nieocenieni to ludzie. Bez mojej wiedzy, zapłacili wszystkie koszta, za czas mego pobytu w hotelu. Tak się z tem pospieszyli, że niepodobna im było przeszkodzić.

Pewna byłam, że chłopczyna umrze, z wielką radością odebrałam nazajutrz wiadomość telegraficzną z temi słowy: Drodzy przyjaciele weselcie się razem z nami, dziecię lepiej, niebezpieczeństwo przeszło! Jakże szczerze dziękowałam za nich Bogu!

W parę dni potem Benson zawiózł mnie do Kam-

bridge. Lowell i żona jego przyjęli mnie serdecznie. List zacnego Downinga, otworzył mi gościnne ich progi. Napisał bowiem do Lowella, jakim zapałem przejmowały mnie jego dzieła. Jestem tu już cały tydzień, zabawię zapewne i drugi, bo mi dobrze przy ich domowem ognisku.

Dom i otaczające go pola, należą do ojca poety, doktora Lowella, pięknego starca. powszechnie kochanego Massachusetu. Sam własną ręką sadził te drzewa, pod których cieniem dziś wypoczywa. Wiele między niemi wschodnich świerków. Rodzina zbiera się codziennie w koło sędziwego starca, na poranną i wieczorną modlitwę, on sam odmiawia błogosławieństwo przy obiedzie. Modlitwy jego zawsze improwizowane, pełne życia i prawdy, spływają na moje serce jak majowa rosa, rzadko kiedy odmawiam je z suchem okiem. Przy ojcu mieszka najmłodszy z synów, poeta, z młodą żoną; najpiękniejsza to para, jaką kiedykolwiek widziałam, mąż pełen życia i ognia młodzieńczego, żona słodka, wątła, biała jak lilja, najmilsza z kobiet, każde jej ruszenie, każde słowo nacechowane wdziękiem. To małżeństwo należy do liczby tych, co to jednej chwili nie mogą przeżyć bez siebie. Pani Lowell, równie jak jej mąż obdarzona duchem poetycznym, napisała bezimiennie kilka poematów, pełnych uczucia zwłaszcza macierzyńskiego. Rzecz jednak szczególna. że w Lowellu nie dostrzegłam tego głębokiego i ważnego sądu, co tak mnie zachwycił w jego niektórych poezyach. Wesoły za to, dowcipny, ożywiony, szczególniej wieczorem, pod wpływem gorączkowego podniecenia, rzuca słowa jak płonące rakiety. Wielu ma przyjaciół i wielbicieli. Popularniejszemi się stały jego satyryczne poezye jak naprzykład *bajka dla krytyków*. Żartuje sobie dowcipnie

z pisarzy i autorek Nowej Anglii. Broszury jego satyryczne, wielkie znalazły powodzenie.

Między zasługami Lowella kładę i tę, że jest zachwycony szczerze swoją żoną, bo też to prawdziwie urocza istota, upięknia jakoś i rozjaśnia życie. Nieszczęściem że biedna słabe ma piersi, głos cichy i tłumiony. Dwie śliczne dziewczynki, Mabel i Rosa (ostatnia jeszcze przy piersi), starsza siostra poety, wyborna kobieta, dopełniają całej rodziny. Smutny cień na to domowe ognisko rzuca tylko matka poety, cierpiąca pomieszanie zmysłów. Żyje zamknięta w swoim pokoju, nie pokazując się nikomu.

Poznałam kilku członków uniwersytetu, a między innymi pana Evenett, człowieka pełnego nauki i znajomości świata, który niegdyś przebywał w Anglii w dyplomatycznym zawodzie. Poznałam także pana Agasiz szwajcara, professora zoologii, i młodą jego narzeczoną Amerykankę; nakoniec pana Holmes, sławnego tutejszego Astronoma.

Morderstwo professora Parkman, przypisywane professorowi Webster, zajmuje tu wszystkich. Przyjaciele obwinionego, gorliwie stawają w jego obronie. Lowell, zdaje się że wierzy w zbrodnię Webstera, ma do tego powody. Zapominają, że długi czas żył nad skalę; powodem zabójstwa ma być sumka dwóstu dollarów, którą pożyczył od Parkmana, a której tamten domagał się natarczywie. Parkman człowiek jak mówią szczególny, choć bogaty, miał zwyczaj naciskać dłużników dopóki nie odebrał od nich procentu lub summy należących mu z prawa. Mimo to nie dbał o pieniądze, i gotów był nazajutrz posłać je w upominku tymże samym, od których je wydobył, byleby nikt o tem nię wiedział. W oczach świata chciał uchodzić za uosobioną sprawiedliwość; przypuszczają więc że naciskał Webstera, a ten pod pozorem zaspokojenia długu, zwabił go do laboratorium i pozbył go się niewiadomym dotąd sposobem. Odkryto tylko szczątki trupa, którego morderca chciał spalić albo ukryć. Webster zaprzecza zbrodni, ale już usiłował otruć się w więzieniu, co rzuciło niekorzystne światło na jego sprawę. W przyszłym tygodniu opuszczę Lowellów, i zabawię kilka dni u mojego *doktora kobiety*; nie daje mi bowiem spoczynku. Poczem zamieszkam w domu konsula Szwedzkiego. Ma on w styczniu odpłynąć do Europy, ale pozostanie tu pani King, żona jego wspólnika, u niej więc zamieszkam, ma się rozumieć za stosowną opłatą. Benson człowiek przyjemny i starannie wychowany; swobodnie mi będzie w jego domu.

18 Grudnia.

Zwiedzałam z Lowellem budynki i bibliotekę uniwersytetu. W tej ostatniej znalazłam piękne próbki Szwedkiej literatury. Zasługa w tem cała poety, professora Longfellowa, który odbywszy podróż do Szwecyi, sprowadził tu nasze najsławniejsze dzieła, pisał o naszym kraju, i przełożył kilku poematów Tegnera. Widziałam także wydanie Eddy-Skandynawskiej i kodex starożytnych Gotów.

Między innemi osobami odwiedziła mnie także pani Russel, z córką Idą, urodzoną w Szwecyi, gdzie jej ojciec był czas jakiś konsulem. Panienka miła i ładna, matka dobra nad wyraz. Zaprosiły mnie na święta Bożego Narodzenia, mieszkają na wsi o kilka mil od Bostonu. Przyrzekły obchodzić wigilią po Skandynawsku,

z zieloną choinką, świeczkami i upominkami. Przyrzekłam bytność moją, lubo coraz bardziej pragnę i potrzebuję spoczynku.

23 Grudnia.

Byłam w tym tygodniu na kilku obiadach, a między innemi i u professora Longfellowa i jego żony, w ślicznem ich mieszkaniu. Panna Kuhsman (słynna aktorka) była także, z przyjaciółką swoją młodą angielką, z którą zwykle odbywa przejażdżki po Stanach Zjednoczonych. Longfellow miłym jest nadzwyczaj gospodarzem, częstował nas winem amerykańskiem, xeresem i szampanem. To ostatnie fabrykują tu w kraju, ale jest wyborne i nieustępuje miejscowemu. Byłam także na obiedzie u innego professora, nazwiskiem Parseus, zaciętego zwolennika Swedenborga, który okazywał mi jako Szwedce bardzo wiele współczucia.

Jednego dnia byłam na *Pszczole*. Jeśli chcesz wiedzieć, jaki związek ma ten pracowity owad, z towarzyskiem życiem Bostonu, posłuchaj, opowiem ci w kilku słowach. Jeśli przypadkiem jaka rodzina popadnie w ubóstwo, skutkiem pożaru, czy choroby, jeśli dzieciom brak odzieży, lub co podobnego, wtedy kobiety zamożniejsze robią składkę, zakupują potrzebne przedmioty, i zbierają się na wspólną robotę. Takie zebranie nazywa się *Pszczołą*. Pani Spark żona prezydenta w Kambridge, zaprosiła liczne grono tego rodzaju szwaczek, aby przez wieczór, popracowały dla biednej rodziny, która postradała całe mienie przez pożar, i mnie także wezwano z innemi. Rój pszczółek bardzo był ożywiony, czynny, pracowity, wesoły, a choć brakło miodu, było za to wyborne mleko i ciastka.

Professor K. duńczyk z rodu, i właśnie też gadatliwy i wesoły jak Duńczyk, odwiedził nas kilkakrotnie, i prawdziwie zabawił. Był z nim professor Polak, wysoki i poważny, co dziwną sprzeczność tworzyło przy małym i ruchliwym Duńczyku. Kochają się bardzo i nie rozłączają nigdy, toczą rozprawy i śpiewają razem każdy swoją piosneczkę, co prawdziwie pocieszną tworzy harmonią.

Wieczorem kiedy jesteśmy sami, czytujemy razem nowe dzieła. Pani Lowell, wybornie deklamuje poezye męża. Ja niekiedy opowiadam im Skandynawskie powieści o duchach, lub też proszę ich aby mnie obznajmiali z własnemi podaniami. Przy każdem domowem ognisku, domagam się tego usilnie. Lecz nowy świat za młody jeszcze, za mało ma starych domów, pył czasu nie dość przysłonił mury, duchy więc nie mają w nich upodobania. Każda jednak z rodzin u których bawiłam, dała mi w upominku, jakby kwiat najpiękniejszy, historyą swego serca. Tego rodzaju powieści nadzwyczaj mnie zajmują.

Zwiedzałam z przyjaciołmi, wielki cmentarz Bostonu zwany Mount-Auburn. Położony bardzo romantycznie, pełen dolin, pagórków i drzew olbrzymiej wielkości i kształtu. Nigdzie jeszcze nie widziałam takich wiązów, drzewo to znać ulubione w Massachusset. Wyrosłe jak palmy, pnie mają ogromne, koronę rozłożystą, a konary wdzięcznie spuszczone ku ziemi. Obecnie ogołocone są z liści, widzę tylko zawieszone na gałęziach, dziwnego kształtu gniazda, któremi wiatr kołysze. Ładny ptak zwany *Oriol*, urządza w ten sposób kolebki dla swych piskląt. Śpiewa jak mówią uroczo. Pobudował także gniazda, na

konarach olbrzymiego wiązu w Kambridge, który zwą tu powszechnie wiązem Wassyngtona.

Czas tu ciągle piękny, niebo jasne i przezroczyste, słońce stale przyświeca. Wychodzę często sama za miasto, ztąd odkrywam pyszny widok na okoliczne pola, zarosłe gdzieniegdzie drzewami. Zakończa widnokrąg, ciemny las jodłowy. Z po za drzew lasu tu i owdzie wychylają się białe dworki i kościoły. Trawa zwiędła i pożółkła w tej chwili, wiatr jednak kiedy powieje od wschodu, miłą woń przynosi mi do duszy. Wtedy drogie wspomnienia roją się w mem sercu, widzę ukochane twarze, słyszę znane głosy, tysiące wrażeń ściga mnie, pociesza i dręczy na przemiany, serce nie może pomieścić tylu uczuć łzy mimowoli płyną z oczu. Skądże mi taka słabość? czuję także często gorączkowe podniecenie. Potrzeba mi koniecznie spoczynku. Sama nie wiem czy będę w stanie jechać na święta do domu pani Russel.

25 Grudnia.

Otóż spełzła na niczem zamierzona przejażdżka. Już zaczęłam się pakować do drogi, ale nagle straciłam odwagę. Napisałam z przeproszeniem do gościnnej pani Russel i sama jedna z Maryą Lowell, spędziłam wigilią Bożego Narodzenia. Ja szyłam, ona mi czytało najnowszy poemat swego męża, który dopiero co wyszedł z druku Mówiłyśmy potem z otwartem sercem, jak rozmawiają zapewne aniołowie w niebie. Miły to był i spokojny wieczór. Reszta rodziny była w Bostonie, na uczcie u krewnych. W zeszłym roku spędziłam ten dzień w Danii, u dobrej królowej Karoliny Amelii, dwa lata temu byłam

z tobą, w naszej wiosce, dziś sama jedna z młodą i miłą kobietą na drugiej świata pół kuli. Mój Boże, jakież to zmienne życie, ileż to w niem przesuwa się coraz innych obrazów!

Jutro opuszczę Kambridge i rodzinę Lowell. Odwiedziłam kilka domów okolicy, wszystkie podobne do siebie ładem, porządkiem i *komfortem*; w jednych piękniej i zbytkowniej, w drugich ubożej nieco, otóż w tym cała różnica. Dom poety Longfellowa, najpiękniejszy jest, i najartystyczniej urządzony ze wszystkich jakie w tych stronach widziałem. W całej Nowej Anglii, zdobią mieszkania olbrzymiemi bukietami z ładnych trawiastych roślin, właściwych okolicy. Ustawiają także grupy wypchanych ptaków i mnóstwo najpiękniejszych muszli. Wszystko to razem nadaje charakter swojski tym salonom, co mi się wielce podoba. I my moglibyśmy czynić to samo w Szwecyi, gdybyśmy lepiej znali skarby, jakich nam Stwórca udzielić raczył.

Nie umiem ci powiedzieć, jak mnie zajęli Lowellowie; portrety ich zachowałam w albumie, a pamięć na zawsze pozostanie w mem sercu.

Zapomniałam ci jeszcze mówić o wizycie, którą mnie zaszczycił kwakier i poeta Whittiers. Jedna to z najpiękniejszych postaci Ameryki. Kocha gorąco sprawiedliwość i prawdę, i pieśnią walczy w ich obronie. Whittiers, prawdziwy purytanin, jednostronnie tylko widzi oblicze prawdy, i gotów za nią poddać głowę pod topór. Postać ma szlachetną; rysy znaczące, oczy pełne ognia, uśmiech łagodny. Duch jego wydziera się wyraźnie na zewnątrz, i podkopuje słabe siły ciała. Mieszka na wsi, z matką i siostrami, obiecałam być u nich.

Mówiłam także trochę o botanice, z sławnym tutejszym professorem Grayem. Dał mi wiele zasuszonych roślin ze swego zielnika, nie znanych zupełnie w naszym kraju.

Downing przysłał mi kosz prześlicznych jabłek, miałam przyjemność uczęstować niemi przyjaciół.

Kambridge, ładne jest miasteczko, składa się z białych domów, z czystemi podwórkami i ogródkami. Wszystko czyste, schludne, ale jednostajne. Pięciuset uczniów, słucha tu co rok wykładu nauk uniwersyteckich. Sekta Unitaryuszów, założyła ten uniwersytet. Poświęcają się tu zwłaszcza naukom przyrodzonym. Przykład professora Webster dowodzi, że te nauki same, bez współudziału wyższej myśli, nie dadzą zbawienia światu. Zabójstwo Parknera zajmuje tu jeszcze cały ogół; dowody zbierają się coraz oczywistsze przeciw zbrodni Webstera, ale on dotąd się nie przyznaje.

VIII.

Boston, 1 Stycznia 1850 r.

Życzę pomyślnego roku, wszystkim ukochanym moim. Piszę do ciebie moja Agato, z domu naszego konsula Bensona. Umieszczono mnie w ładnym saloniku, przybranym w zielone aksamitne meble, w piękne obrazy i ryciny. Pragnę koniecznie odetchnąć z jaki miesiąc. Dusza moja i ciało, potrzebują zarówno spoczynku. Od jakiegoś czasu bowiem straciłam sen i zdrowie. Siły jednak, dzięki Bogu, wracają olbrzymim krokiem dzięki recepcie, mojego doktora kobiety.

Panna Hunt, zabrała mnie gwałtem do siebie i dobrze mi było w jej domu. Ciekawa byłam poznać tę szczególnego rodzaju istotę. Możnaby mieć od niej lepsze ułożenie, więcej taktu, ale za to niepodobna mieć cieplejszego i bardziej wylanego dla ludzkości serca, ani więcej praktycznej umiejętności życia. Pochodzi ona z rodziny kwakrów; obdarzona niezłomną wolą, i wielką mocą duszy, dwoma głównemi cechami tej sekty, postanowiła tak dla siebie jak dla innych kobiet utorować drogę pożyteczną i zgodną z wewnętrznem jej upodobaniem. Panna Hunt brała razem z młodszą siostrą prywatne lekcye, od biegłego i zacnego lekarza. Siostra poszła za mąż, ona zaś od dwunastu lat praktykuje medycynę, jako wyłączny doktor kobiet i dzieci. Na tej drodze zjednała zaufanie i zrobiła majątek, kupiła dom w którym mieszka i jak mówią, wyleczyła mnóstwo chorych. Uczyniła zwłaszcza wiele dobrego, wykładając kobietom z ludu, cały kurs fizyologii. Panna Hunt czytała mi swoje lekcye, i od pierwszej, która służy za wstęp do dalszych, wysokie powzięłam mniemanie o moim doktorze, poznałam bowiem wysokie stanowisko z jakiego zapatruje się na naukę.

Zasada panny Hunt co do ciała ludzkiego i starań jakich wymaga, jest czysto religijna. Kiedy zaleca kobietom, aby uważały za konieczną powinność pielęgnować zdrowie własne i dzieci swoich, daje temu szlachetny powód, iż przeznaczenie ciała wielkiem jest, albowiem to świątynia w której przemieszkuje duch wiekuisty. W wykładzie jej panuje powaga, prostota, jasność, słowa jej pełne siły, muszą stanowczo działać na macierzyńskie serca. Kiedy pomyślimy jak ważnem jest dobrze zrozu-

zumiane pielęgnowanie kobiety i dziecięcia, dla szczęściaj przyszłych pokoleń, że te starania polegają na tysiącznych drobnych szczegółach, których oko mężczyzny nie dośledzi nawet, wtedy trudno nie przyznać, o ile pożyteczną być może rada kobiety, u której przenikliwość wrodzona tak wielką odgrywa rolę.

Doświadczenie wieków i ludów wskazuje mnogie przykłady skłonności kobiet do medycyny. Duch religijny właściwy niewieście, sprawia, że zapatruje się na życie z uświęcającego je stanowiska. Uczucie macierzyńskie jakie Bóg wlał w jej serce, nowem światłem napełnia je umysł.

W starożytności lekarze byli także kapłanami, przyszczonemi do świętych tajemnic. Następcy Eskulapa składali świętą rodzinę, do której należały również i kobiety. Hygia, córka Eskulapa, była boginią zdrowia. Z jej potomstwa narodził się słynny w starożytności Hipokrates. Świat powtarza dotąd imie Higii, a prawa społeczne tymczasem zagradzają kobietom ścieżki, po których stąpała starożytna kapłanka.

Ale wróćmy jeszcze do mego doktora kobiety, nie brak jej zaprawdę iskry Bożej. Czuć tę iskrę w jej spojrzeniu i słowach. Widziałam u niej kilka kobiet „emancypowanych," to jest które poświęcają się specyalnym naukom, i przemawiają publicznie na zgromadzeniach abolicionistów. Jedna z nich uderzyła mnie pięknością postawy, twarzą bladą i znaczącą, bujnym złotym włosem, a nadewszystko prawdziwie niewieścią słodyczą, obok męzkiej siły i pewności siebie. Była to pani Paulina Davis. Przez kilka lat z wielkiem powodzeniem wykładała fizyologią: robocze klasy wiele korzystały z jej wykładu. Ścisła przyjaźń łączy ją z panną Hunt. Widziałam jej męża; wielka widać zgoda

i jedność myśli panuje w tym stadle. Przyrzekłam odwiedzić ich w Prowidencyi; gdzie są zamieszkali. Opowiadano mi tu ciekawe rzeczy o sekcie kwakrów zwanej tramblerami i o ich stowarzyszeniu. Panna Hunt, która leczy kilka rodzin tej sekty, czytała mi listy starszych." Pełno w nich pobożnych i podniosłych myśli, ale wyobrażenia ich krążą w czarnem kole. Zapraszano mnie abym odwiedziła parafią tramblerów w Haward blisko Bostonu, gdzie są ogrody poświęcone uprawie roślin lekarskich. Muszę poznać bliżej tych osobliwych ludzi.

Co wieczór panna Hunt czyta mi na głos ustępy z Biblii, a potem odmawiamy wspólnie modlitwy, według starego obyczaju purytanów. Pobyt w jej domu i nowe wrażenia jakich doznałam, odświeżyły mi umysł, rada jestem jednak z obecnego wypoczynku w domu Bensona. Pani King grzeczna i uprzejma i trzech słów na dzień nie wyrzecze, służąca Niemka Krystyna, ma staranie o mnie i o całym domu, mogę więc używać w całem znaczeniu dawno upragnionej spokojności. Benson zajęty przez dzień w swoim biórze; wieczorem jednak zabawiamy się miłą pogawędką lub czytaniem. Przeznaczyłam poniedziałek na przyjmowanie odwiedzin, będę więc mogła pisać i czytać więcej niżeli dotąd. Dziś pojadę do Lowellów, zawiozę im drobne upominki, mam nadzieję że je przyjąć zechcą łaskawie. Tak się czuję ubogą, przyjmując tyle od drugich, a tak mało mogę dla nich uczynić.

8 Stycznia.

Byłam obecną na prelekcyi, czyli tak zwanych *konwersacyach* tutejszego filozofa Alkotta. Około pięćdziesiąt

osób siedziało na ławkach. Alkott zasiadł naprzeciwko słuchaczy przed pulpitem, i rozpoczął czytać na głos ustęp z pism Pitagoresa. Człowiek to przyjemny, łagodnej postawy, ale marzyciel. Mądrość pitagorejska nie nauczy już nic ludzi naszego czasu. Od lat wielu, Alkott żyje tylko chlebem, owocami, jarzynkami i wodą. Pragnie aby wszyscy ludzie trzymali się tej zasady, a w takim razie ma przekonanie, że byliby dobrzy i szczęśliwi. „Święty strumień zapału płynąłby nieustannie przez człowieka uświęconego życiem prostem i moralnem.“

Słowa filozofa pozostały w obłokach, nie wniknąwszy w niczyje przekonanie. Alkott pił zimną wodę, my połykaliśmy mgłe marzenia. Był u mnie parę razy, i zajmuje mnie bardzo, jako przedmiot godny uwagi. Onegdaj spędził wieczór ze mną i Bensonem, i uraczył nas kilkoma ustępami swej doktryny. Wszystkie osoby z jasnym włosem i błękitnem okiem, tworzą część natury promienistej, z królestwa światła i piękności; przeciwnie zaś, z czarnemi oczyma i włosami, pochodzą od nocy i od złego; przytaczałam kilka przeciwnych dowodów, ale dobry Alkott nie słucha żadnego zaprzeczenia, sam sądzi i wyrokuje o wszystkiem. Piliśmy herbatę, chciałam przekonać Alkotta, aby przyjął szklankę mleka, ale napróżno, pokarm to nazbyt zwierzęcy. Namówiłam go ledwie na szklankę wody i kawałek chleba. Szczególny ten filozof, żyje zupełnie zgodnie z doktryną jaką głosi.

W niedzielę mam być na obiedzie z Laurą Bridgeman, głuchoniemą a zarazem niewidomą panienką i sławnym doktorem How, który umiał wskrzesić w jej umyśle uśpioną iskrę ducha. Jest on obecnie administratorem instytutu Głuchoniemych w Bostonie. Żona jego była u mnie i prosiła na niedzielny obiad.

Kończę list gdyż Benson odpływa zaraz do Europy. Wybornie mi w jego domu.

IX.

Boston, 22 Stycznia.

Mimo słabego zdrowia, znowu jestem w ruchu, dla tego to przez parę tygodni nie pisałam da ciebie. Zwiedzałam w tych dniach z Karolem Summer, dobroczynne tutejsze zakłady. Naprzód byłam w domu poprawy kobiet, gdzie szanowne panie z Bostonu, baczną nad niemi rozciągają opiekę. Potem odwiedzałam dom obłąkanych, założony dla biednych. Jedna biedaczka chora, szczególną dla mnie powzięła przyjaźń, ściskała mnie i błogosławiła nieustannie. Summer poznał między mężczyznami dwóch kolegów swoich z uniwersytetu, którzy największą zdolność okazywali do nauk matematycznych. Czoła obudwóch wysokie i wypukłe, mieściły dziś ledwie w sobie szczątki rozpierzchłych myśli. Jeden z nich poznał dawnego towarzysza, czem się mocno zawstydził i zasmucił.

Byłam potem na zebraniu Szwedenborgistów, w należącym do nich kościele, gdzie było najmniej stu zebranych braci. Wróciłam do domu strudzona, aż tu mój doktór przybył i zabrał mnie gwałtem na wieczór. Musiałam bawić do północy w wybranym Bostońskim salonie, na świetnem zgromadzeniu. Była chwila wyznam szczerze,

iż zazdrościłam Indyanom, koczującym swobodnie, po dziewiczych lasach Ameryki. Wróciwszy do domu, czułam okropny zawrót głowy, i przez całą noc nie zamrużyłam oka.

24 Stycznia.

Słuchając rady moich znajomych wezwałam innego lekarza. Około południa wszedł do salonu mego wysoki starzec, z twarzą bladą i charakterystyczną, wysokiem czołem, bieluchnemi jak śnieg włosami i błękitnemi oczyma. Milczący i ubrany czarno, stał chwilę w środku salonu i patrzał mi przenikliwie w oczy. Od razu powzięłam w nim wielkie zaufanie. Tak się czułam sama i opuszczona, pod wpływem szczególnego cierpienia, które odbierało wszelką działalność duszy mojej i ciału, taka przejmowała mnie trwoga na myśl co pocznę ze słabemi siłami, w obec tylu przedsięwziętych trudów, w obcej stronie, między cudzemi, wyciągnęłam obydwie ręce do szlachetnego starca, i zawołałam z przejęciem: „Ratuj mnie pan, na Boga!“ On na to cichym i znaczącym głosem, te pochlebne wyrzekł słowa: „Panno Bremer, ktokolwiek czytał twoich *Sąsiadów*, szczęśliwy będzie, gdy ci zdoła przyjść w pomoc. I ja uczynię to chętnie a pewien jestem że ci ulżyć potrafię.“ Rozpłakałam się, pocałowałam szorstką rękę doktora, widząc w nim ojca i dobroczyńcę. Zapisał mi lekarstwo, wzięłam je i spałam doskonale, a nazajutrz czułam się prawie zdrowa. Mój doktor zowie się Dawid Osgood, przychodzi tu co dzień, pielęgnuje mnie troskliwie, i zapewnia że mi nic nie będzie. Choroba moja pochodzi, jak mówi, z niewłaściwego pożywienia.

Powiem ci teraz o miasteczku Konkord i o jego Sfinksie Emersonie. Był tu i zabrał mnie z sobą. Pierwszego dnia pobytu w jego domu czułam się słaba i złamana, nie miałam nawet siły rozumieć słów jego, tak pełnych głębokiego znaczenia. Ale następnych dni, bądź to skutkiem czystego powietrza, bądź użytych leków, było mi znacznie lepiej. Z prawdziwą pociechą uważałam siłę i polot owej dzielnej myśli. Zbytnia jednak sprzeczność panuje w wyobrażeniach naszych, abyśmy się nawzajem zrozumieć mogli.

Badałam Emersona w codziennem życiu, śledziłam każde jego poruszenie, zarówno jak śledzę z upodobaniem bieg spokojnej rzeki, która na łonie swojem niesie i wielkie statki i ubogie łodzie, w pośród kwiecistych wybrzeży; jak śledzę polot dzielnego orła, kiedy zatacza koła wśród obłoku. Nic nigdy nie zdoła wyrwać Emersona z tej wysokości, gdzie myśl jego spoczywa, drobna ani wielka przygoda, pomyślność ani niedola. Pod względem filozofii jest panteistą, w moralnym zaś poglądzie na życie, surowym jest tak dla siebie, jak dla drugich. Ostro zwykł wyrokować o wszystkiem, tnie słowami jak mieczem; szlachetne ma jednak obejście, a głos nadzwyczaj harmonijny. Można nie podzielać myśli i sądów Emersona, trudno jednak skłócić się z nim samym. Szlachetność główną stanowi jego cechę; nie zapomnę nigdy trafnego zdania Maryi Lowell: „Gdy Emerson, mówiła, wyrzeknie moje imie, zdaje mi się że mnie tem samem uszlachetnił.“

Słowa Emersona płyną łatwo jak strumień głęboki a spokojny. Zawsze jest znaczenie w tem co mówi. Emer-

son słucha dobrze, bez roztargnienia, rozważa usłyszane słowa i z uwagą na nie odpowiada. Jakkolwiek umysł jego krytyczny, wszystko rozbiera, we wszystkiem dopatruje skazy, nikomu nie przepuszcza, mierząc każdego na wysoką skalę stworzonego przez siebie ideału, mimo to jednak, ma przekonanie o stopniowem doskonaleniu się świata, wierzy w ostateczne zwycięztwo dobra i prawdy.

W pismach Emersona odbija wszędzie ta myśl, różnemi wyrażona słowy: Bądź szczery, umiej być sam sobą: wtedy będziesz samodzielnym i stworzysz coś nowego, dokładnego. Tak on przemawia i do jednostek i do tłumów. Moc i piękność słowa, którem głosi hasło rozbudzenia, wywiera potężny wpływ na umysły Amerykanów.

Wreszcie Emerson nie uważa się wcale za doskonały typ człowieka, jakiego pragnie dla Ameryki. Więcej ceni prawość swoją niż umysłowe zdolności. Powiedziałam mu z zapałem kilka słów o czysto Amerykańskim charakterze jego poematów: „O! nie bądź pani na zbyt pobłażającą, odrzekł poważnie: nie mamy jeszcze wcale poezyi o którejby można powiedzieć, że przedstawia cywilizacyą naszej części świata. Poeta Amerykański nie przyszedł jeszcze. Jak przyjdzie, zaśpiewa nam inaczej.“

Emerson stoi obecnie na czele filozofów tej części Ameryki. To jedna prawdziwie olbrzymia postać między tłumem innych, w których więcej widzę pretensyi niż prawdziwej siły. Alkott żył piętnaście lat chlebem i owocami, nosił lnianą odzież, aby nie odbierać owcom ich pokrycia, wiele przetrwał, chcąc przekonać ludzi, ile przykłada wiary w ogłoszone przez siebie zasady, jak je gorąco miłuje, a jednak skończył na tem, że nosi wełnianą odzież, i sprzedaje własną mądrość za pieniądze, C... obrał ustronne miejsce na zachodzie, zbudował tam chatkę, przeżył w niej dwa lata jak pustelnik, ale powrócił do miasta. T... chronił się wgłąb dzikiej puszczy, mieszkał w szałasie, żył niewiadomo czem. Wrócił jednak do warunków zwyczajnego życia, wziął się do dawnego rzemiosła. Pisze książki, tchnące niekiedy leśną wonią, a za które bierze także pieniądze. Słowem wszyscy ci ludzie, którzy otwierają sobie nowe nieznane drogi, a pragną się uwolnić od drobnych codziennych zabiegów, nie dziwią mnie bynajmniej. I ja sama robiłam tego rodzaju próby i byłabym je rozwinęła dalej, gdyby mnie nie wstrzymywały obowiązki. Ich usiłowania, również jak i samego Emersona, za wiele sprawiają hałasu choć w gruncie nie mają nic nadzwyczajnego, to też nic nowego nie wydadzą z siebie. Cel ich piękny wprawdzie, a jednak brak im najwznioślejszej pobudki, brak im miłości bliźniego.

Mówiąc o filozofach Amerkańskich, muszę powiedzieć słówko o kobiecie, która należy do ich koła, a o której wiele słyszałam od czasu przybycia mego do Nowego Świata. Jedni nie szczędzą jej pochwał, drudzy szarpią ją bez litości, w każdym razie postać to niepospolita. Margareta Fuller (tak się nazywa filozofka Amerykańska), nieprzyjemna z powierzchowności, wielkie dary umysłu otrzymała w udziale, i prawdziwy jeniusz do prowadzenia rozpraw. Emerson, mówił mi o niej z zapałem: „Przekonanie rzekł, spoczywa na jej ustach.“ Rzecz niewątpliwa, że umiała obudzić szczere uwielbienie przyjaciół, mówią tu o niej z większym zapałem, niż o innych zasłużonych kobietach. Emerson ze zwykłą swoją otwartością, tak się o niej wyraził: „Ma nie mało wielkich zalet, ale też i nie

mało wielkich błędów.“ Do ostatnich liczą pychę i pogardliwość względem osób mniej bogato uposażonych. Mówiono mi jednak że się umie upokorzyć i przeprasza niekiedy, za słowa powiedziane zbyt ostro. Zaleca ją rzeczywiście, charakter prawy i niepodległy, i wielka zdolność krytyczna. Rozprawy, *konwersacye*, które miewała publicznie w Bostonie, w wyborowem kółku, nadzwyczaj miały być zajmujące. Pani Emerson nie może się dość wysławić jej wymowy, jej wewnętrznego bogactwa, jak mniemam, życzyłaby mi abym do niej była podobna. Panna Fuller pojechała do Włoch z przyjaciółmi memi, państwem Spring, i została od kilku lat sama na stałym lądzie. Pogłoska biega teraz, że poszła za młodego człowieka, choć sama już ma blisko lat czterdzieści. W przyszłym roku ma powrócić do Ameryki. Panna Fuller w pismach swoich mówi o prawach kobiet do zupełnego umysłowego rozwinięcia.

Poznałam w Konkord panią Riplej, którą Emerson liczy do tutejszych osobliwości. Piękna to jeszcze kobieta, mimo późnego wieku, włosy ma bieluchne, oczy błękitne, głębokie, młode, a w całej postaci tyle niewieściego wdzięku, iż trudnoby zgadnąć ktoby nie wiedział, że umie po Łacinie, po Grecku i zna matematykę jak professor. Młodzi uczniowie uniwersytetu, sposobiąc się na egzamin, znajdują w niej doskonałą pomoc, szczególny bowiem ma dar nauczania, obok dobroci i słodyczy prawdziwie macierzyńskiej. Nie jeden młodzian błogosławi ją z wdzięcznością. Jeden z nich mówił mi, o niej te słowa: „Zapytywała mnie o Euklidesa, a przez ten czas łuskała groch ze strąków, nogą zaś poruszała kolebkę w której spał mały jej wnuczek.“ Przepędziłam wieczór w domu pani Riplej razem z Emersonami. W jej domu także nie widziałam

sługi; kobiety w Nowej Anglii nadzwyczajną mają siłę, wzięły ją jak widać w spadku po prababkach, które dzielną były pomocą pracowitym i wytrwałym mężom i wspólnie z niemi, położyły węgielny kamień, dzisiejszej potęgi tego państwa.

Prapradziad Elżbiety H. był w liczbie pierwszych pielgrzymów, którzy przybyli na małym okręcie *Fleur de Mai*, na brzeg Massachusettu. Opowiadał nie raz dzieciom swoim, że gdy mężowie układali prawa dla nowej kolonii, radzili częstokroć w obecności małżonek, siostr i córek i zapytywali ich o zdanie. Było to bardzo mądrze. Uczucia rycerskie panujące w Ameryce dotąd względem kobiet, przechowały się tradycyjnie do tej chwili, dzięki zasługom, jakie położyły tu żony pierwszych pielgrzymów, z głębokiej czci, jaką sprawiedliwie je w pierwszych czasach otaczano. Ta zasada równości, spowodowała nie wątpliwie rowność praw i władzy, tak dziś wydatną w życiu rodzinnem i społecznem, jakkolwiek nie rozciąga się do życia politycznego. Lubię rozmawiać z Elżbietą H. wiele dostrzegłam w niej głębokich i zdrowych myśli. Słowa jej świecą czasem jak dyamenty na słońcu, ale trzeba żeby je ciepły ogarnął promień.

Poznałam tu także doktora Jacksona, który odkrył usypiające skutki siarczanego chloru, pokazywał mi otrzymany z tego powodu medal od naszego króla Oskara. Jackson uczynił odkrycie przypadkiem, winszowałam mu, że tylu milionom istot potrafił ulżyć cierpienia.

Wczoraj opuściłam dom Emersonów, i powróciłam do Bostonu, gdzie zastałam dobrego Markusa. Wieczorem poszłam z nim razem na prelekcye Alkotta. Dowodził on konieczną potrzebę umiarkowania dla zupełnego szczęścia ludzkości, przytaczał iż wszyscy znakomici prawodawcy,

wstrzymywali się od mięsa. Markus bawił się szczerze tą rozprawą. Pomiędzy słuchaczami uważałam kilka kobiet z wysokiem myślącem czołem, żadna jednak nie odezwała się ani razu. Co do mnie nie byłam tak cierpliwa.

26 Stycznia.

Alkott był u mnie, przyniósł mi dwie książki, obejmujące rozprawy które miewał z dziećmi, w czasie gdy miał szkołę pod opieką swoją. Miała to być szkoła wzorowa. Alkott w wychowaniu dzieci, usiłował rozbudzać najszlachetniejszą stronę ich natury, i natchnąć je uczuciem własnej godności. Przedstawiał im zawczasu ideał najwyższej doskonałości w Boskiej osobie Jezusa Chrystusa. Każde zebranie z dziećmi, rozpoczynało się odczytaniem rozdziału Pisma Świętego. Gdy skończył zapytywał ich: i cóż się działo w duszy waszej, gdyście słuchały czytania?“ Dzieci odpowiadały jak mogły. Alkott zapytywał potem jaką cnotę objawiła im ta powieść? Ztąd wypływało wiele dobrego, a myśl dziecinna wywijała się jakby z pieluch; nie raz słowo świeże jak kwiat wypłynęło z ust niewinnych. Ta metoda jednak nie dała się zastosować w szkołach, przy wielkiej liczbie uczniów; w domowem za to wychowaniu mogłaby prawdziwie pożyteczne wydać owoce.

Byłam na dwóch arystokratycznych zebraniach u pani Briant w wysokim tutejszym świecie. Wspaniałe było, wytworne i świetne. Co do arystokracyi, uważałam że ona tu w ogóle nie odgrywa najwyższej roli. Słyszałam jak mówiono o niektórych osobach, że zajmują stanowisko wyższe nadzwyczajny świat arystokratyczny. Spostrzegłam

ztąd jasno, że się tu pomału tworzy arystokracya osobistej zasługi i wartości.

Byłam na miłym obiedzie u professora How, z Laurą Bringoman, młodą głuchoniemą i niewidomą, której duszę wyrwał z uśpienia ten sławny professor. Ma teraz lat dwadzieścia, ładna jest, wątła ale kształtna. Laura nosi na oczach zieloną opaskę. Zapytałam ją za pośrednictwem osoby która jej zawsze służy za tłumacza, czyli jest szczęśliwą? Odpowiedziała, że zupełnie. Mówią że zawsze jest w wesołym humorze, a otoczona wyłącznem staraniem; wszystkich kocha i ufa każdemu. Doktór How, ma twarz ciemną, z rodzaju tych od jakich Alkott, radby świat uwolnić, wierząc w ich pochodzenie od duchów ciemności. Żona jego miła bardzo i ukształcona kobieta; mają dwie córeczki świeże i piękne jak dwie kropelki rosy.

Zostanę tu jeszcze parę tygodni. Nie zbogacę się w tym kraju, nie mam bowiem ani czasu, ani chęci do pisania. Czas okropny, wiatr gwiżdże, deszcz pada strumieniem, mimo to odbieram wizyty, kwiaty i zaprosiny.

X.

Boston, 1 Lutego.

Siły moje wracają codziennie. Kiedy jestem zdrowa dusza moja nabiera dzielności, i czuję się szczęśliwą; widząc się na tej ziemi starych *ojców pielgrzymów*, jak ich tu dotąd nazywają, na której owi przybysze, pierwsze

zbudowali ognisko przyszłego społecznego gmachu. Z tego to zawiązku wyszła cywilizacya Nowej części świata.

Było to w 1620 roku. Mały okręt *Fleur de Mai*, przybił do brzegów Massachusettu: stu pielgrzymów wysiadło. Należeli oni do sekty religijnej *purytanów*, która powstała z reformy, nie poprzestając na odszczepieństwie Lutra. Purytanie wystąpili do walki, przeciw panującemu Anglikańskiemu kościołowi, nie chcieli się z nim połączyć i nazwali się *niekonformistami*. Kościół panujący zagroził im surowo, mimo to liczba purytanów wzrastała, wiele znakomitych rodzin przyjęło ich zasady. Królowa Elżbieta dość jeszcze względnie obchodziła się z niemi. Ale następca jej Jakób, zawołał w gniewie: „Nie chcę o nich słyszeć, powywieszać ich wszystkich.“ I zostawiono im wybór, pomiędzy powrotem na łono kościoła, lub więzieniem i śmiercią. To wzmocniło jeszcze ich opór.

Mężowie i niewiasty, opuściwszy wsie i miasteczka północnej Ameryki, połączyli się wspólnie, gotowi wszystko raczej poświęcić, byleby w niczem nie odstąpić od wyznawanej wiary. Byli to ludzie małego znaczenia, trudniący się rzemiosłem lub rolą, własnemi rękami pracujący na życie, przywykli do trudów i niewygód. Hollandya dała im przytułek. Małe grono purytanów umyśliło schronić się do tego kraju i po wielu niebezpieczeństwach, osiągło cel pożądany. Purytanie zamieszkali w Leydzie, ale to miejsce nie przypadło im do myśli. „Obok zabiegów o zaspokojenie codziennych potrzeb życia, powzięli myśli że Bóg ich do wyższych powołał celów. Zapragnęli szerzyć Ewangelią i głosić królestwo Boże, w dalekich stronach Nowego Świata. Mieli stać się dla następców podwaliną, w spełnieniu wielkiego dzieła cywilizacyi.“

Po wielu trudnościach, otrzymali od Angielskiego rządu upoważnienie, aby się osiedlić w północnej Ameryce, „i tam pracować na chwałę Bożą, na pożytek Anglii“.

Najęli dwa statki, *Fleur de Mai*, *i Weronikę*, które przewieźć ich miały za dalekie morza. Najmłodsi i najsilniejsi ze zgromadzenia, mieli rozpocząć tę niebezpieczną żeglugę, przygotowawszy się do niej, postem i modlitwą. „Módlmy się, mówili, aby Bóg wskazał prawdziwą drogę nam i razem dzieciom, i wszystkim użyczył doskonałego posiłku“. Część zaledwie pielgrzymów osiadłych w Hollandyi, znalazła miejsce na dwóch statkach; pomiędzy pozostałymi był szlachetny wódz ich Robinson, który z brzegów starego świata, pożegnał ich i pobłogosławił na daleką drogę.

„Gdy statki były gotowe, pisze współczesny emigrant, bracia którzy modlili się i pościli za nas, wyprawili pożegnalną ucztę w domu naszego pastora. I pokrzepiliśmy się w smutku, śpiewając psalmy, albowiem wielu z naszej parafii, znało dokładnie muzykę. Po czem zaprowadzono nas do Delfthawen, zkąd mieliśmy odpłynąć. Po modlitwie odmówionej przez pastora, w czasie której popłynęło wiele łez, pozostali bracia odprowadzili nas do statku. Nie mogliśmy jednak rozmawiać z sobą, abowiem czuliśmy na sercu wielką żałość. Na statku dopiero pożegnaliśmy się na zawsze, i wyciągnęliśmy ręce jedni do drugich, a serca podnieśliśmy ku Panu, modląc się wzajem za siebie, po czem rozwinęliśmy żagle“.

Wiatr pomyślny zawiódł wkrótce pielgrzymów na brzegi angielskie; ale mniejszy ze statków, *Weronika*, uszkodzony mocno, wymagał naprawy. Kapitan widząc grożące niebezpieczeństwo, chciał zawinąć do brzegów

Anglii. Podróżni więc przeszli na drugi statek. *Fleur de Mai* przyjął ich gościnnie. To małe grono odważnych wytrwało w przedsięwzięciu. Okręt pełen dzieci, statków kuchennych i gospodarskich, bydła, jakby pływająca zagroda, kołysał się na falach Oceanu, podczas najburzliwszej pory roku. Po sześćdziesięciu trzech dniach niebezpiecznej żeglugi, pielgrzymi ujrzeli brzegi Nowego Świata, a *Fleur de Mai* zarzucił kotwicę w porcie Massachusettu.

Zaledwie podróżni dotknęli stopą ziemi, zebrali się na radę, zawiązali ciało polityczne, i odczytali akt następujący:

„W imię Boże, Amen. My podpisani i t. d., przedsięwziąwszy na chwałę Bożą i dla rozszerzenia królestwa Chrystusowego, tudzież na cześć naszego króla i naszego kraju, założyć pierwszą kolonię, na północnej dolinie Wirginii, oświadczamy tu uroczyście i wspólnie, w obec Boga i każdego z nas, że się wiążemy w ciało polityczne cywilne, aby utrzymać porządek pomiędzy sobą i tem pewniej dojść wyżej pomienionego celu. Dla tego to ustanowimy i ogłosimy prawa, zaprowadzimy dla wszystkich sprawiedliwość, potworzymy urzęda i zakłady, któreby czuwały nad dobrym bytem kolonii i przyrzekamy im zupełną uległość i posłuszeństwo“.

Ten akt podpisali wszyscy mężowie zgromadzenia, w liczbie czterdziestu jeden. A więc w kajucie, na statku *Fleur de Mai*, spisano ustawę jakiej dotąd świat nie widział.

Wysiedli na skale, zwanej odtąd skałą Rymuth, albo skałą pielgrzymów. Chcieli aby młoda dzieweczka pierwsza dotknęła stopą ziemi. Przybywszy z początkiem zimy, musieli walczyć z mrozem, wichrem i tysiącem ciężkich

przygód. Zrobili wycieczkę w głąb kraju, znaleźli nieco zboża, odkryli groby Indyan, ale nie było nigdzie śladu mieszkań ludzkich. Byli już parę dni na stałym lądzie, zaczęli budować szałasy, chcąc się schronić czemprędzej przed wichrem i śnieżną zamiecią. Nadeszła niedziela, przerwali pracę, jakkolwiek naglącą.

Czytałam właśnie opis, w rodzaju dziennika, trudów pracy i walk tej kolonii w pierwszych latach jej bytu. Kronika to prosta, bez próżnych słów i przechwałek, bez romantycznych ozdób, ale wydała mi się piękniejszą nad nie jeden opisowy poemat. Wielkiem było to życie poświęcone pracy! Jakaż odwaga, wytrwałość i wiara, ożywiała to grono pielgrzymów! Jakże ci mężowie i niewiasty wspierali się nawzajem! Żyją otoczeni tysiącem groźnych niebezpieczeństw, walczą przeciw krajowcom, znoszą przykrości klimatu i niedostatek, cierpią choroby, grzebią ukochanych swoich, znoszą głód i zimno, mimo to trwają w przedsięwzięciu. Podczas tej uporczywej walki z potrzebą i codziennemi przygodami, pod gradem strzał indyjskich, zakładają byt społeczny i kościół, ustanawiają prawa, urządzają szkołę, słowem myślą o wszystkiem co daje siłę ludzkiemu społeczeństwu. Jedną ręką dzierżą miecz, drugą wiodą pług po zagonie. Mimo niebezpieczeństwa, wiszącego im nad głową, myślą jednak o szczęściu potomnych, dla nich to postanawiają mądre i pełne ludzkości prawa. W tych prawach nie przepominają nawet zwierząt i surowo nawet pastwić się nad niemi zakazują.

W pierwszych latach nędza pielgrzymów do najwyższego dochodziła stopnia. „Widziałem ludzi upadających z głodu, mówi naoczny świadek“.

Urodzaj w trzecim roku był obfity, pozwolono każdemu pracować wyłącznie dla siebie. Pomyślność nastąpiła po nędzy, a kolonia rozwinęła się potężnie. Po kilku latach mówiono o niej: „Można tu być czas jakiś, a nie widzieć pijanego, nie usłyszeć przekleństwa i nie napotkać żebraka. Ci, którzy przetrwali pierwsze próby, dobiegli późnej starości; nic dziwnego, że tak wytrwali ojcowie i matki, byli zawiązkiem wielkiego narodu. Inne kolonie ustanowione na południu; ale to życie słabem tlało płomieniem; purytanie sami, rzec można, odnieśli zwycięztwo nad tą ziemią dziką i nieuprawną, i stali się prawodawcami nowego świata.

Z ubiegiem lat, stara kolonia rozesłała na wszystkie strony syny i córy pierwszych pielgrzymów. Oni stanowią trzecią część ludności północnej Ameryki.

Gdy dziś po dwóch wiekach bytu, rzucę okiem na to społeczeństwo Nowego Świata, widzę jak dwie poruszają niem siły. Jedna, wprowadzenie w rzetelność ideału życia: druga, chęć opanowania ziemi, to jest wydobycia z jej łona wszystkich sił i owoców, na korzyść człowieka.

Człowiek Nowego Świata, zwany humorystycznie *Yankie*, chce przedewszystkiem zdobywać, i ztąd to nie lęka się pracy, nawet najcięższej. Obiedz połowę kuli ziemskiej w pewnej nadziei zysku, niczem jest dla niego. Wrodzony charakter pirata (odziedziczony po starych Normandach) zmusza go do ustawicznego działania, do nieustannych zabiegów, byleby sobie i drugim zapewnić byt pomyślny. Gdy wzbogacił sam siebie, myśli jakby wzbogacił drugich. Zbiera i rozdaje naprzemiany, pragnie raczej zostawić po sobie pamięć dobrego obywatela, niż wielki następcom przekazać majątek. Za pieniądze wła-

sną zdobyte pracą, ustanawia chętnie dobroczynny zakład, i najczęściej własne nadaje mu nazwisko; niekiedy nawet zrzeka się tej próżności.

W stanach północnych przechowały się tradycyjnie zasady pierwszych pielgrzymów. Skutkiem nie jednej rozmowy z idealistami, tudzież skutkiem własnych spostrzeżeń nad duchem tutejszej instytucyi, przekonałam się, czego młoda Ameryka żąda od człowieka i społeczności.

Oto w kilku słowach zebrane moralne jej zasady.

Każda jednostka ma być prawdziwą sama w sobie, być sama z Bogiem, a z tego wychodząc punktu, działać na zewnątrz według własnego przekonania.

Co jest cnotą dla jednej płci, winno być cnotą i dla drugiej. Jednakowe prawa moralne zobowiązują tak mężczyzn jak i kobiety.

Należy dać kobiecie sposobność do rozwinięcia wszelkich władz umysłowych, zgodnych z jej naturą. Powinna mieć prawo do szczęścia i swobody.

Każda praca ma przynieść człowiekowi zaszczyt i pożytek. Żadna praca nie poniża człowieka, przeciwnie gdy uczciwie spełniona, przynosi mu chlubę.

Wszystko dla wszystkich, oto wyłączny cel towarzystwa. Trzeba aby wszyscy mogli zakosztować darów ziemskich, tak moralnie jak i fizycznie, każdy według osobistej zdolności. Nikt nie ma być wyłączony, chyba ten kto się sam wyłączy. Wrota mają być otwarte każdemu. Ztąd więzienie nawet winno być środkiem poprawy, i drugą niejako szkołą dla tych którzy jej potrzebują. Społeczeństwo ma być urządzone w sposób, aby wszyscy mogli dojść do wszystkiego i aby wszystko mogło przypaść zarówno wszystkim.

Ideałem Amerykanina, zdaje mi się być, czystość widoków, stałość, wola, energia czynu, prostota, słodycz w obejściu i w całym układzie.

Ideałem szczęścia dla amerykanina, jest według mnie małżeństwo, domowe ognisko i czynność obywatelska. Mieć towarzyszkę, własny dach, i kęs ziemi, uprawiać ją i zdobić, być obok tego pożytecznym krajowi lub miastu, oto cel życia dla mieszkańca Nowego Świata. Podróż po Europie, w celu zwiedzenia dawnych miast i zwalisk, miłym bywa ustępem w ich życiu.

Dosyć widziałam ognisk Amerykańskich, mogę więc powiedzieć śmiało, że kobiety używają tu wielkiej władzy. Kobieta w Nowym Świecie jest głównym filarem domu, prawodawcą domowego ogniska, a mężowie chcą aby tak było. Amerykanin pragnie aby żona panowała w obrębie domu, i sam chętnie skłania się we wszystkiem do jej woli. Dodam jeszcze, że w szczęśliwych rodzinach w których byłam, żona równie chętnie wypełnia wolę męża, jak i on skłania się ku jej chęciom. Miłość i rozum, równają wszystko.

Zakłady wychowania dla kobiet, w Nowym Świecie, wyżej stoją od Europejskich. Zawód nauczycielski, któremu poświęca się wiele kobiet, ściąga tu na nie cześć powszechną. Są urządzone wyłączne szkoły nauczycielek. Wybieram się z umysłu do West-Newton, blisko Bostonu, aby zwiedzić tego rodzaju zakład. Córki Nowej Anglii szczególne mają powołanie do nauczycielstwa; bogatsze nawet, z miłością przedsiębiorą ten zawód. Ubogie córki rolników, pracują czas jakiś w rękodzielniach, a za uzbierane pieniądze, opłacają później szkolne koszta i zostają nauczycielkami. Co rok wyjeżdża ich mnóstwo na północ i zachód, gdzie pod ich dozorem powstają coraz nowe zakłady. W ogóle, kobiety Nowej Anglii, odznaczają się zdolnością i mocą charakteru. Waldo Emerson, jakkolwiek nie skory do pochwał, mówił jednak o nich z uwielbieniem. W szkole nauczycielek, z wielką łatwością uczą się języków starożytnych, matematyki, algebry, słowem stoją na równej stopie, z uczniami szkół publicznych. Młoda osoba z Massachusett, odznaczyła się w astronomii, odkryła kometę, za co otrzymała medal od króla Pruskiego.

Literatura Niemiecka, która bardzo się rozpowszechniła w Stanach Północnej Ameryki, wielki wpływ wywarła na uczącą się młodzież, i rozbudziła jej umysł ku idealnej stronie życia. Mówcy i professorowie najsłynniejsi, stali się kapłanami ideału. Spokój, prawda, umiarkowanie w potrzebach, uszlachetnienie wszelkich stosunków życia, rozpowszechnienie korzyści cywilizacyi, oto przedmiot dla dzisiejszych mówców. Tysiące słuchaczów, przyjmuje do serca ich słowo.

3 Lutego.

Spędziłam miły wieczór na zgromadzeniu Abolicyonistów, pan Summer mi towarzyszył. Przedstawiano ludowi, kilku murzynów zbiegłych tu ze Stanów Południowych. Tłum wielki napełniał salę i galerye. Najlepszym mówcą tego wieczoru, był murzyn Jan Brown, który uciekł właśnie z żoną i dziećmi. Opowiadał swoje przygody. Mówił z życiem, a ruchy oryginalne dodawały znaczenia jego słowom. Używał dosadnych wyrażeń i przenośni, czem pobudzał do śmiechu obecnych. Brown śmiał się sam z drugiemi i nie tracił bynajmniej odwagi;

przeciwnie w miarę jak mówił, ożywiał się coraz bardziej, przypominam sobie jak opisywał przeprawę przez rzekę, podczas gdy go ścigano: „Siedzę mówił w łodzi, trzymam w ręku dwa wiosła, i poruszam wodę z całej siły; żona i dzieci oczekiwały już mnie na przeciwnym brzegu. Ci którzy mnie gonili mieli trzy pary wioseł. Widzę ich tuż za sobą! Ale po nad nami jest Bóg wielki. On patrzy na nas! On dozwolił mi ujść pogoni. Dobijam do brzegu. Jestem wolny! Witam żonę i dzieci!“ Publiczność okryła mówcę oklaskami.

Gdy umilkł, wystąpiła młoda kobieta biała, odziana biało i skromnie, trzymała za rękę ciemnooką mulatkę. Niewolnica ta znalazła przytułek na okręcie. Pan jej domyślając się gdzie jest, na mocy otrzymanego pozwolenia przetrząsnął cały statek. Kazał spalić wielką ilość siarki, i dymem zmusić biedną kobietę do opuszczenia swej kryjówki. Ona jednak wszystko zniosła i dziś jest już bezpieczną. Pięknie było, jak Lucyna Stowe, wyciągnęła rękę po nad głową mulatki, nazwała ją siostrą i przedstawiła zgromadzeniu. Uczyniła to z prawdziwie niewieścim wdziękiem, po czem spokojnie opowiedziała jej przygody. Szkoda tylko że zamiast podjąć obronę praw kobiety jak matki, rzuciła się w niepotrzebne polemiczne spory, powtarzała to co mężczyzni już nie raz stokroć lepiej od niej powiedzieli i i upadła jako mówca. I kiedyż kobiety zrozumieją, że aby zająć godnie miejsce w forum, aby powiedzieć ludziom nowe słowo, ogłosić nieznaną prawdę, potrzeba im koniecznie oprzeć się na właściwej kobietom podstawie, nie wychodząc za obręb domowych progów? Niewiasty, które po wszystkie wieki jawiły się światu jako kapłanki domowego ogniska, jako wieszczki i obrończelki najświętszych zasad i najwznioślejszych uczuć, nie-

wiasty, które ogłosiły słowo ludom i królom, jak Debora, Wala (1) i Sybilla, wskazują drogę kobietom Nowego Świata. Potęga miłości wiodła je wyłącznie, a jestże wyższa nad nią siła? Orzeł i gołębica, różnemi drogami, do jednego wszakże dojdą celu!

Słuchacze panny Lucyny Stowe, słuchali ją z dobrą wolą i uważnie. Przyklasnęli jej ale z umiarkowaniem. Wszystko co powiedziała, nie wiele było warto, mimo łatwości słowa.

Po kilku innych głośnych i zapalczywych mowcach, wystąpił Wendel Philips, pewien siebie i słuchaczy, mówił spokojnie i z powagą, podjął rzecz całą ze stanowiska, którego nie dotknęła panna Stowe. Zajął się kobietą murzynką jako matką, której wydzierają własne dziecię. Mówił rzewnie, tkliwie i powszechne też zjednał sobie współczucie. Zebrano potem składkę na korzyść zbiegłej mulatki.

Byłam także w pałacu rządowym, senatorowie na pół uśpieni, sądzili sprawę o skórę na trzewiki. Amerykańscy adwokaci mówili biegle, ich wymowa podobna była do szumiącej rzeki. Ruchy mają żywe ale jednostajne, podnoszą najczęściej w górę pięść zaciśniętą, lub wskazujący palec. Po skończonej naradzie, prezydent powstał, i podał mi rękę, równie jak inni członkowie senatu. Zdziwiła mnie, wyznam szczerze, taka względność dla cudzoziemki, bez żadnego znaczenia w politycznym życiu, należącej wyłącznie do cichego domowego świata. Może to dowodzi, że Amerykanie uważają ognisko domowe jako łono macierzyste Państwa!

---

1) Starożytna wieszczka Skandynawska.

Piękny bardzo pałac rządowy w Bostonie. Dwa wielkie wodotryski zdobią fasadę. Z ganku pyszny roztacza się widok. Na obszernym placu, wielka kolumna wody wytryska z sadzawki. W trzy strony rozbiegają się szerokie ulice, wysadzone odwiecznemi wiązami. Drzewa zdobią także plac w koło i nadają mu pozór pięknego parku. Z czwartej strony widok na zatokę. Lubię przechadzać się po tych asfaltowych chodnikach i przez konary drzew poglądać na błękitne niebo Massachusetu, zwłaszcza w chwili gdy dziatwa wybiegając z pobliskiej szkoły, życiem i wrzawą napełnia tę poważną przestrzeń.

Pan Summer czytuje mi niekiedy nowe dzieła; między innemi czytał mi śliczną opowieść (rodzaj poematu prozą) Nathaniela Hawtorn, jednego z najsłynniejszych prozaików Ameryki północnej. Hawtorn z wielkim wdziękiem i świeżością, oddaje narodowe przedmioty. Uczucie mistyczne i tajemnicze, zaprawia tło jego obrazów, i otacza je barwą pięknej gwiaździstej nocy. Powiastka którą czatał pan Summer, ma tytuł: *Wielka figura granitowa*; myśl do niej dała poecie olbrzymia postać którą tworzą skały w pośrodku pasma gór białych (New-Hamp. shire).

„Na dolinie poniżej góry New-Hampshire, mówi Hawtorn, stała uboga chata, w której biedni rodzice wychowywali jedynego syna. Z tej chaty równie jak i z całej doliny, dostrzedz było można na wierzchołku góry jakby wykutą w skale głowę ludzką. Cała okolica, znała ją pod nazwiskiem figury granitowej. Odwieczne podanie głosiło, że kiedyś przyjdzie na dolinę człowiek, z obliczem podobnem zupełnie do tej olbrzymiej postaci, że będzie najszlachetniejszym z ludzkiego rodu i sprowadzi złoty wiek w owe strony. Mały chłopczyna wzrastał i poglądał na

kamienne oblicze, panujące po nad doliną, rozmyślał o nieznajomym a oczekiwanym przybyszu i trawił całe godziny zatopiony w dumaniach, podziwiając czarodziejską postać. Poszedł wreszcie do szkoły, wyrosł na młodziana został nauczycielem, potem księdzem i nie spuścił nigdy oka z granitowej postaci. Miłość jego wzrastała ku niej codziennie, coraz niecierpliwiej oczekiwał zapowiedzianego przybysza.

Nagle wrzawa rozległa się po dolinie. „To on, to on!“ wołały niepoliczone głosy. I mieszkańcy doliny, wyszli na przeciw wielkiego człowieka i objawiali mu szczerą radość i wesele. Młody ksiądz był także w pośród tłumu. Wielki człowiek przybył w wielkim powozie ciągniony czterema końmi, a mnogi lud otaczał go w koło. Patrzcie wołano, jak podobny do figury z granitu! Ale młody ksiądz dostrzegł za pierwszym rzutem oka, że podobieństwo było tylko pozorne, że to nie był oczekiwany człowiek, i lud cały dostrzegł toż samo, gdy przybysz zabawił czas jakiś na dolinie. Młody ksiądz szedł dalej swoją drogą, czynił dobrze, oczekując zapowiedzianego dobroczyńcy i patrząc nieustannie na kamienną figurę, żył i działał pod jej oczyma. I raz jeszcze zawołano: „Otóż on! otóż wielki człowiek.“ A lud tłumnie garnął się znów ku nowo przybyłemu. Nieznajomy wjeżdżał z przepychem równie jak i poprzednik, a tłumy wołały znowu: „Jak on podobny do wielkiej figury z granitu! Niewątpliwie to on!„ Młody kapłan ujrzał blade i wyżółkłe oblicze przybysza, rysy jego przypominały wprawdzie ową kamienną postać; wszakże różnica była wielka. Niebawem podobieństwo znikło, lud przekonał się że wielki człowiek, nie był wielkim, że nie podobien w niczem do figury z granitu, i znów wypędził go z doliny. Błędne

nadzieje i zawody powtórzyły się kilkakrotnie. Nakoniec młody ksiądz poskromił niecierpliwy zapał: ma jeszcze nadzieję, ale ukrywa ją i spełnia w pokoju powołanie swoje, spełnia je z wzrastającą powagą, i coraz bardziej rozszerza koło działania swego a zawsze podnosi oczy na granitową postać i coraz mocniéj ten wizerunek wyciska się w głębi jego duszy. Dojrzewa nareszcie w lata, włos poczyna mu bieleć, czas wyciska głębokie ślady na spokojnem jego obliczu. Wielki człowiek nie przybył jeszcze, on jednak wygląda go z nadzieją. Tymczasem wyływ księdza uszlachetnił mieszkańców doliny, cicha okolica piękniejszą przybrała postać. Po latach wielu, pokój i dobry byt stale w niej zamieszkały. Srebrny włos, osłonił czoło starca, rysy jego zaostrzyły się, jagody zbladły, oblicze jego tchnie miłością a lud z doliny poczyna szeptać między sobą. „Patrzcie jak podobny do wielkiej granitowej figury! Raz nakoniec wieczorem cudzoziemiec zapukał do chaty księdza, a on ze zwykłą przyjął go uprzejmością. Przybył nieznajomy z umysłu na dolinę, aby obejrzeć wielką postać kamienną, o której tyle słyszał i człowieka o którym mówiono że tak podobny do niej, nie tylko kształtem oblicza, ale co więcej wspaniałą ducha pięknością. I podczas spokojnego wieczoru, przy świetle gwiazd nieśmiertelnych, w obec wielkiej figury granitowej patrzącej z wierzchołka góry na dolinę, obcy człowiek poznał tego, kogo oczekiwano, w postaci cnotliwego starca, w którego przybył progi. Starzec zaś, dobiegłszy ostatnich dni żywota, czuje duszę napełnioną, przeczuciem nieśmiertelnego błogosławieństwa. Rysy jego drętwiejąc w chwili skonu, powtarzają rysy wielkiej kamiennej postaci ku której umierający zwrócił po raz ostatni oblicze.“

Hawtorn jest wielkim poetą. Ostatnie jego dzieło

p. n. List Szkarłatny nie mały sprawiło tu rozgłos. Mówią że to utwór jenialny. Hawtorn jak mówią piękną ma powierzchowność, ale równie jak wielu poetów skłonnym jest do mizantropii. Poznałam jego żonę i bratową. Obiedwie pełne duszy kobiety, pierwsza zwłaszcza ładna i ujmująca. Mają wkrótce zamieszkać nad jeziorem, w zachodniej stronie Massachusetu, w ślicznej okolicy zwanej Lenox, gdzie mieszka także panna Sedgewick. Zaprosili mnie przyjacielsko, ciekawa jestem poznać autora wielkiej figury granitowej.

Cooper i Washington Irwing, dali nam poznać w powieściach swoich część Nowego Swiata. Po tych dwóch znakomitych poetach — prozaikach, kilka kobiet odznaczyło się tu, w powieściopisarskim zawodzie. Najwięcej w ogóle oceniają pannę Katarzynę Sedgewick [1]). Pani Marya Child, w obrazach z przeszłości i z obecnych czasów, okazuje wielką miłość ku idealnej stronie życia, szczerze jak widać kocha wszystko co wzniosłe, dobre, szlachetne, ludzi, kwiaty, gwiazdy, zakłady, nauki, sztuki, wypadki dziejowe; szuka we wszystkiem oddźwięku niebieskiej harmonii. Głęboka to chrześcijanka, tak sercem jak i postępowaniem. Pani Karolina Kirkland, dowcipna, wesoła, satyryczna, wielkie ma serce, męzki rozum, widać to w jej dziele: *Nowe Ognisko na Zachodzie*. Panna Marya Mac-Intosch, napisała piękną powieść: *Wydawać się lub żyć*. Nie znam dotąd pani Hall, autorki sławnego poetycznego dramatu p. n. Miryano.

Jest tu jeszcze cały orszak poetek i autorek, drugie-

---

[1]) Sławna powieść: Chata ojca Tomasza pani Stowe była wtedy nieznana. Panna Bremer wspomni o niej następnie.

go i trzeciego rzędu. Są to roje kanarków, czyżyków i wróbli; są między niemi i kosy, których piosnka wiosenna, wiele ma wdzięku, wiele myśli głębszej, ale to nie często się zdarza. Nie spotkałam jednak w tutejszych kobietach poetkach śpiewności skowronka, tem mniej słowiczego natchnienia. Nie wiem czyli bogata zdolność twórcza, może być udziałem kobiety. Emerson mówi, że pieśń liryczna, nie w słowie, ale w czynie, jest wyłączną jej własnością.

Dom Lowellów okrył się żałobą, Róża ich córeczka umarła. Stary ojciec doniósł mi o nieszczęściu, jadę natychmiast do nich.

15 Lutego.

Byłam w Kambridge u Lowellów. Mała Róża leżała w trumience, prześliczna była jeszcze, lubo rysy straciły urok dziecięcy. Ojciec płakał rzewnie siedząc u wezgłowia trumny. Marya płakała także, ale żal jej pełen głębokiego poddania. I ja płakałam razem z niemi.

W zeszłą niedzielę byłam w kościele rybaków, chcąc usłyszeć sławnego mówcę Taylora. To prawdziwy jeniusz, zachwycił mnie zupełnie. Jaki w nim zapał, jaka samodzielność w obrazowaniu! Mógłby doprawdy poruszyć umarłych siłą słowa. Raz mówiąc o człowieku złym i występnym, uciął rzecz nagle. Począł malować piękny poranek letni, cudną okolicę, spokój, woń ulatającą w powietrzu, trawę i listki połyskujące od rosy i słońca, a potem czyniąc zwrot do przestępnego, stawił go w obec

wspaniałej przyrody: „to wszystko nie dla niego, wyrzekł, nieszczęśliwy nie kosztuje tych cudów!“

Poznałam się z nim po kazaniu. Ma już lat sześćdziesiąt, ale jeszcze wiele życia, wysławiają tu wszyscy jego miłosierdzie, zwłaszcza względem biednych rybaków.

Czas mamy prawdziwie wiosenny, choć dopiero luty. Jestem znowu w nieustannym ruchu; dziś rano zwiedzałam flotę tutejszą i byłam na śniadaniu u Kommodora. Myzyka przygrywała nam wojenne marsze. Zwiedzałam także szkółki miejskie, ze starym Emersonem, stryjem poety. Dzieci, mianowicie dziewczęta, czytały z wielkiem życiem i zrozumieniem rzeczy. Odpowiadały także doskonale na pytania z nauk przyrodzonych.

Wkrótce moja Agato opuszczę Boston, a udam się na południe. Pojadę naprzód do Nowego Jorku, ztamtąd do Filadelfii, Washingtonu, Charlestonu i w południowe okolice Karoliny. Dziękuję Bogu, że mi przywrócił zdrowie i odwagę. Odbieram ze wszystkich stron zapraszające listy, z samej Filadelfii mam ich sześć. Z niektórych korzystać nie będę mogła, miłe mi jednak te oznaki współczucia.

XI.

Nowy Jork 2 Marca.

Dzięki zacnemu doktorowi, siły moje wróciły, słońce wiosenne dopełni reszty. Już wyznam ci szczerze, w niemałym byłam strachu, czy mi nie przyjdzie wracać do

Europy, nie zwiedziwszy ani cząstki Zjednoczonych Stanów. Choroba na którą cierpiałam, zwyczajna jest w tych stronach. Możnaby ją porównać do żmii, co wciska się nieznacznie, i wysysa szpik kości, wątli duszę i targa wszystkie nerwy. Połowa tutejszych mieszkańców, doświadcza jej w dotkliwy bardzo sposób. Rodzaj życia, i opalania mieszkań rozwija ją niewątpliwie w tym zmiennym i niezdrowym klimacie. Pokarmy tłuste, chleb ciepły, przyprawy korzenne, wielka ilość ostryg, wszystko to razem szkodliwie działa na zdrowie; dodajmy jeszcze żelazne piecyki, lub co gorsza kaloryfery, i oświecenie salonów gazem, a zrozumiemy dla czego nerwy ludzkie tak tu cierpią, dla czego płucowe choroby szerzą się w zatrważający sposób, pomiędzy mieszkańcami wschodnio-północnych Stanów Zjednoczonych.

Mój doktór, mimo że przez siedm tygodni tak mnie troskliwie pielęgnował, nie chciał przyjąć odemnie żadnego wynagrodzenia. Napisał do mnie list pożegnalny prawdziwie ojcowski: „Chciej pani mówi w nim, donieść mi o swem zdrowiu, o swych zabawach i uciechach; tyle zawsze słyszę o boleści ludzkiej, o niedoli, a nigdy prawie odgłos wesela nie doleci do ucha mego.“ Nie wiem czy poznam kiedy z gruntu Amerykanów, to jednak rzecz niewątpliwa, że są nadzwyczaj serdeczni i gościnni. Gdy tylu podróżnych opisuje ich wady, niechże ktoś przecie da poznać światu ich niezaprzeczone zalety.

Wyjechałam z Bostonu ostatniego lutego o ósmej z rana. Pan King odprowadził mnie na stacyą. Professor Hau, przyniósł mi piękny bukiet! Trzymając w ręku kwiaty poleciałam na skrzydłach pary, w chłodny ale słoneczny poranek, lekka na ciele i duchu. Chmury jednak pokryły niebo i z śnieżną zamiecią przybyłam do Nowego

Jorku. Zastałam na stacyi powóz Springów, w pół godziny potem byłam w Rose Kottage, piłam herbatę, i cieszyłam się z dobremi przyjacioły.

Chcę na kilka dni ukryć się zupełnie przed światem i pokrzepić siły na daleką drogę. Wybornie mi tu, mam wszelką swobodę, powietrze tylko zimne, to też wzdycham do południowych krajów. Miałam się udać do Filadelfii z panią Kirkland, a potem z Anną Lynch do Washingtonu, gdzie się ma odbyć kongres, ale tak się lękam trudów światowego życia, że stosownie do rady przyjaciół, postanowiłam wsiąść w sobotę na parowy statek, i popłynąć prosto do Charlestown. W trzy dni będę na miejscu, a co lepsza zastanę tam rozkwitłą już wiosnę. Tu tymczasem ziemia okryta śniegiem. Ztamtąd zrobię wycieczkę do Karoliny i Georgii; marzec i kwiecień zabawię w tym raju Ameryki północnej, w maju pojadę do Washingtonu, zabawię parę tygodni powrócę tu znowu, a potem udam się na zachód, gdzie chcę odwiedzić osiadłych tam Szwedów współrodaków moich. Następnie przez wielkie jeziora dostanę się do Niagary, gdzie w końcu maja spotkam Downingów i Lowellów. Otóż taki plan mej podróży; przy pomocy Bożej wszystko pójdzie dobrze. Może potem nie tak często pisywać będę mogła, za to listy będą lepsze.

14 Marca.

Moje zamiary spełzły na niczem. Statek, na którym miałam płynąć sprzedano kompanii udającej się do Kalifornii, drugi zaś odpływa aż za dwa tygodnie. Nie mając ani czasu ani ochoty czekać, popłynę zapewne żaglowym okrętem. Jeśli wiatr będzie dobry, podróż nie

potrwa dłużej nad dni cztery. Choćby nawet przeprawa była burzliwa, zawsze przecie skończyć się musi. Mam ochotę poigrać trochę z wiatrem i falami. Śnieg pada, alem ja lekka i ochocza do podróży. Wolę być sama na oceanie, niż w oświeconych gazem salonach Nowego Jorku i Bostonu.

Przepędziłam cały tydzień w domu pani Kirkland. Nie jest tak wesoła i żartobliwa jakby z jej dzieł mniemać można. Nieszczęścia i boleści, stłumiły jej humorystyczny dowcip, wszakże niekiedy jeszcze mignie jak błyskawica. Jest to kobieta dzielna, z ciepłem sercem, prawdziwa obywatelka. Stoi niezwalczona w pośród burzy, wsparta o kotwicę wiary. Zajmuje się gorliwie wychowaniem czworga dzieci. Praca pisarska, wzbogaca duchowo jej życie. Widziałam u niej pannę Haynes, która była Missyonarką w Chinach. Młoda jeszcze i ładna. Trzyma wielką pensyą dziewcząt w Nowym Jorku. Opowiadała mi zajmujące rzeczy o pannie Dorocie Dix; tym aniele opiekuńczym więzień i szpitalów. Mam nadzieję że ją zobaczę, uścisnę zacną jej rękę, i podziękuję za wszystko co dla bliźnich uczyniła i czyni.

Widziałam także u pani Kirkland młodego podróżnika, Bajarda Tajlor, syna sławnego kaznodziei. Młody ten *Yankée* dopiero co przybył z Kalifornii. Jego opowiadania o tym kraju złota, o jego naturze, klimacie, roślinach i zwierzętach, nie mało mnie zajęły.

Ale muszę ci powiedzieć, co to jest, *Yankée*, amerykański. *Yankée* właściwie mówiąc, jest rodowitym synem Nowej Anglii, przemysłowego i przedsiębierczego ducha młodej Ameryki. To młodzian, który o własnych siłach puszcza się w życie. Nic go nie dziwi, nic go nie ustrasza, wszystko wydaje mu się podobnem. Wierzy we

wszystko, ufa wszystkiemu, wszystkiego doświadcza, a z każdej próby zwycięzko wychodzi. Jeśli upadnie, zaraz się podnosi na nogi i woła: „To nic!“ Jeśli dozna zawodu, pociesza się temi słowy. „Sprobuj znowu, dalej naprzód!“ Jakoż rozpoczyna śmiało nowe przedsięwzięcie, nie składa broni dopóki mu się nie powiedzie, a i wtedy nie ustaje w pracy. Ma niezłomną wolę działać, tak dla siebie jak dla swego kraju. Ktoś dobrze powiedział, że wszystkie uciechy świata, nie wstrzymałyby Amerykanina w jednem miejscu, gdyby wiedział, że są nieznane mu kraje na zachodzie. Musi koniecznie przyłożyć siekierę do drzew, karczować ziemię i uprawiać. Żyje w nim prawdziwy duch piratów, już nie pogańskich, ale chrześcijańskich, który zwycięża, nie po to by niszczyć, ale po to aby uszlachetniać. To też występuje do walki wesoło i dobrodusznie. *Yankée Doodle* (1), wiernie przedstawia wesołego ducha swego narodu. Nim doszedł średniego wieku był nauczycielem szkoły, uprawiał rolę, był prawnikiem, żołnierzem, literatem, mężem stanu; wszystkiego poprobował, zna się na wszystkiem, a co więcej obiegł połowę kuli ziemskiej. W każdem miejscu i w każdej okoliczności, silny jest i spokojny, bo wie, że należy do wielkiego narodu. Nie kłania się nikomu, wyjąwszy tylko samemu Bogu. Ten charakter ma zapewne śmieszną stronę, ale ma także godną szacunku przedsiębierczość i odwagę.

Poznałam mnóstwo osób w ciągu tygodnia, który spędziłam w domu pani Kirkland, poczem wróciłam do poczciwych Springów. Zacni to ludzie i prawdziwie godni

---

1) Postać zmyślona, czyli uosobienie Amerykańskiego przemysłowca, tak jak *John Buoll* uosobieniem jest Angielskiego ludu.

kochania. Jedyną ich chęcią, aby drugim dobrze czynić, aby bliźniemu dać pomoc w potrzebie. Przy tem zawsze weseli, zawsze w dobrym humorze. Myślą oboje za mnie, ułatwiają mi wszystko, pielęgnują mnie jak siostrę. Downingowie także są dla mnie nieocenieni. Byli u mnie na pożegnaniu i przywieźli mi mnóstwo najpiękniejszych kwiatków.

16 Marca.

Sama nie wiem jeszcze, jaki obrót weźmie moja żegluga. Kapitanowie okrętów, zawzięli się na mnie. Jeden z nich dowiedziawszy się kto jestem, nie chciał mnie wziąść na statek, a gdy Markus badał go o przyczynę, kapitan odrzekł stanowczo, że nie chce na okręcie kobiety autorki, którąby potem *żywcem umieściła w księdze i jego i całą przeprawę*. Daremnie Markus przekonywał go i zapewniał że nie jestem taka straszna, mimo to był niewzruszony. Muszę więc rada nie rada, czekać cały tydzień na parowy statek. Winna jestem to niepowodzenie pani Trollop i Dickensowi, którzy tak dowcipnie a zarazem złośliwie opisali morską żeglugę. Nie bardzo jednak żałuję tej przymuszonej zwłoki, bo mi dobrze w Rose-Kottage, z nieocenionemi przyjaciołmi. Byłam tu na kilku prelekcyach Emersona, który przybył na jakiś czas do Nowego Jorku. Wymowa jego wielkie tu sprawia wrażenie, słowa jak perły i dyamenty sypią się z ust jego. Czaruje wszystkich słuchaczy. Wczoraj mówiąc o *Wymowie*, chłostał bez miłosierdzia współrodaków, za przesadę i nadętość w słowach. Wystawiał za wzór piękną i poetyczną wymowę Wschodu. Zszedł z katedry wśród powszechnych oklasków.

20 Marca.

Wieczory schodzą mi przyjemnie na czytaniu i pogawędce w małem przyjacielskiem kółku. Springowie odebrali list od dawnej panny Margarety Fuller, a teraz hrabiny Ossoli. Pani Ossoli (owa filozofka o której poprzednio pisałam) jest już w drodze do Ameryki, wraz z mężem i małym synkiem urodzonym we Włoszech. Ma tu już osiąść na zawsze. Ostatni list pisała z Gibraltaru. W tkliwy bardzo sposób opisuje pogrzeb kapitana okrętu, który umarł na ospę, w ciągu przeprawy. Mówi jak go spuszczono w morze, rozpromienione różowym blaskiem zachodzącego słońca, na którem spoczywało tysiące białych powiewających żagli, jakby rój aniołów z rozwiniętymi skrzydły. We wszystkich jej listach odbija wielka tęsknota, wszystkie nacechowane szlachetną myślą, ale w żadnym nie widzę tej pychy i zarozumienia, o których tyle mi mówiono. Pani Ossoli opisuje Rebece, swoją radość macierzyńską, ślicznie się wyraża o dziecięciu. „Zaledwie (pisze ona) pojmuję własne szczęście, jestem matką istoty nieśmiertelnej! Niech Bóg ma litość nademną grzesznicą!“ To przynajmniej dalekie od pychy! Przysłała przyjaciołom skrzynkę pełną upominków. „Schowajcie to mówi na pamiątkę po mnie, w razie gdybym nie miała ujrzeć ojczystej ziemi.“ Pani Ossoli rozpoczęła podróż pod wpływem smutnego przeczucia, a od czasu śmierci kapitana, jeszcze tęskniejsze myśli dręczą ją bezustanku Dotąd jednak wszystko dobrze idzie; matka jej, trzech braci, i jedyna siostra, tudzież liczne grono przyjaciół, oczekują niecierpliwie jej powrotu.

22 Marca.

Wczoraj byłam w Akademii kobiet, w Brooklyn, gdzie założono dom wychowania dla pięciuset dziewcząt, zupełnie na sposób męzki. Podziwiałam porządek tego zakładu, jego muzeum, bibliotekę i t. d. I panienki i ich dozorczynie, bardzo mi się podobały. Czytały mi piękne utwory, tak wierszem jak prozą. Te wielkie zakłady edukacyjne dla kobiet, ułatwiają im wprawdzie nabycie wiadomości, dają im pewność siebie, ale czy przynoszą prawdziwy pożytek? wątpię bardzo. Wiele tutejszych myślących kobiet, surowo przeciwko temu powstaje. Wprawdzie nowy świat nauki, otwiera się tu przed umysłem kobiet. W matematyce, algebrze i fizyce, czynią one niezaprzeczone postępy; ale czyliż domowe ognisko nie ponosi ztąd szkody? Cnota i wdzięk niewieści czyliż na tem nie tracą? Nie raz, młoda panienka, ucząc się lekcyi z zapałem, ostro stawi się matce, patrzy na ojca z niechęcią, gdy się odważy przerwać jej naukę; duma jej podniecona bywa kosztem serca. Za wiele przywiązują wagi do szkolnych nauk. Trzebaby przynajmniej aby dziewczęta dzieliły czas, pomiędzy szkołę a dom rodzicielski. Zacne domowe ognisko będzie po wszystkie czasy, najwyższą szkołą kobiety.

Wyrzucam sobie, że tak mówię o zakładzie, w którym prawdziwie szczerego doznałam przyjęcia. Wdzięczna im jestem za to.

Gotuję się do drogi i wykończam portret moich dobrych przyjaciół. Zostawiam w ich domu połowę rzeczy i książek. Dreszcz mnie przechodzi, jak spojrzę na ogromne tomy filozofii Hegla, mitologii Skandynawskiej, które zabrałam z sobą. Miałam je czytać i badać w tym kraju: śmieję się sama z siebie, bom ich nawet nie otworzyła.

24 Marca.

Zamiast o sobie, powiem ci słówko o rzeczach powszechnie zajmujących tu ogół. Kwestya murzynów ożywiła się dziś znowu, przez połączenie się Kalifornii i Tenaksu ze Stanami Zjednoczonemi. Całe państwo podzieliéby można, na stronników niewolnictwa i abolicjonistów. Kalifornia nagle zaludniona, mianowicie przez przybyszów z północno-wschodniej strony Ameryki, przedsiebierczych wnuków pierwszych pielgrzymów, zażądała na kongresie niepodległości własnej, tudzież oswobodzenia murzynów w swym obrębie. Stany południowe jako posiadające murzynów oparły się temu, i gotowe są do ostateczności, walczyć za swe prawa. Stany północne przeciwnie, oswobodzone od dawna z niewolnictwa, walczą niemniej zacięcie, w obronie praw ludzkości.

Wzrastająca ciągle emigracya, najbiedniejszej Europejskiej ludności, szczególniej przybywającej z Irlandyi i Niemiec, wielki tu także ruch obudza. Amerykanie nie myślą kłaść jej tamy, ale pragną o ile można zużytecznić ją na korzyść kraju. Irlandczycy wielką im są pomocą w budowie dróg i kopaniu kanałów. Niemcy idą prawie wszyscy na zachód, gdzie są liczne niemieckie kolonie na dolinie Mississipi. Mają tam jeszcze poddostatkiem roboty, stosownej do sił i zdolności każdego. Na wschodzie przeciwnie, jak w Europie, więcej jest robotników niż roboty. To też ze wschodniej Ameryki tłumy ludu wycho-

dzą na zachód. Ów *Wielki Zachód*, jak go tu nazywają, rozciąga się aż do Oceanu Spokojnego; w nim leży cała nadzieja i przyszłość Ameryki północnej.

Pani Howland z Charlestonu, pisała do mnie zapraszając przyjacielsko do swego domu, wprzód jednak wysiądę w hotelu, i wypocznę kilka dni z drogi; a potem zobaczemy.

XII.

Charlestown (Karolina południowa) 28 Marca.

Spodziewałam się znaleźć tu lato, zawiodłam się jednak zupełnie. Zimno tu jeszcze i chmurno, nie podobna rozstać się z odzieżą zimową. Nie potrwa to jednak długo: Drzewa kryją się już zielenią, lilje, róże i pomarańcze zaczynają kwitnąć w ogrodach; a promień słoneczny, przedziera smętne obłoki. Tylko patrzeć jak się rozpoczną letnie skwary.

Ostatnie dni pobytu mego w Nowym Jorku, nadzwyczaj były słotne. Wsiadłam na statek drżąc od chłodu, śnieg pokrywał dachy i ulice; przyjaciele moi, Markus, żona jego i dzieci, odprowadzili mnie aż do statku. On sam niósł moje pakunki, polecił mnie opiece kapitana, słowem, myślał o wszystkiem. Pożegnali mnie w końcu, bratnim pocałunkiem, statek odbił od brzegu, a mnie smutno było, po rozłączeniu się z poczciwemi Springami.

Pierwszy dzień podróży chłodny był i pochmurny. Unikałam obcych, wyjąwszy dwojga kwakrów, męża i żony, których postawa milcząca i spokojna, zajęła mnie bardzo. Byli to ludzie w średnim wieku, mąż wydawał się chory. Jechali na południe, dla pokrzepienia zdrowia. Nazajutrz słońce zaświeciło pogodnie, czuć było czarodziejski powiew wiosny. Niebo i morze połyskały złotem, siła żywotna napełniała powietrze. Dusza moja tonęła w nieznanym zachwycie. Stałam sama jedna na moście, i patrzałam jak gasły promienie słoneczne, a księżyc wypływał na widnokrąg poważnie i milcząco. Gwiazda biegunowa zabłysła w oddaleniu, a Orjon i Syrjusz świeciły mi nad głową. Płynęły godziny, a ja nie myślałam o sobie, podziwiałam tylko piękność Bożego świata i nieskończoną dobroć Stwórcy; bałam się tylko, aby cokolwiekbądź nie przerwało tego uroczystego milczenia, tej ciszy i radości mego ducha. Srebrny promień księżyca, pląsał swobodnie po fali, podczas gdyśmy zmierzali w stronę przylądku Hatteras; niebezpieczne to miejsce dla żeglarzy, nie mało ofiar pochłonęło tu morze. Nam jednak Bóg poszczęścił; fale biegły cicho jedna za drugą, wiatr milczał, synogardlice gruchały, żeglarze posnęli i szczęśliwie minęliśmy przylądek o północy.

Wielu podróżnych cierpiąc chorobę morską, schroniło się do kajut, inni grali w karty na pomoście. Ja siedziałam przy milczącej rodzinie kwakrów, i czytałam historyą Stanów Zjednoczonych *Bankrofta*.

Przybyliśmy do Charlestonu, rano czwartego dnia podróży. Czas był chłodny i nie miły, ale brzegi lądu pokryte ciemnym lasem cedrowym, niepospolity przedstawiały obraz. Wszystko nowem było dla mnie, samo miasto więcej miało pozór miast Europejskich niźli Nowy Jork i Boston. Pani Howland uprzedzona o moim przybyciu, wysłała naprzeciw mnie brata, z prośbą, abym dom

jej uważała za własny. Wolałam jednak na czas jakiś pozostać w hotelu, i rozpatrzyć się swobodnie w koło. Przez parę godzin chodziłam sama po mieście. Domy otoczone ogrodami i tarassami pełnemi drzew i kwiatów, uroczy przedstawiają widok. Kwitnące pomarańcze napełniają wonią powietrze. Wielu z tutejszych drzew nie znam wcale, patrzę więc ciekawie, na rozwijające się ich liście. Murzyni roją się po ulicach. Wraz z mulatami składają oni dwie trzecie części tutejszej ludności, szpetni są, ale dość swobodni i otyli, zwłaszcza mulatki i murzynki. Kobiety noszą na głowach pstre chustki, zawiązane malowniczo. Po murzynach zastanawiają mnie najwięcej na ulicach tutejszych, wielkie dzikie ptaki, (podobne do naszych jędyk), które zlatują tu stadami szukając pożywienia: a tak są łaskawe, że widok człowieka bynajmniej ich nie trwoży.

29 Marca.

Zimno ciągle niesłychane. O piątej z rana słyszałam, jak huk bębna wzywał na robotę murzynów. Wczoraj po południu znajoma mi rodzina ze Stanów Północnych, która mieszka w hotelu, wezwała mnie z sobą na przejażdżkę. Jak zasięgnąć okiem, widać w koło szeroką płaszczyznę. Zielone gaje, bujne plantacye i woda, stanowią całą jej piękność. Miasto zbudowano nad morzem, dwie rzeki Aschlej i Kooper, okrążając je w koło, dają mu pozór pół wyspu. Przyjaciele moi częstowali mnie bananami, nieznanym mi dotąd pod zwrotnikowym owocem, który przywożą tu z Kuby. Banany słodkie są, trochę mgłe, podobne kształtem do nasiennych ogórków, a mię-

sem do melona. Wątpię abym się kiedy pojednała z tym owocem, skosztowawszy go, mniemałam żem ugryzła bryłę szarego mydła.

Zabawię tu kilka dni, potem udam się na południe, do Sawanach i Augusta w Georgii, gdzie zaprosiła mnie od dawna rodzina Bonnes, i panna Longstreet, z którą jeśli pamiętasz odbyłam morską podróż do Nowego Jorku. Zabawię tam przez kwiecień, najpiękniejszy miesiąc w tych stronach. Pragnę zwiedzić niektóre plantacye, poznam tutejsze życie, tutejszą naturę, a przedewszystkiem wniknę w społeczne stosunki. W ogóle unikam rozpraw o murzynach, nie chcąc obudzić podejrzenia; gdy napotkam jednak ludzi prawdziwie światłych i bezstronnych, badać ich będę pilnie w tym względzie. Obszerniejszy list odbierzesz odemnie z Sawanah.

Następne listy Fryd. Bremer pomieszczone zostaną w dalszych tomach Rozrywek.

RODZINA OBYWATELSKA.

(Wyjątek ze wspomnień mojej młodości).

W dziecinnym i młodocianym wieku moim, wolne od nauk szkolnych miesiące przepędzałem w Kujawach. Z tych okolic i czasów, zachowałem miłe wspomnienia, jedne z najpierwszych, do których się myśl moja odnosi.

Kilka z tych wspomnień, skreślę dla was młodzi czytelnicy Rozrywek. A że w różnych stronach kraju mieszkacie, będzie to więc także niejakim zarysem jednej części ziemi naszej.

Kujawy, znane od dawna z żyzności gruntu, dzieliły się na *polne* i *leśne*. Było to tak przed kilkudziesięciu laty; bo dziś przez wyniszczenie lasów, wszystkie zamieniły się w *polne*. Lecz właściwe *polne* Kujawy słynęły żyznością ziemi, której chyba część Gostyńskiego wyrównywa, a samo tylko Hrubieszowskie przewyższa. Liczne zatem były w Kujawach wioski i dwory, na obszernych czarnoziemiach rozsypane. Nie ma tam lasów, bo ziemia zanadto jest dobra, aby ją pod las przeznaczać można. Wielkie lasy pod Toruniem, po drugiej stronie Gopła i w tak zwanych leśnych Kujawach, ze strony Koła i Sampolna dostarczały opału. Oprócz tego, nasi przezorni i rozsądni ojcowie, przy każdej niemal wiosce, zostawili piękny gaik dębowy, kilkanaście morgów, a czasem i włukę roli obejmujący. Taki gaj dostarczał drzewa porządkowego, chłodu w upał, schronienia przed słotą, mile urozmaicał jednostajność dalekich łanów, a biednemu ludowi udzielał skromnego ale niezbędnego opału. Późniejsi posiadacze, powycinali te gaje, przez co bardzo wiele wdzięku odjęli tej okolicy. Lud dorodny, ochoczy do pracy i do zabaw, pierwsze miejsce po Krakowiakach zajmował. Znane są ich piosenki i tańce. Zdaje się nawet, że jakaś wspólność plemienia łączyła przed wiekami Kujawiaków i Dobrzyniaków z Krakowiakami; ślady tego pozostały dotąd w wysmukłym wzroście i w żywości temperamentu.

Obywatele, to jest szlachta kujawska, oddaleni od Warszawy, długo zachowywali dawną szczerość i prostotę. Jeszcze za moich lat młodocianych, w bardzo wielu porządnych i zamożnych domach, nie było zbytku, ani w powozach, ani w pomieszkaniu i meblach, ani w przyjęciu gościa. Nie raz po obiedzie, rozmawiając, o gospodarstwie, odwilżaliśmy usta nasze, smacznem wytrawnem domowem piwem. O winie mało kto pomyślał, a jeśli nim częstowano, to francuzkiem sprowadzanem z Bydgoszczy i Torunia, kosztującym po sześć złotych *garniec*. Ale już zbytki zaczynały się szerzyć. Za pruskich czasów, gdy obywatele przestali zajmować się sprawami politycz-

nemi, a do naukowego zajęcia mało mieli żywiołów, zaczęli bawić się i tracić na zabój. Szalonym marnotrawcom Berlin otworzył kassy swoje. Wojny Napoleońskie zaskoczyły zadłużonych i niemających zasobu. Ciężary wojenne wtrąciły obywateli kujawskich w bardzo przykre położenie, i może w żadnej części kraju naszego, nie nastąpiło tak zupełne niemal przejście majątków w inne ręce jak w Kujawach. Mógłbym kilkanaście wiosek wyliczyć, gdzie bywałem w młodocianych latach moich, których właściciele wyprzedali swoje majątki, i przenieśli się w inne strony; lecz to nie należy do mojego obrazu i nie chcę zresztą, dla ich potomków, obudzać bolesnego wspomnienia. Przed czterdziestu i sześcią laty: to jest przed wojną roku 1812 i 1813, było w Kujawach obok domów na pół arystokratycznych i marnotrawnych, nie mało zacnej szlachty z pomiernego stanu. Z jedną taką rodziną, matka moja już owdowiała, połączona była z razu sąsiedzką znajomością, a potem ścisłą przyjaźnią.

Otóż więc, tuż przy samej teraźniejszej granicy pruskiej, (w epoce Księztwa Warszawskiego, granica ta szła daleko za Bydgoszczą), jest wieś obszerna i ludna: nazwę ją Brodowem; bo wspominając o wypadkach nie tak dawnych, muszę zmienić nazwiska.

Ta wieś od wielu lat należała do pani wojewodziny *Dąb*..... osoby już w późnym wieku, która większą część majątku wypuściwszy synowi, zostawiła Brodowo dla siebie. Od lat wielu dzierżawił ją pan Miłowieski, obywatel zacny, rządny, prawy. Chodził po dawnemu, pamiętam go dobrze; twarz okrągła, rumiana, pogodna, wzrost mierny, tusza nie zła, lecz nie zbyt otyła, czyniły go typem owej naszej starodawnej szlachty, której obrazy czytamy z takiem upodobaniem w powieściach

naszych znamienitych pisarzy. Gospodarował po dawnemu, bez wielkiego wysilenia i mozołów. Rodzina jego, składała się z sześciu synów i ośmiu córek. Najstarszy syn już był w wojsku i poległ w kampanii 1812 roku; dwaj młodsi pomagali ojcu w gospodarstwie, a trzech jeszcze było niedorostków. Toż samo stopniowanie zachodziło i pomiędzy córkami. Hoże, przystojne, piękne nawet dziewice, były czystym prawdziwym wzorem dawnego plemienia polskiego dziś już tak wyrodzonego. Przy tak licznem rodzeństwie, nie było tam zbytku i wystawy; dzierżawca wioski, chociaż jednej z najpiękniejszej w Kujawach, nie mógł ani pomyśleć o zrobieniu majątku. Za to dziękowano Bogu, że nie było niedostatku, że rok za rokiem zapłacono dzierżawę, zaspokojono wydatki domowe i łożono na skromną lecz pobożną i poczciwą edukacyą tak licznego potomstwa. Rodzinę państwa Miłowieskich, łączyło rzadkie ogniwo jedności i pomocy braterskiej, a cechą wszystkich, tak ojca i matki, jak córek i synów, była skromność, łagodność i pobożność. Nikt nie odosobniał się, wszyscy pracowali około wspólnego dobra i to właśnie stało się ich ocaleniem, gdy przyszły na nich dni ucisku i niedoli.

Średni z braci Miłowieskich był młodym człowiekiem, bardzo uprzejmym. Szczególne miał zamiłowanie w pszczolnictwie i nikomu tak dobrze nie wiodły się pszczoły jak jemu. W Brodowie u rodziców swoich, zaprowadził pasiekę, która koło dwóchset rojów liczyła Roje trzymał w słomianych ulach, czyli koszkach, jak je zwykle nazywają. Wdzięczne robotnice, wynagradzały chojnie młodemu pszczolarzowi, starania koło nich podejmowane. Tak znaczna pasieka przynosiła piękny dochód i nie małą była pomocą. Gdzie tylko bywał pan Piotr,

a w całej okolicy był pożądanym gościem, tam wszędzie zaprowadzał pasieki, doglądał je, przyjeżdżał w porze rojenia się, opatrywał na zimę, nauczał jak się z pszczołami obchodzić. Bywając w domu naszym, podarował nam dwa roje, a z nich tak prędko wzrosła pasieka, że w trzecim roku już dwadzieścia kilka rojów liczyła. Prawda, że ogród obszerny, obsadzony w koło wysokiemi lipami i szpalerami lipowemi przecięty, dostarczał im obfitego pokarmu.

Około roku 1813, umarła wojewodzina *Dąb*..... dziedziczka Brodowa, w wieku bardzo sędziwym. Stary pan Miłowieski, wypłacając jej coroczną dzierżawę, brał od niej dawnym zwyczajem, kwitki na kawałku papieru, podpisane tylko przez nią, bo starościna już nie była w stanie napisać całego kwitu.

Jej syn wojewodzic posiadał obszerne dobra w rozmaitych stronach kraju naszego. Był to człowiek dziwaczny i prędko uprzedzający się, a przytem tak uparty, że jak raz już o czem utworzył sobie wyobrażenie, to go niczem przekonać, niczem nakłonić nie można było. Do obszernych majątków swoich potrzebował plenipotenta. Panu plenipotentowi podobała się najstarsza córka państwa Miłowieskich, właśnie w dobie wieku i urody będąca. Nie uzyskał wzajemności panny i dostał, jak dawniej mówiono, odprawę. Ztąd powstała nieprzebłagana nienawiść i zemsta. Plenipotent przełożył wojewodzicowi, że kwity jego matki, że przyznane i podpisane przez nią niektóre wynagrodzenia dzierżawcy za bonifikacye i straty wojenne, są podrobione, czyli po prostu mówiąc fałszywe, że zatem należy się od dzierżawcy około trzydziestu tysięcy złotych. Opatrzony zupełnie nieograniczonem pełnomocnictwem swego pryncypała, uzyskał

eksmissyą państwa Miłowieskich z Brodowa, a za uroszczone pretensye, przyaresztował wszystkie inwentarze, pszczoły, a nawet i część sprzętów domowych. Daremnie pan Miłowieski jeździł do jaśnie wielmożnego wojewodzica, zapewniając na sumienie swoje i na Boga, rzetelność i prawdę kwitów jego matki; daremnie chciał się zdać na sąd obywatelski; daremnie najszanowniejsi obywatele z okolicy, osobiście i listownie usiłowali przekonać wojewodzica, że ten obywatel, szanowany w całych Kujawach, nie jest zdolny dopuścić się podłości przeniewierstwa, że gotowi są zaprzysiądz rzetelność podpisu jego matki. Wojewodzic zawsze jedno powtarzał: „Ja się w to nie wdaję; wszystkie interesa zdałem na mojego plenipotenta; niech robi to, co uznaje za rzecz sprawiedliwą i zgodną z mojem dobrem On za to odpowie ludziom i Bogu.“

Tak to głupstwo i upór, doprowadza do takich samych czynów i takie same skutki zrządza, co złość i przewrotność; macie tego przykład na wojewodzicu. Może to nie był zły człowiek w gruncie serca, ale powodowany uporem i uprzedzeniem, naraził zacną i poczciwą rodzinę obywatelską, na ciężkie zmartwienia i prawie na ostateczny upadek.

Ciągnęła się więc sprawa. Tymczasem państwo Miłowiescy, wzięli w dzierżawę nie wielką wioskę Kąty, właśnie graniczącą z posiadłością po ojcu moim. Zaledwie tyle uratowali z całego mienia swego, że przy dobroci i względności obywatela: który im wypuścił tę wioskę, widząc ich smutne położenie: jako tako żyć mogli, przynajmniej nie o głodzie i nie bez przytułku. Lecz jedna bieda nigdy sama nie przyjdzie. Na domiar nieszczęścia, pożar zniszczył dwór w Kątach, a z nim i resztki ruchomości państwa Miłowieskich. Ten cios dobił sędziwego ojca, którego zdrowie

i tak już było zachwiane zmartwieniem. „Nie tyle mię boli, mawiał on nie raz, strata mojego mienia co zarzut mojej dobrej sławie uczyniony. Całe życie pracowałem na to, aby sobie na poczciwe imie zasłużyć, a tu mię obwiniają o fałszowanie podpisów mojej dawnej dziedziczki, o korzystanie z jej dobroduszności i podeszłego wieku.“ W kilka miesięcy po spaleniu dworu w Kątach, gdy cała ta zacna rodzina musiała mieścić się w dwóch izbach chłopskich, umarł pan Miłowieski, otoczony gronem dzieci, a przy zgonie przebaczył jako chrześcijanin, prześladowcy swojemu owemu plenipotentowi, i wojewodzicowi, który był ślepem narzędziem złości swojego sługi.

Sprawa z wojewodzicem osądzona została w Trybunale pierwszej instancyi na stronę pokrzywdzonej rodziny; plenipotent zaapellował, przegrał powtórnie i odwołał się do sądu najwyższego. I tam podobnego doznał losu. Kwity wojewodziny ostatecznie sąd uznał za ważne, a rodzinę odesłał do osobnej drogi, aby w niej żądali wynagrodzenia za poniesione straty. Znowu zatem sprawa ciągnęła się przez wszystkie trzy instancye. Proces ten trwał lat ośm. Ile przez ten czas pani Miłowieska i jej dzieci strat poniosły, ile wydatków łożyć musiały na prowadzenie sprawy, to każdy znający prawo, wytłomaczy wam młodzi czytelnicy i czytelniczki i zgodzi się na moje zdanie, że ostatecznie zasądzone trzydzieści tysięcy od wojewodzica na rzecz Miłowieskich, nie wynagrodziły ani połowy strat i wydatków, a cóż mogło wynagrodzić śmierć ukochanego ojca, łzy matki i biednych sierot?

W ten czas, to rezygnacya, pobożność chrześcijańska, przywiązanie braterskie, dopomogły tej zacnej rodzinie do zniesienia tylu ciosów. Zmniejszyło się jej kółko. Dwaj najmłodsi synowie weszli do wojska, które formowało się z woli Najjaśniejszego Cesarza Aleksandra r. 1815. Dwie córki poszły za mąż za urzędników powiatowych; brat rodzony pana Miłowieskiego, obywatel zamożny, zajął się losem jednego synowca i synowicy. Dwie córki bawiły się w sąsiednich domach obywatelskich. Przy matce pozostało dwóch synów i trzy córki. Pan Piotr, który chociaż trzeci z porządku, był głową rodziny doglądał prowadzenia nieszczęśliwej sprawy. Młodszy brat trudnił się gospodarstwem wiejskiem, na małej wiosce, którą wzięli w dzierżawę. W owym czasie, ilekroć ze szkół a następnie z uniwersytetu przyjechałem do matki w Kujawy, zawsze odwiedzałem dom pani Miłowieskiej i zachowałem wspomnienie ich uprzejmości i tych cichych cnót domowych, któremi osładzali dolę swoją. Gdy przecież po ostatecznej wygranej wyegzekwowali na wojewodzicu, najprzód część, a potem resztę zasądzonej pretensyi, ich byt polepszył się trochę. Wzięli prawem zastawy, wioskę w Kujawach borowych leżącą i spodziewali się, że tam czas już pewien zamieszkają.

Było to w roku 1821. Odebrałem wtedy na siebie majętność, którą mój ojciec kupił w Kujawach roku 1806, opustoszałą przez ciąg kilkoletniej dzierżawy. Interesa zmusiły mię na czas opuścić literacki i nauczycielski mój zawód, któremu oddawałem się od roku 1719.

Pan Piotr Miłowieski którego znałem już dorosłym mężczyzną, gdy ja byłem jeszcze uczniem klassy trzeciej, liczył już około trzydziestu lat; blondyn, średniego wzrostu, trochę już łysy; zawsze był tak miłym w towarzystwie i stosunkach obywatelskich, iż każdy kto go tylko poznał, kochać go musiał. Ustaliwszy ile było można los matki i siostr, po ukończeniu owej nieszczęśliwej sprawy z wojewodzicem, umyślił ożenić się. Powziął przywiązanie

i zyskał wzajemność pewnej córki obywatelskiej z Kujaw pruskich, blizko linii granicznej. W owych czasach spokojnych przejazd do kraju pruskiego był tak ułatwiony dla obywateli nadgranicznych, iż dosyć było, proste świadectwo wójta gminy okazać strażnikowi przy komorze. Pan Piotr Miłowieski zaproponował mi, abym pojechał z nim do Zakrzewa do domu rodziców jego przyszłej. Wsiadł na moją bryczkę, a jego siostry pojechały końmi i powozikiem brata. Odległość nie przenosiła dwóch mil. Był to dzień ciepły i pogodny, około piętnastego lipca. Powiedziałem już, że gdzie tylko bywał pan Piotr Miłowieski, tam być musiała pasieka. I w Zakrzewie, już liczyła przeszło trzydzieści ulów, bo pan Piotr już od lat dwóch bywał w tym domu. Przyjęto mię z prawdziwie dawną gościnnością. Przyszła małżonka pana Piotra, była przystojna i dobrze ułożona panienka; toż samo powiedzieć mogę o jej dwóch siostrach, czy też kuzynkach, bo tego już dobrze nie pamiętam. Siedziemy przy śniadaniu, gdy w tem wpada chłopak dozorujący pasiekę i woła: „Proszę państwa, pszczoły się roją i to aż kilka ulów razem; trzeba je obsadzać, bo ja sobie rady nie dam.“

Na te słowa pan Piotr i wszystkie panny wybiegają przez szklanne drzwi do ogrodu, gdzie na ławkach stały rzędy ulów słomianych. Roje pszczół uwijały się w koło.

— „Panie Franciszku, rzecze do mnie pan Piotr, uprzedzam cię, abyś żadnej pszczoły nie zganiał i nie trącił. Choćby cię jak najwięcej obsiadło, nie poruszaj ich a nic ci nie zrobią. Nasze panny wiedzą o tem dobrze. Pszczoła kiedy się roi, wtenczas nie kąsa. Ale pamiętaj abyś której przypadkiem lub z umysłu nie zgniótł, wtedy bowiem wpadły by na ciebie gromadą. Musisz pomagać pannom do obsadzenia rojów,

Obsadzanie to odbywało się bardzo prostym sposobem. Dwie panny wzięły ul słomiany, wysmarowany wewnątrz melissą i zwracały go w tę stronę, gdzie kłąb gęsty pszczół wyleciawszy z ula, leciał nad ziemią. Skoro tylko główna gromada, razem z matką dostała się wewnątrz słomianego ula, wtedy stawiano go ostrożnie na ławce. Mnóstwo pszczół czepiało się jeszcze na sukniach i na włosach. Panny stały spokojnie przy ulu, a pszczoły jedna za drugą odlatywały do swej nowej siedziby. Potem zwolna oddalały się od ula, a pszczoła za pszczołą opuszczała je; ostatnia odleciała, gdy wchodziły do pokoju. Poszedłem za tym przykładem i pomagając tak miłemu zatrudnieniu, obsadziłem dwa roje. Pierwszy raz wtedy, a zapewne i ostatni w życiu, byłem bartnikiem. Przestroga i doświadczenie pana Piotra sprawdziły się zupełnie. Obsadzono w tym dniu ośm rojów; nie użyto ani kapy ochronnej, ani podkadzań, ani dzwonienia i nikogo żadna pszczoła nie ukąsiła. Wieczorem w noc pogodną, wróciliśmy do domu.

Może rozumiecie zacne czytelniczki Rozrywek, iż wam napiszę, że pan Piotr Miłowieski ożeniwszy się ze swoją narzeczoną, jest dziś sędziwym obywatelem, patryarchą wnuków i wnuczek! Niestety! nie mogę zakończyć tego wspomnienia tak miłym obrazem! Ukorzmy się przed niedościgłemi wyrokami Opatrzności Bożej, która tego wzorowego syna i obywatela, powołała wcześnie do przyszłego życia, może dla tego, aby go od ciężkich prób, cierpień i zawodów uchronić. Ślub jego był naznaczony na jesieni przed adwentem tegoż roku. Na parę tygodni przed ślubem, narzeczona zachorowała na gorączkę tyfoidalną. Pan Piotr Miłowieski, nie odstąpił jej ani na chwilę przez cały czas choroby. Trzy tygodnie walczyła ze śmiercią,

nareszcie młodość zwyciężyła i chora przyszła do zdrowia, lecz on wycieńczony bezsennością i zmartwieniem, dostał tej samej choroby i w dziesięć dni potem życie zakończył.

Matka nie mogła znieść straty ukochanego syna i wkrótce pospieszyła za nim do grobu, aby w lepszym świecie połączyć się z małżonkiem i towarzyszem swojej młodości, i z synem, który był podporą i nadzieją jej lat sędziwych. Ogniwa wzajemnego przywiązania nie rozerwały się ze zgonem tych, którzy byli duszą tej rodziny. Pozostali bracia i siostry zawsze z sobą zgodni, zawsze kochający się wzajem, przebywają za wspólną pomocą, ciernistą drogę tego życia. Dziś jeszcze żyje dziesięcioro z tego rodzeństwa. Panny powychodziły za mąż i owdowiały. Bracia są już sędziwemi ojcami rodziny. Lecz zawsze duch miłości braterskiej, ożywia ich serca i spokojnym krokiem zbliżają się do tej przystani, która nas wszystkich czeka.

Niech wam ten obraz, zbyt może słabo i za krótko skreślony, będzie przykładem i zachętą do miłości braterskiej; ona to utrzymuje rodzinną zagrodę, przy niej zniesiecie najsroższe ciosy, największe przeciwności; bez niej w proch rozsypie się dostatek, a życie będzie martwem i zimnem jak głaz grobowy.

F. S. D.

O JONKU. (*)

POWIASTKA CZESKA, ZE ZBIORU BOŻENY NIEMCOWEJ.

Szewc Marek miał dwóch synów: Józefa i Jonka Jonek był szewcem jako i jego ojciec; że zaś był pysznym i upartym nikt go nie lubił. Jonek wszystko co zobaczył jeno, wnet i sam umiał zrobić, był przytem dobry, przebiegły, usłużny i co się zowie dorodny chłopiec, lecz

(*) Bujna fantazya ludu najwięcej odbija w jego powieściach. Lud nie troszczy się o prawdopodobieństwo w opowiadaniu dziwnych przygód, idzie mu tylko o to, aby wyraził prawdę moralną, o której głębokie ma przekonanie. Śmiało on idzie do celu, lotem wyobraźni dalekie przebiega przestrzenie, a gdy mu potrzeba dosadniej myśl określić, bez namysłu wstępuje nawet do piekła. Ta wielka bujność wyobraźni, uderza nas w utworach wszystkich niemal ludów. Uczony Fr. Ozanam, badając poetyczne źródła *Boskiej komedyi* udowodnił, że ten poemat nieśmiertelnego Danta, ściśle osnuty jest na podaniach, które od wieków krążyły w ustach Włoskiego ludu, a wyszły z głębokiej starożytności. Jedność w pomysłach wszystkich ludów, jest dla badaczów skazówką jedności ludzkiego rodu.

Aby okazać o ile Słowiańszczyzna nie ustępuje innym ludom w bogactwie fantazyi, dajemy tu małą Czeską powiastkę przekładu Romana Zamorskiego, badacza starych Słowiańskich pomników, który przysłużył się naszej literaturze przekładem Serbskich pieśni. *(przypis Redakcyi).*

miał tę wadę, że niczem się stale zatrudnić, do niczego porządnie wziąść się nie chciał. Dla tego też brat Józef, który mu nie sprzyjał, przezywał go głupim Jonkiem; ojciec jednak mimo wszystko Jonka bardzo kochał.

Jednego razu Józef odezwał się do swego ojca:

„Mój miły panie ojcze, jakkolwiek już dosyć umiem, radbym się coś więcej w świecie nauczyć, pozwólcież mi iść z domu między ludzi.“

— „No, kiedyć sam chcesz, bronić ci nie mogę.“

I tak tedy Józef poszedł w świat.

Trzeciego dnia swej wędrówki, siadłszy sobie spocząć na miedzy śród pola, wydobył z tobołków swoich kawał chleba i począł zajadać. Tutaj na około niego zbiegło się tysiące mrówek i otoczywszy go zdały się o posiłek prosić. Ale on gniewnie otrząsnął się z tych co na niego weszły i nie dał zwierzątkom ani kruszyny.

— „Poczekajże! poczekaj! i my ci pomocy nie damy,“ wołały za odchodzącym mrówki, lecz on rozśmiał się tylko i szedł dalej.

Na trzeci dzień znów nadszedł na łąkę zieloną, na której dwoje diabłów biło się ze sobą.

— „Pójdź no Józefie! pomóż mi“ zawołał jeden na niego; lecz on oburknął się tylko: Co mi do ciebie? dla mnie się sobie i zabijcie! — co mi to szkodzi!“

— „Idź! idź!“ krzyknęli diabli, „i my ci też nie pomożem!“ Ale on nie oglądając się szedł dalej.

I znów przyszedł nad jezioro, na którego brzegu leżał niezmierny karp', rzucając się, a nie mogąc do wody się dostać.

— „Proszę cię Józefie! wrzuć mnie do jeziora,“ błagał karp' gdy szewc mimo przechodził.

— „A dajcie wy mnie wszyscy święty pokój, a pomóżcie sobie sami,“ odpowiedział i zaniechał karpia w błocie.

— „I ja ci też pewno nie pomogę,“ wołał karp' za odchodzącym; lecz on śmiejąc się szedł dalej.

Długo obchodził po świecie, nigdzie jednakże nie znalazł roboty i wszędzie źle mu się wiodło; musiał nareszcie powrócić do domu.

— „Prędko coś wracasz do domu, Józefie! i pewnie nie wiele ze sobą przynosisz?“ rzekł Jonek ujrzawszy brata.

— „A czekajno idź no ty tylko, a zobaczymy o wiele mędrszym powrócisz i co ze sobą przyniesiesz.“

— „I zapewne też że pójdę! dla czego nie miałbym iść?“ odpowiedział obruszony Jonek. Bardzo go korciło, że go Józef miał za głupca i chciał pokazać się, że ma też głowę na karku, opowiedział się więc ojcu:

— „A ciebie znowu co napadło Jonku?“ zadziwił się stary, że się chcesz w świat puszczać? Zostań lepiej w domu, a weź się do czego. Czy myślisz, że ci gdzie będą pieczone gołębie do gęby leciały?“

— „Wiem ci ja to wszystko; ale nie chcę żeby mnie brat głupcem przezywał,“ rzekł rozperzony Jonek.

— „Idźże, kiedy chcesz koniecznie, tylko się przecie naucz czego w świecie.“ I tak miły Jonek począł się wybierać w drogę.

Wieczorem, w wigilią, wyjścia z domu, Marek wziąwszy go za rękę, zawiódł do sklepu, o kilka kroków za domostwem leżącego. Wszedłszy tam, odwalił w kącie kamień i wydostał flaszeczkę maleńką, wodą napełnioną.

— „Patrzaj Jonku!“ rzekł do syna, „tę oto wodę dostałem w upominku od jednego wielkiego mędrca, któremu raz przyszedłem z pomocą w nieszczęściu. Kto z niej

piętnaście kropel zażyje, wstanie zaraz zdrów z każdej choroby. Ja jej nie potrzebowałem i tak została w schowaniu. Bratu twojemu dać jej nie chciałem, bo wiem, żeby nią nikomu nie pomógł; ale tobie powierzam ją, może ci szczęście przyniesie. Miej ją tylko w dobrej pieczy.“

Jonek flaszeczkę schował i wyszli ze sklepu. Na drugi dzień, rozłączywszy się z dobrym ojcem i złym bratem puścił się tą samą drogą, którą poprzednio szedł Józef. I stało się, że przyszedł na tę samą miedzę, gdzie wpierw brat jego odpoczywał, usiadł na niej, wyjął kęs chleba i począł jeść. Wnet go do koła, aż czarno obsypały mrówki.

— „I wyście głodne biedne zwierzęta! nikt wam tutaj nic nieda... Poczekajcie, ja dam wam co mam.“ I rozkruszywszy cały kawał chleba, rozsypał go po ziemi. Niebogie mrówki rzuciły się i jadły. Jonek, chwile na nie popatrzywszy, zabierał się iść dalej.

— „Kiedy ci będzie potrzeba i my ci przyjdziem z pomocą,“ wołały za nim mrówki.

— „Wy byście mi w czem pomódz miały? biedne stworzenia! pomyślał sobie Jonek.

Drugiego dnia natrafił na zieloną łąkę i zobaczył bijące się na niej dwa diabły.

— „Ot głupcy! jak się to drą z sobą, trzeba ich rozbroić,“ rzekł i poskoczywszy przywiódł ich do zgody.

— „Jak będziesz kiedy Jonku, potrzebować od nas czego, przyjdź a my ci dopomożem,“ rzekli odchodząc diabli.

— „Dobrze,“ odpowiedział Jonek i szedł dalej w swoją drogę.

Trzeciego dnia zaszedł nad jezioro i ujrzał ogromnego karpia, miotającego się w błocie, a nie mogącego się dostać do wody.

— „Ty byś się tutaj zamęczył, biedaku! rzekł dobrotliwy Jonek a wziąwszy z błota, rzucił go do wody.

— „Kiedykolwiek będziesz co miał żądać odemnie, zawołaj tylko, przemówił, głowę z wody wynurzając, karp'.“

— „Dobrze! pewno, że tak zrobię.“

Od jeziora szedł prosto do wielkiego miasta, a zaszedłszy do gospody, pytał, co nowego słychać?

— „Cóż ma być słychać! oto że księżniczce co chwila gorzej i gorzej.“

— „A co to jej jest?“ zapytał Jonek.

— „Musicie tu być obcy, kiedy nie wiecie. Od kilku to już lat ona choruje, a nikt jej pomódz nie może, chociaż król temu coby ją wyleczył, za żonę ją dać obiecał.

— „A czy ładna?“

— „Oczewiście, odrzekł gościnny, jak obrazek, choć i chora. Ma tylko jedną wadę, że bardzo harda.

— „To się da naprawić,“ pomyślał Jonek i zapłaciwszy gospodarzowi szedł do króla. Gdy przyszedłszy za lekarza się opowiedział, król go zawołał a radośnie przyjął i na prośbę jego księżniczkę zobaczyć przyzwolił. Wypytywał się jej Jonek o wszystko, niby Bóg wie jak uczony lekarz; wszystko żeby z nią tylko dłużej mówić, bo mu się bardzo udała. Nareszcie dobywszy flaszeczki, dał jej kilka kropli uzdrawiającej wody; odchodząc zaś przyrzekł przyjść nazajutrz, aby zobaczyć skutek lekarstwa. W nocy nie mógł spać ze strachu czy jej zaś jutro gorzej nie będzie.

Nazajutrz, skoro dzień tylko, był już u króla i ucieszył się nie mało, słysząc, że księżniczka lepiej się miewa:

zadał jej tedy resztę swoich kropli, ile od wczoraj do piętnastu brakowało. Trzeciego dnia królewna była zdrową, a jemu narzeczoną. Jak wielka ztąd była jego radość, tak wielkie jej strapienie, gdyż Jonek zgoła się jej nie podobał; jakkolwiek był bowiem dorodnym chłopcem i nikt mu w tem nie mógł ubliżyć, teraz przecież, w podartych sukniach, bardzo źle się wydawał. Najboleśniej pycha panny ztąd cierpiała, że właśnie w tych samych szatach uparł się brać z nią ślub. Lecz cóż naprzeciw miała począć? ojciec tak chciał, a córka wiedziała, że musi iść za swem przeznaczeniem. Zaczęła jednak wywijać kominki myśląc że mu się chytrością wywinie. I tak skazała Jankowi, że go dopóty za męża nie przyjmie, dopókiby nie wykonał trzech rzeczy, jakich ona żąda. Z miłości dla niej czegóżby Jonek nie zrobił? Wszystko więc jej chętnie przyrzekł. Ona tedy powiedziała mu, ażeby jej w przeciągu dni siedmiu przyniósł z morza perłę, najpiękniejszą i największą, jakiej nikt dotąd w świecie nie posiada.

Trudna to była dla Jonka sprawa. „Żebym ci to mógł, jak ryba dać nurka w głębiny morskie!“ pomyślał i wtem wspomniał sobie o karpiu, „wszakże mi obiecał, że dopomoże w potrzebie, pójdęż z tem do niego.“

Zatem rozstał się z królem i królewną. Król czynił córce wyrzuty, że tak igra ze swoim zbawcą, ale sam Jonek uniewinniał ją, utrzymując, że wszystko rad spełni; w duchu jednak umyślił pomścić się na miłej. I tak odszedł ku jezioru.

Znając drogę wnet tam trafił i stanąwszy na pobrzeżu przyglądał się czystemu zwierciadłu jeziora; tysiące ryb w niem pływało, ale wielkiego karpia widać nie

było. Nie wiedząc jakby go wołać, ot byle jak pomyślał sobie i zaczął „karpiu, karpiku! przyszedłem tu, żebyś mi spełnił obietnicę swoją.“

Zaledwie skończył, jezioro w dali poruszać się zaczęło i cicho otoczony orszakiem tysiącznym ryb, karp' przypłynął ku niemu.

— „Czego to chcesz? dobry Jonku!“ zapytał, a Jonek opowiedział mu zadanie swoje.

— „Oto się nie kłopocz, wnet cię zaspokoję, jeno chwileczkę poczekaj,“ odrzekł karp' i zniknął. Alić niezadługo jak cicho odpłynął, tak zaś przypłynął znowu i zbliżywszy się do Jonka, u nóg jego złożył cudną perłę. „Tutaj masz najpiękniejszą i największą perłę, jaka w głębi wód leżała; weź ją i oddaj księżniczce.“ To powiedziawszy zniknął wraz z swą drużyną, pod wodą.

Radośny Jonek wziął klejnot i do domu się obrócił; szedł dniem i nocą, aż zaszedł w naznaczonym czasię. Ażeby zaś ukarać pyszną kochankę, wpierw nim szedł do niej umalował sobie zielono włosy, zielem, o którem wiedział, że się łatwo zmyć daje. Gdy dnia siódmego przed księżniczką stanął, kto go zobaczył a nie znał myślał, że widzi wodnika. Księżniczka, aż się przelękła, widząc zielono-włosego zalotnika, podającego jej klejnot.

— „A tobie kto tak włosy szkaradnie ubarwił?“ spytała.

— „Wodne panny mi to uczyniły, gdym im kradł perłę z morza. Nic to jednak mi nie szkodzi, tem więcej mnie będziesz kochać, żem to k'woli twojej sprawił.“

Lecz ona jeżeli wpierwej go nie lubiła, to tem bardziej teraz; koniecznie więc coś takiego wymyślić chciała, czegoby dokonać nie mógł; ażeby go się tak pozbyła.

I umyśliła sobie posłać go do piekła, nie wiedząc, że on tam ma dobrych znajomych.

— „Teraz, rzekła przyniesiesz mi z piekła złotą różę, tak piękną jak najpiękniejsza prawdziwa.“

Ciężkiem się zdało dla Jonka zadanie, ale szczęściem przypomniał sobie na owych diabłów, których rozbroił na łące. Król srodze powstał na córkę, że dręczy tak biednego chłopca, ale on sam ją uniewinniał.

Na drugi dzień zaraz spieszył w drogę, aby w siedmiu dniach powrócić. Najgorsze było, że nie wiedział drogi: szedł przecie prosto na łąkę, na której się diabli bili, a z tamtąd w stronę, kędy ich odchodzącym widział. Cały dzień i noc szedł okrutnym lasem, aż zaszedł do góry, w której były drzwi żelazne. Długo kołatał, za nim kto przyszedł otworzyć, a wprzód go pytano z za drzwi: kto był i czego chce w piekle? Jonek kontent, że znalazł cel swej drogi opowiedział się: za chwilę czart otworzyt wrota i poznali się oboje. Gdy Jonek djabłu, po co przyszedł, objawił, ten przyrzekł mu dać chętnie różę. „Musisz tylko,“ dodał, „nieco zaczekać, aż przyniosę od Lucypera klucze do skarbca, a wybierzesz sobie, co zechcesz.“

Niedługo powrócił z kluczem i wiódł Jonka do skarbca; nie mało drzwi przejść musieli, nim się do niego dostali, lecz gdy ostatnie przestąpili, stanął Jonek niby oślepiony. Tu w kadziach stało takie mnóstwo złota, srebra a klejnotów przeróżnych, że gdyby wszystkie świata całego zebrać skarby, toby temu nie dorównały. Jonek tak był olśnięty, że zapomniał po co przyszedł, dopiero gdy między innemi drogościami ujrzał różę złotą, przypomniał sobie i wziął ją. Do tego djabeł dodał mu na pamiątkę nie mało innych darów,

a Jonek, wyszedłszy z piekła, spieszył, bo czas już wracać. Jakoż siódmego dnia w wieczór szczęśliwie w zamku stanął.

Gdy miał nazajutrz zanieść różę narzeczonej, sporządziwszy czarnej maści, umalował nią twarz sobie. Księżniczka zobaczywszy go wykrzykła ze strachu, myśląc, że sam czart przed nią stoi. On jej uspakajając podał różę złotą. Jak wielką miała z tej radość, tak większe jeszcze zmartwienie, że jej czarnego przyjdzie dostać męża.

— „Zkądżeś znów przyszedł do tak czarnej twarzy?“ zapytała.

— „Gdym z piekła różę unosił, puścili się za mną djabli w pogoń, chcąc mnie schwytać, uszedłem im jednak dość prędko, że mnie w moc swą nie dostali, ze złości zionęli mi w twarz swoim piekielnym oddechem, od którego mi całkiem oczerniała. Nic sobie przecież z tego nie robię, bo wiem, że ci tem milszym będę.“

Król się serdecznie nad Jonkiem litował, a surowo córce wzbronił, żeby narzeczonego nigdzie więcej nie posyłała a na nieszczęście nie wiodła.

Księżniczka też wymyśliła sobie coś nowego. Na wieczór jej służebnice przyniosły Jankowi pytel popiołu a drugi maku i wysypawszy na podłogę w jedną gromadę zmięszały. Sama narzeczona przybyła wtedy i kazała mu jedno ode drugiego do czysta przebrać do rana, chce-li ją mieć. Po jej odejściu nie wiedział Jonko co począć. „To prawdziwe okrucieństwo!... Jakby to zaś przebrać można?“... Szczęściem przypomniał sobie mrówki. Lecz znów, jak je było znaleść? a tu na rano pracę skończyć trzeba!... Gdy tak rozmyśla, spojrzy, aliści coś

po podłodze rusza się i biega; przyjrzy się bliżej i poznaje tysiące mrówek.

— „Wyście tu! dobre stworzenia! jakżeście mnie usłyszały?“

— „A wzdyć-eśmy ci mówiły, żebyś nas tylko zawołał, a wnet ci w pomoc przybędziem.“

I wziąwszy się do pracy oddzielały mak od popiołu na osobne gromady, a gdy przyszedł dzień robota była do czysta skończona.

Jonek tysiąckroć im dziękował, a mrówki uciekły z izby. O pierwszym świcie, była już panna uwiadomiona podziwiała się Jonka sprawieniu, a smuciła się niepomału. Widząc zaś, że niema żadnej rady, wzdragać się próżno przestała.

Król uradowany kazał coprędzej gotować wszystko do hucznego i świetnego wesela. Jonek temczasem był nie pocieszonym ze srogiego zmartwienia, widząc że go księżniczka nie kocha. Byłby ci się jej zapewno spodobał, gdyby się pięknie wystroił; tego jednak zrobić nie chciał, chcąc upokorzyć jej próżność i dumę.

W wigilią ślubu szedł do swej narzeczonej i rzekł: „Widziałaś sama moja droga! żem k'woli tobie wiele uczynił, ba! za nadto może... W dawniejszej mojej postaci snadniejbym ci się mógł spodobać, ale żeś mi dziś nie rada, wcale się nie dziwię, bo sam znam moją szkaradę. Wszystko przecież stało się za twym powodem. Za to też teraz i ty coś dla mnie uczynić musisz. Nie byłoby to do rzeczy, gdybym ja, w tej o to szacie mojej, zaślubiał kosztownie przybraną księżniczkę; dla tego też i ty ustrój się jutro w prost, bez żadnego zbytku, suknie. Może się przez to przebłaga Pan Bóg,

który pewnie za twą pychę tak potworną skarał mnie postacią.“

Księżniczka jasno widziała jak sprawiedliwe były jego słowa i że samochcąc narzeczonego na złe przywiodła. Nie mogła więc skromnej jego, choć przykrej dla siebie odmówić prośbie. Pocieszony z niej odszedł Jonek.

Na drugi dzień było wesele. Wszystko na niem było pięknie i wspaniale, tylko państwo młodzi wyglądali jak żebracy; on w obdartem odzieniu, z poczochranem zielonem włosem i czarną twarzą, ona w prostej sukni, jak uboga dziewka. Każdy powtarzał, że to kara, za jej pychę.

Ale przy stole siedząc nie miło było Jonkowi widzieć obok siebie zasmuconą żonę; chciał ją wprawdzie był ukarać, ale żal jej go rozbroił i radby u niej weselsze ujrzał oko. Odszedłszy więc do swego pokoju, kazał przynieść podarowane sobie od króla suknie. Skoro obmywszy sobie twarz i włosy i odział się we wytworne szaty, był tak piękny, że każda najdrobniejsza księżniczka pokochaćby go musiała. Tak zmieniony udał się do królewny, która w swojej komnacie siedziała. Zdziwiła się nie pomału zkądby się zjawił u niej tak dorodny młodzian i już go chciała zapytać, czegoby żądał, lecz głos jej na ustach zamarł, gdy Jonek przemówił i ona w nim poznała swojego zielono-włosego męża. Na żądanie jego odziała się w godową suknią i tak weszli do biesiadnej komnaty. Z oklaskiem i radością powitali wszyscy piękną parę.

Ośm dni trwała uciecha, potem młody król jechał do swego ojca. Szydło wypadło staremu Markowi, gdy się czterokonny powóz, a w nim od złota strojny pan, przed

chatą jego zatrzymał. Dopieroż to była radość, gdy młody wbiegłszy do izby na szyję się Markowi rzucił, a ten w nim poznał swego kochanego Jonka! Nadszedł też w tem i brat starszy, który ledwie oczom swym uwierzył, że to był ów głupi Jonek.

W kilka dni wszyscy porzucili chatę i z Jonkiem do jego królestwa odjechali. Po śmierci swojego teścia, Jonek władzę nad krajem objął i rządził nim długie lata w łasce i bojaźni Bożej.

PIERŚCIEŃ

BALLADA

z prawdziwego zdarzenia.

Biją, biją smutnie w dzwony,
I ponure pieśni brzmią,
Bo Kartuzów przełożony,
Bogu oddał duszę swą.

A więc, zakon dziś w żałobie,
Wstępuje w podziemny loch.
Gdzie w katakumb głuchym grobie,
Zmarłych braci złożon proch.

Niosą, niosą nieboszczyka,
A krzyż w jego ręku tkwi,
Habit ciemny zakonnika,
A na palcu, pierścień lśni.

Pierścień zdobny w dyamenty,
Znać, drogim zmarłemu był,
Bo chciał, by w trumnie zamknięty,
Z nim razem, wieki tam lśnił!

Więc, składają ojca w trumnie,
Pożegnania pieśni brzmią,
Potem, zakon wraca tłumnie,
Każdy wraca w celę swą.

Każdy, chociaż z smutkiem w duszy,
Spocznie wśród błogiego snu,
A sen, z żalu łzy osuszy,
Sen, pociechę ześle mu.

Lecz, nie wszystkich myśl spokojna,
Jeden z braci, czuwa wciąż,
A w duszy, wszech-pokus wojna,
A w sercu, chciwości wąż.

— „Po co w trumnę skarb schowali,
Po co pierścień cudny ten?
Kto ze świata się wydali,
Kto zapadnie w wieczny sen,

Temu złoto, czy nie złoto,
Wszystko obcem winno być...
Albo, niech je odda oto,
Nam, co w nędzy musim żyć!“

Taka czarnych pokus rada,
W zakonnika myśli wre;
Choć sumienie woła, „biada!“
On, podbudza żądze swe.

— „Oto noc... czas snu dla braci,
Cicho! pójdę!... lecz, nie,! drżę!...
Miałżebym w własnej postaci,
Bać się jakby dziecko? nie!...

Pójdę!... wezmę pierścień lśniący!
Choć raz jeszcze zoczę go!“
Już chciwości duch gorący,
Owiał go zarazą swą.

Cicho, cicho—kościół ciemny,
I klasztor, w milczeniu śpi.
Ty jeden czuwasz, nikczemny,
Mącisz spokój, nędzny, ty!

Idzie... lampka w ręku blada,
Pusto, głucho... straszno mu...
Zda mu się, że słyszy „Biada
Kto z zbrodniczą myślą tu!“

Drży... kolana gną się z strachu,
Na głowie powstaje włos,
Od przybytku, z sklepień gmachu,
Zewsząd brzmi mu straszny głos.

— „Czyż się wrócę wśród strwożenia,
Znów przebiegnę kościół wzdłuż?
Lecz, nie zrzeknę się pierścienia!
Jużem blisko... u drzwi... tuż!...“

Skrzypły wrota... wschody ciemne,
Przebyte... jak głucho, ach!
Zda się, drżą lochy podziemne,
Przejął je tajemny strach!

A on, idzie... w tem, zbudzone
Duchy braci, z śmierci snu,
Biegną tłumnie w jedną stronę,
Drogę zastępują mu.

— „Próżna, próżna twoja praca,
Precz ztąd, z myślą czarną twą!
Kto umarłych ogałaca,
Boża dłoń, niech zgromi go!“

On, drży... twarz się z trwogi mieni;
Lecz, duch grzechu szepnie mu:
— „Masz-że się bać marnych cieni?
Dalej! tutaj zmierzaj, tu!“

Tam, w zakręcie, gdzie framuga,
Trumna zdobna w kwiatów zwój,
Tam złożony Boży sługa,
Co dziś skończył życia bój.

Już chciwość, żelaza ciosem,
Rozwarła trumnę, loch drży,
I zagrzmi trzasku odgłosem,
Jakby wołał: zguba ci!“

Miła postać zakonnika,
W twarzy, błogiej śmierci znak,
Dłoń zbrodniarza, dreszcz przenika,
Odwagi mu dalszej brak!...

Bo krzyż tkwi, w tej samej dłoni,
Na której pierścienia blask,
Zda się, od zniewagi broni...
Lecz, próżno... znów straszny trask.

Znów zabite trumny wieko,
Już zdobywca przebył bój,
Chciałby uciec, gdzieś daleko...
Lepiej skarb ocenić swój....

Chce biedz.... lecz, przy trumnie pada,
Próżno od niej odbiedz chce....
Zrywa się... znów trwoga blada,
Na ziemię go silnie gnie!

Chce biedz, z piersi jęk wylata,
Zimny pot, oblewa skroń,
Zda mu się, że lodowata,
Gwałtem wstrzymuje go dłoń!....

Noc minęła, przeszło rano,
I znów noc i znowu dzień,
Zakonnika nie ujrzano,
Znikł, jak znika marny cień...

Biją, biją smutnie w dzwony,
I ponure pieśni brzmią....
Jeden z braci, dziś złożony.
Wiekiem, skończył próbę swą...

A więc zakon, dziś w żałobie,
Zstępuje w podziemny loch,
Gdzie, w katakumb głuchym grobie,
Zmarłych braci złożon proch.

Nagle... orszak zlękły stanie,
Przy pochodni słabym dniu,
Ujrzał cień, przy bocznej ścianie,
Wszystkim w piersiach brakło tchu...

Tam, przy trumnie, gdzie framuga,
Jakiż trup przykuty tam?
Nieba! to klasztorny sługa,
Co znikł zdawna... on, on sam!...

Szata, do trumny przybita,
A on, wiecznym snem już śpi!
W twarzy, straszna myśl wyryta,
A na palcu, pierścień lśni!...

POWRÓT STARCA.

POWIASTKA WIERSZEM.

Lubicie przygody z rodzinnej zagrody.
Słuchajcież ziomkowie, co ziomek wam powie:
Niech wasze współczucie, ta powieść obudzi.
Zbyt często zepsucie znajdziecie wśród ludzi!
Lecz nasza społeczność jest czystsza i zdrowsza
Niż Francya tak płocha, niż Albion ponury;
Nie zatruł się splinem syn równin Mazowsza,
Duch czerstwy Karpackie zsyłają nam góry.
Ja wiek już nie mały przeżyłem na świecie,
Znalazłem złe zioła, znalazłem i kwiecie.

I.

Stara to prawda, źle nabyte mienie
Pryśnie jak szkiełko, jak proch się rozleci,
Mało co z niego skorzystają dzieci,
Ani go zazna trzecie pokolenie.

Dawnemi czasy, w Krakowskiem nad Wisłą,
Szlachcic zamieszkał na rodzinnej niwie,
Żył pracowicie, cicho i poczciwie,
Aż niespodzianie szczęście mu zabłysło.

Ujął wioseczkę, a w porze niedługiej,
Z małej dzierżawki na większą postąpił,
Potem wieś kupił, przyszedł i do drugiej,
Jeździł, frymarczył, grosza sobie skąpił,
Szczęście sprzyjało i zawsze i wszędzie,
I wkrótce stanął w możnych ziemian rzędzie.

* * *

Choć odtąd w domu był wszelki dostatek,
Poczciwa żona, dwoje ładnych dziatek,
Choć jeden chwalił a drugi zazdrościł,
Lecz błogi pokój w sercu mu nie gościł;
I gdy nań ludzkie nie zważało oko,
Z twarzy, kłamana swoboda, wraz zbiegła,
Pierś uciśniona westchnęła głęboko,
A czarna chmura na czole zaległa.
Czy znieść nie zdołał trosk znojów tyle,
Dość, że w lat porze, w samej życia sile,
Gdy mu najświetniej sprzyjała fortuna,
Padł, uderzony, jak grotem pioruna.
Chciał tajemnicę z sumienia wyrzucić,
Co jak gadzina w jego mózg się wżarła,
Chciał mówić, pisać, nie mógł się ocucić,
A czarna chmura do czoła przymarła.

* * *

Lata porywczym uchodzą strumieniem,
Po zgonie matki, dwóch rzeźkich młodzianów
Już się ojczystem podzieliło mieniem,
A przecież każdy liczył się do panów.

Lecz jak za młodu różniły się dziatki
Sercem, skłonnością i wyrazem lica.
Tak się i z wiekiem wybiła różnica,
W tym żył duch ojca, w tamtym serce matki.

Duma i chciwość, zdołała wyniszczyć
Młodzieńcze, zacne, w Erazmie uczucie;
Duchem zgrzybiały, dwie tylko miał chucie,
Dwa cele życia, posiadać i błyszczyć.
Z możnego rodu pojął połowicę,
I z nią pospieszył odwiedzić stolicę.

Zygmunt pozostał na ojczystej roli,
I sercem przylgnął do ubogich kmieci.
On zawsze z niemi, w doli czy nie doli,
On ich pokochał jak swe własne dzieci.

Nie długo Erazm i błyszczał i szumiał,
Czerpiąc bez ładu, końca się doczekał,
Pieniądz się toczy, liczyć go nie umiał.
Więc jak nie pyszny do domu uciekał.

I lichwiarz za nim pogonił w też tropy,
Wyrok uzyskał, wypłatę nakazał.
Sprzedawał Erazm, niepożęte snopy,
Dług długiem płacił, pisał się i mazał;
A godna pani, choć hrabianka z domu,
Schyliła czoło pod niezbędną troską,
Łzy pełne żółci lejąc pokryjomu,
Za grzechy własne i słabość mężowską.

* * *

Los się dziwacznie na tej ziemi plecie,
Gdy dobre zsyła, to idzie jak z płatka;

Jedno złe padnie, po nim drugie, trzecie,
Aż nieboraka złamie do ostatka.
I przyszedł starzec, dawny legionista;
Już go do ziemi pochylił wiek długi,
Czamara na nim wytarta lecz czysta.
Przy tem na piersiach błyszczy krzyż zasługi.

„Nie wolno wchodzić do Jasnego Pana,"
Woła nań służba w liberją przybrana.
Lecz w piersi starca duch żołnierski ożył:
A jak przed laty słuchano go w walce,
Tak, gdy brwi zmarszczył i lica nasrożył,
Zeszli mu z drogi strwożeni służalce.

Na jego widok stanął pan zdumiony;
Patrząc na siebie, milczeli przez chwilę,
„Późno, rzekł starzec, przybywam w te strony,
Wy mię nie znacie, a ojciec w mogile.
Będzie już temu lat trzydzieści blisko,
ak porzuciłem ojczystą zagrodę;
W tych stronach, lata przepędziłem młode,
Ja jestem Dowgir, czy znasz to nazwisko?
Czyliż wam ojciec o niem nie wspominał?
Albo w papierach nie zostałoż śladu?

— Prawisz, rzekł Erazm, bez sensu i ładu,
Jakiż z waszeci dziwny oryginał!
Po coś tu przyszedł? czego chcesz, opowiedz!
Czyś obłąkany, czyś natręt, czy snowidz?
Chceszli jałmużny? masz ją i pójdź z Bogiem,
Ale drugi raz zaczekaj przed progiem.

— Powstrzymaj mowę, czekać tam nie będę,
Nie żebrzę chleba na publicznej drodze;

Starzec i żołnierz, śmiało tu usiędę,
Słuchaj, a poznasz po co tu przychodzę.

* *
*

Mnie z ojcem twoim od dzieciństwa prawie,
Łączyła przyjaźń, wzrastająca z laty;
Razem na szkolnej siedzieliśmy ławie,
On prosty szlachcic, ja z przodków bogaty.
Gdy za ostatnich Stanisława czasów,
Kraj do śmiertelnych zbroił się zapasów.
Ja, przewidując ciężki los w przyszłości,
Wcześniem spieniężył choć część moich włości
I trzos złożyłem w ojca twego domu,
Bo komuż więcej mógłbym ufać, komu?
Dziesięć tysięcy sztuk było w tym trzosie,
Mogłem bezpieczny nie myśleć o losie.

Nie chciałem karty, wierzyłem na słowo;
Lecz rzekł twój ojciec. „Bracie jesteś w błędzie,
Wszyscy stoimy nad deską grobową,
Ja cię nie zdradzę, lecz cóż po mnie będzie?"

Mamże powiadać jak mną los pomiatał?
Żółta mi febra krew spaliła w łonie,
Długo na zgniłym jęczałem pontonie.
Lecz przecież dola błysła mi szczęśliwa,
Gdym się z ziomkami Wassyngtona zbratał,
I tam rodzinne zawarłem ogniwa.
I jaki taki był w domu dostatek,
I była żona, było grono dziatek,
Którem wesoło na ręku kołysał;
Tak rok za rokiem schodził nie powrotnie,

Do ojca twego, pisałem trzykrotnie,
Teraz rozumiem, czemu nie odpisał.

Szczęście i nędza w boskiej leżą woli.
I na mnie spadły ciężkie klęski Joba.
Żonę i dzieci zabiła choroba,
Susza wypiekła wszystek plon na roli....
Wtedy, rodzinne pożegnawszy groby,
Z ostatnią córką, z ostatkiem chudoby
Powędrowałem do ojczystej ziemi,
Aby przynajmniej umrzeć między swemi.
Widzisz to pismo; zwróćcie mi co moje,
Jeźli się ojciec dorobił tem złotem,
Niech wam Bóg szczęści, o zyski nie stoję,
Lecz przecież z córką nie umrę pod płotem.

* * *

Słuchał go Erazm, lecz któżby zrozumiał
Jak srogą walką głębi serca toczył?
Daremnie w sobie złe żądze przytłumiał,
Spojrzał na pismo, rękę ojca zoczył.
Piekielna radość serce mu posiadła,
Gdy pomiarkował, że ojcowska karta,
Z przeciągiem czasu pomięta, wybladła,
Na pół czytelna, a na pół zatarta.
Można zaprzeczyć, byle śmiałem czołem;
Prawie zaginął ten wyraz „*Przyjąłem.*“
Kwota jest w liczbach, niewyraźne zera...
Ochłódł, z pogardą na pismo poziera,
I tak do starca, groźnym rzecze głosem:
— „Czem wzrósł mój ojciec, nie tajno nikomu,
Pracą, skrzętnością, znojem gospodarnym,
Nie zaś tam jakimś zostawionym trzosem.

Co mi tu prawisz o tym świstku marnym?
Precz ztąd oszuście, precz z mojego domu!

O złoto! złoto! w tobie moc szatańska,
Rozum odbiorą twe piękielne dźwięki,
Ty zdołasz zepsuć najpoczciwsze serce,
Dla ciebie w błocie klęknie duma pańska,
Stary przyjaciel zmienia się w wydziercę,
A syn ojcowskiej zapiera się ręki.

II.

Wychodzi Dowgir znękany i blady,
Ciężka obelga i nędza tak bliska,
I sroga pamięć przyjaciela zdrady,
Z przygasłych oczu krwawe łzy wyciska;
Zaledwie stąpa i już nad wieczorem,
Bezsilny, staje, przed Buczyńskim dworem.

Właśnie też Zygmunt był w podwórca bramie.
Ujrzał siwiznę i zaszczytne znamie,
O cel przybycia, o imie nie pyta,
Czci go jak starca, jak żołnierza wita,
A znękanego cierpieniem i znojem,
Przyjął gościnnie, jadłem i napojem.
Starzec odetchnął, odpoczął, posiedział,
I cel przybycia w końcu wypowiedział.

Na pismo ojca, młodzian rzucił okiem,
I łzy się gorzkie rzuciły potokiem.

„O Boże! Boże! ach czegożem dożył,
Niczem jest dla mnie, marna mienia strata,

Jam ojca mego czcił przez długie lata,
Ja w nim jak w Bogu mą ufność położył!
A dziś! niestety! mowa w ustach kona...
Lecz panie! panie! on w śmierci godzinę,
Okropnym bólem spłacił swoją winę.
Jest mi przytomna, ta twarz zrozpaczona,
Chciał coś przemówić, język stanął kołem,
I myśl okropna zawisła nad czołem.
Cóż na tym skarbie nieszczęśliwy zyskał,
Ból utajony co mu serce ściskał,
Nocy bezsenne i dni bez pociechy,
Bodaj ubogiej nie był rzucał strzechy.
Już od tej chwili jesteś w własnym domu,
Na dług ojcowski mój udział wystarczy,
Niech tylko pamięć niewiary i sromu,
Rodzicielskiego grobu nie obarczy.
Zdumiony Dowgir po chwili zawoła,
— „Jutro z krwią zimną obejrzym te sioła.
Uśmierz twą, żałość, szlachetny młodzianie,
Część mnie odstąpisz część tobie zostanie.
— Nie, odparł Zygmunt, nie przyjmę ofiary,
Młody i silny, nie lękam się nędzy,
Gdyby grosz przy mnie został z tych pieniędzy
On by mię palił piekielnemi żary.
Daj mi twej łaski ten dowód jedyny,
Że w sercu twojem ukryjesz przed światem,
Coś mówił ze mną i co z moim bratem,
Pomnij na przyjaźń! nie pamiętaj winy!
Na krańcu lasu jest chata i szopka,
Niegdyś mieszkanie poczciwego chłopka,
Lecz go powołał Bóg do swojej chwały,
Znią się obszerne wycinki stykały.

— Panie, rzekł Zygmunt, puść mi to pustkowie,
Do niego przydaj jedną włókę roli:
Ja te wycinki dobędę powoli,
Stodółkę wzniosę i domek odnowię,
I czynsz należny opłacę corocznie.
Nowy tu dla mnie zawód się rozpocznie,
To mię przynajmniej rzeźwi i pociesza,
Że jak mój naddziad, ujmę się lemiesza.

— Zgoda, rzekł Dowgir, i pomyślał sobie:
Jak się oczyszcza złoto w ognia próbie,
Tak się zachartuj w przeciwności szkole,
A Bogu powierz, twoją przykrą dolę.

Zygmunt zdał wioski z ciężkim żalem wtedy,
Z płaczem, wybuchła gromada zebrana,
Rzekł z nich najstarszy: „Gdzież znajdziemy Pana
Coby w czas głodu chronił nas od biedy,
W ciężkich chorobach z ratunkiem pospieszał,
Godził zwaśnionych, radził i pocieszał?
Lecz kiedy będziesz mieszkać między nami,
Nie gardź szczeremi ubóstwa darami!“

I tak się stało: wdzięczne serce chłopków,
Chciało osłodzić młodziana niedolę,
Każdy mu przywiózł zboża kilka snopków,
I pęki siana i warzywa miarkę,
Dźwignęli pustkę, uprawili rolę,
Zdarli nowiny po wyciętym borze.

Dowgir tymczasem zaczął gospodarkę,
Sprowadził córkę co była w klasztorze,
Za towarzyszkę dał jej zacną wdowę,
I wiódł dni ciche, samotne, surowe.

* * *

Daremnie pragną odgadnąć sąsiedzi,
Zkąd taka zmiana zaszła w jednej chwili;
Każdy w próżniaczych domysłach się biedzi;
Radzą i radzą, uradzili wreście:
Że Zygmunt musiał zgrać się w jakiemś mieście.
Potem zgranego lichwiarze dobili.
Sam tylko Erazm pełen trwogi, sromu,
Nie śmiał się bratu pokazać na oczy,
Nie śmiał w sąsiedztwo wychylić się z domu,
Bo cóżby zdołał odpowiedzieć komu?
Długi go męczą, zgryzota go tłoczy,
Nareszcie sprzedał majątek zniszczony,
I gdzieś w dalekie wywędrował strony.

Przeszły dwa lata; w osadzie pod lasem,
Wieśniacze znoje Zygmunt mężnie znosił,
Sędziwy Dowgir odwiedził go czasem,
Czasem młodziana do siebie zaprosił.
Młoda Halina, szczera i niewinna,
Długo samotnej sawany mieszkanka,
I na pół Polka, pół Amerykanka,
Dorastająca, a jeszcze dziecinna,
Nie zapragnęła głośniejszego świata,
I polubiła Zygmunta jak brata;
On ich samotność nie raz rozweselał,
Nie raz w jej serce myśl szlachetną przelał,
Lecz mu nie mogło nawet przyjść do głowy,
By ją zaślubił, on biedak czynszowy!

Przed wiejskim domkiem, w zimowy poranek,
Zabrzękły dzwonki Dowgirowych sanek,
I starzec wszedłszy osłabionym krokiem,
Czulej jak zwykle młodzieńca powitał.
Który nań patrząc zadziwionym wzrokiem,
W twarzy niepokój i troskę wyczytał.
Rzekł Dowgir: — „Krótko mam gościć na ziemi,
Bóg mię ostrzega, już ustają siły,
Więcej mię troski niż lata zwątliły,
I serce moje ciężka boleść gniecie.
Komuż poruczę moje biedne dziecię?
Starsi wymarli, nie znam się z młodszemi;
Po tylu zmianach, wstrząśnieniach i stratach,
Gdzież krewnych szukać, po trzydziestu latach?
Jedną już nogą prawie stojąc w grobie,
Ciebie znam tylko, ufam tylko tobie.
Bądź opiekunem mojego dziecięcia,
Niech w tobie znajdę i „syna i zięcia.“
Na płonne dzięki Zygmunt słów nie trwonił,
Ujął dłoń starca, męzką łzę uronił.

— „Miłość i wiarę poświęcę Halinie,
Ach! lżej oddycha, pierś wyswobodzona,
Bo już ojcowskiej przebaczyłeś winie,
Gdyś mię jak syna przycisnął do łona,“

Orzeźwiał starzec. — „Jedźmy do Buczyna.
Tam ukochana czeka nas Halina.“
Gdy słońce łąki kwiatami uściele,
A drzew konary zielenią uwieńczy,
Zbliżycie serca, w swobodzie młodzieńczej,
I wraz po żniwach wyprawim wesele.

Może przy waszej odmłodnieję wiośnie,
Może mi życia z parę lat przyrośnie.“

* *
*

Jest ogrom grzechów z ubiegłych stuleci,
Spraw to o Boże! czy w wiejskiem ukryciu,
Czy w stanach wyższych, czy w publicznem życiu,
Niech błędy ojców, wynagrodzą dzieci.

PAWEŁEK.

Z Legendy wieków Wiktora Hugo.

Przyszło na świat dzieciątko; w tejże samej dobie
Matka zeszła ze świata.
Gdy spoczęła w grobie
Dziaduś podjął niemowlę; nieraz to co było
Strzeże tego co będzie! Serce nową siłą
Drgnęło w nim, gdy dziecinę przytulił do łona,
Sam je lula i niańczy jak matka rodzona.
On stary, już mu tylko, na żywota drodze
Słodkim być przewodnikiem; niech ku niemu w trwodze
Idzie ten, czyja dusza boleścią przejęta,
Niech ku niemu dzieciątko wyciągnie rączęta,
Gdy widnokrąg zasłany chmury tak czarnemi
Wypada by ktoś jeszcze był dobrym na ziemi,
By w sercu w miłosierdzia przechował zdrój czysty,
A gdy zabraknie dziecku piersi macierzystej,
By kozę karmicielkę przywiódł mu z parowu,

Uczył słowa *kochajmy*, i w myśl temu słowu,
Poranek dni sierocych otoczył pogodą;
By z doświadczeniem starca duszę łączył młodą.
To też Bóg, jeśli matkę całunem spowinie,
Kochającego dziadka przysyła dziecinie,
Wskrzesze iskrę z pod lodu i cudem pomieści,
W stygnącej piersi starca, skarb uczuć niewieści!

Od pierwszej chwili życia, Pawełek sierotką.
Wielkiem okiem błękitnem patrzy na świat słodko,
Jakieś niezrozumiałe bełkocze wyrazy;
Ciałko jego niewinne, duszyczka bez skazy,
Istny Boży aniołek! Z miłością głęboką,
Starzec na pół zgasłe utopił w nim oko,
Wie, że zachód dni jego zbliża się do końca,
Jak mu duszę raduje ta zorza wschodząca.

Dziadek zabrał do wioski maleńką dziecinę.
Ogarniesz ztąd oczyma szeroką dolinę;
Na polu falującem podzwania kłos nowy,
Kłębem żywicznej woni, bucha las jodłowy.
Za domem piękny ogród, pełen drzew i kwiatów,
W pośród takiej przyrody i tych aromatów,
Pod żywotnem ich tchnieniem krzepko dziecię rośnie,
A kwiatki na Pawełka nie patrzą zazdrośnie.

W cieniu grusz i jabłoni, kolczysta jeżyna
Szeroko swe gałązki po ziemi rozpina
Przez wierzbowe konary coś tam się zabieli,

Czy wodnica z głębokiej wybiegła topieli?
Nie, to promyk słoneczny odbił się na wodzie,
Roje ptasząt na gniazdkach świergoczą w swobodzie,
W błękitach usłyszane powtarzają wieści,
Ukryty pod murawą z cicha zdrój szeleści.

Ogród śliczny—wszak prawda, gdy rozkwitnie w lecie.
O ileż on cudniejszy gdy w nim ujrzysz dziecię,
A przy wnuczku dziadunia z głową jak śnieg białą.
Dziecięciu obok róży, starcu być przystało
U boku niemowlęcia, gdy nóżki bosemi
Pół zanurzone w trawie tarza się po ziemi.
Pawełek zrazu wątły istna pajęczynka:
Azaliż grób za matką nie powoła synka?
Gdy się rodził, wiatr zimny powiewał zdradziecko.
Koza karmi go mlekiem, i wyrasta dziecko.
Braciszkiem mu koziołek, co pląsa po łące,
Dziecię goni oczyma to koźle skaczące.
Chciałoby wstać na nóżki:—„chodź-że, dziadek rzecze:
Słusznie! chodzić po ziemi to prawo człowiecze!“
Dzieciątko drży jak listek, ramionka się chylą,
Każdy mu sprzęt czy kamień, Charybdą lub Scyllą,
Słaba stopka się chwieje, kolanko się zgina,
Drży, a przecież wesoło spogląda dziecina.
I gałązka choć drżąca wszak rozkwita wiosną!
Pawełek rok już skończył i siły w nim rosną,
Już postawił krok pierwszy, potem drugi!... Matki!
Chcecież widzieć Pawełka — patrzcież na swe dziatki!

Cudny obraz, ah! dziwnież raduje nam oczy:
Trop w trop stary dziadunio za dziecięciem kroczy,
„Ostrożnie!... Dalej!... Naprzód!... Tak!... O własnej sile!“
Dziecię słucha i patrzy, zawaha się chwilę,
I ruszy coraz żwawiej!... Dziadunio schylony
Pobiegł ku dzieciątku, ogarnie ramiony,
Chwiejący, chwiejącemu podpory udziela;
Ileż potem tryumfu, śmiechu i wesela!
Nie opisać nam gwiazdki co na niebie świeci,
Ni jasnego słoneczka, ani śmiechu dzieci.
Chwała, miłość, pogoda, dzwoni w nim tak słodko.
Jakaś duma niewinna wstrząsa tą istotką,
Jak szczęśliwa w prostocie, w niewinności swojej,
Pyszni się, że raz pierwszy na nóżętach stoi!
Śmiech dziecka ileż mówi o Bogu, o Niebie!

Starzec postać poważna jak Mag na Horebie,
Przy drugim swoim wnuczku dziaduniem był tylko,
Zapatrzony w dziecinę, śledzi z każdą chwilką
Jak promyk coraz głębiej młody mózg przenika,
Wsłuchuje się roskosznie w szczebioty chłopczyka,
Widzi; z jakim się trudem dziecku myśl skrzydlata
Plącze w sieć słów nieznanych, to w górę ulata,
Znów spada, i gdy wątku zabrakło dziecinie.
Myśl w słowo niezwiązana, piosnką się rozpłynie.

Pawełek wciąż bełkocze: o domowe ściany
Rozbiega się tych gwarów, dźwięk niezrozumiany;
To grzechocze wesoło, to krzyczy, to śpiewa,
Szumem liści w ogrodzie wtórują mu drzewa.

I Pawełek szczęśliwy, oh! bardzo szczęśliwy!
On całym trząsa domem, i dziadunio siwy
Ulega Pawełkowi:—„Stój dziadziu!“—on staje
—„Chodź!“—idzie „daj mi rękę!“—on rękę podaje.
Nad zimą wiosna musi zapanować młoda!
Zawsze trwa między nimi niezmącona zgoda.
Wnuk zawsze rozkazuje, dziadek zawsze słucha;
Chodzą razem, pieśń ptasząt wpływa im do ucha.
Wciąż bawią się wesoło, jak zwyczajnie dzieci,
Ten ma lat osiemdziesiąt, a tamten rok trzeci.
Wątek myśli rozwija w chłopcu dziadek stary,
Dziecko w starcu rozpala zgasłą iskrę wiary;
Rzekłbyś, że zamieniając myśl, duszę i słowo,
Jeden drugiemu wskazał stronę Boga nową.
Słodkie we dnie wrażenia przyjmują w połowie,
Jedne sny im zbiegają nocą na wezgłowie,
I nigdy dusza z duszą nie sprzęgła się szczerzej;
Nigdy jeden drugiego na krok nie odbieży.
Niewinne serca obu łączy miłość święta,
Wiecznie gwarzą jak w bajce niebieskie ptaszęta.
— „Strzeż się, patrz, rów przed tobą, zamoczyłeś nogi.“,
— „Umyślnie wszedłem w wodę“ „przebacz dziadziu [drogi!“
— „Nie stąpaj po kamykach, biegaj tam po łące!“
Niebo tak jasne było, słoneczko błyszczące
Patrzy na nich, wspólnemi ogarnia pieszczoty,
Bieluchny włos dziadunia i dziecka włos złoty!

A ojciec gdzieś opodal z żoną mieszka nową,
Próżno drży biedne serce pod darną grobową,
Gdy żywa po umarłej praw się dopomina,

Już w kołysce maleńka pokwila dziecina,
Pawełek nie wie o tem, dni mu płyną słodko,
Przy dziadku, nikt go nawet nie nazwał sierotką.
Aż w końcu na śmiertelnej legł starzec pościeli.

Gdy Booz rzekł do Ruty, Jakób do Racheli,
Zapłaczcie bo umieram! niewiasty płakały;
Ale z dzieckiem rzecz inna! czyż zna chłopiec mały
Co to śmierć? Starzec ciężką złamany chorobą
Rzekł do wnuka: „Pawełku, mnie krótko być z tobą
Ja umrę, ty zostaniesz biedny, sam na świecie!“
Zadumaną źrenicą patrzało nań dziecię:
A potem znowu radość pobłysła mu z oczu,
Znów śmieje się wesoło.
Przy wsi, na uboczu
Stoi mały kościołek: uderzyły dzwony,
Pomnę, lud w koło trumny, licznie zgromadzony,
Ksiądz odmówił modlitwy i pokropił ciało,
Widzę słodkiego starca głowę posiwiałą,
Wyżółkłe jak wosk lica, i spokój na czole,
Wzięto trumnę, i orszak przeciągnął przez pole
W koło buchają wonią macierzanki świeże,
Lud idzie za umarłym, odmawia pacierze.
Przy drodze leży krówka i żałośnie ryczy,
I zwraca na przechodnia wzrok pełen słodyczy,
A za trumną podąża Pawełek sierota.
Ot, kościołek i cmentarz, rozwarte już wrota;
Nie rosną tu wawrzyny ni smukłe cyprysy,
Nie dopatrzeć marmurów z szumnymi napisy,

Wśród krzyżów i mogiłek wiedzie wąska droga,
Jak tu cicho, poważnie! Tu przed okiem Boga
Śpi lud, skwarnym żywota utrudzony znojem,
W koło parkan oplecion bluszczem i powojem,
Pawełek idzie zwolna i milczy głęboko,
I we wrota cmentarne pilne wlepił oko.

Życie snem dla dzieciny! czasem promyk słońca,
Zgaśnie wprzód, zaczem dzionek dobieży do końca,
Pawełek miał trzy lata.

— „Ha! psotniku brzydki!
Precz ztąd, bo cię wytłukę, popamiętasz zbytki!
Gdy patrzę na dzieciaka żółć się we mnie burzy,
Precz ztąd!—ja przy swym stole nie zcierpię go dłużej,
Zjadł z garnka wszystko mleko, posadzęż ja ciebie,
Za pokutę w piwnicy o wodzie i chlebie.“

Do biednegoż Pawełka te okrutne słowa?
Ledwie nad starcem ziemia zapadła grobowa,
Gwar jakiś o domowe rozległ się wnet ściany,
Dom zajął obcy człowiek chłopięciu nieznany,
To był ojciec Pawełka—z nim przybyła żona,
Maleńkie niemowlątko przytula do łona.

Serce młodej niewiasty twarde dla sierotki.
Gdy pieści własne dziecię, uśmiech jej tak słodki,
Oko płonie miłością, pieśń jej cudnie dzwoni,
Lecz wara Pawełkowi przybliżyć się do niej!
Ze wstrętem, z nienawiścią, patrzy w cudze dziecię,
Cierpieć, nawet bez winy, rzecz zwykła na świecie,
Człowiek brzemię ofiary, dźwiga z własnej chęci,
Tak cierpią męczennicy, prorocy i święci.
Ale straszniej gdy dziecku żywot już dopieka,
Choć nie ma jeszcze woli, ani bark człowieka.

Dąb ocieniał mu głowę, jakaż dziś odmiana,
Sam wśród ostów i pokrzyw ugrzązł po kolana.

Co się stało? Pawełek zrozumieć nie może.
W izdebce jego czarno, i pusto jak w norze.
Idzie spać, płacze biedny, i nikt o tem nie wie,
Chwieje się niby trzcinka, drży jak liść na drzewie,
Otworzy rankiem oczy... spojrzy... i znów płacze.
On sam, ręka życzliwa w drzwi nie zakołacze,
Blask nie wniknie przez szybę, w koło pomrok siny,
Dziwny żal ściska biedne serduszko chłopczyny,
Czyż go jasne słoneczko jak dawniej nie kocha?
Wszedł w progi: — „precz stąd!“ gniewnie zakrzyczy [macocha.
Biedaczek do ogrodu pod cień drzew ucieka,
A gdy kwiatki sierotę ujrzały zdaleka,
Ze smutkiem jasne główki ku niemu pochylą,
I ptaszęta na gniazdkach żałośnie mu kwilą.

—„Gdzieżeś był? Jaki brudny! cały starzan w błocie!“
Macocha wszystkie cacka zabrała sierocie,
Oddała niemowlęciu: ojciec nie przeszkadza,
Nad kochającym mężem, wielka żony władza.
Pawełek na zabawki pogląda ze smutkiem,
Aniołkiem był w tym domu... a teraz... odrzutkiem.
—„Uciekaj! precz mi z oczu!“ krzyknie głos niewieści.

Inaczej brzmią jej słowa gdy niemowlę pieści,
—„Chodź do mnie moje złotko, moje ty kochanie!
Cherubinka z niebiosów zesłałeś mi panie!
Liczko twoje różowe, istny promyk zorzy,
Oczęta jak gwiazdeczki—to aniołek Boży!
Cudownież mi z tych oczął światełko połyska,
Jedynym światłem dla mnie ta mała kołyska;
Daj nóżkę ucałować i jedną i drugą!“
Długo matka niemowlę pieści—bardzo długo,
Pawełek stoi z boku. Wątła pamięć dziatek,
Tyleż on zapamięta jak jagnie lub kwiatek
Przecież słabiuchne rysy na dnie serca chowa,
On wie, że słyszał niegdyś te roskoszne słowa.

Jadał w kącie na ziemi obiad i wieczerzę.
Zrazu płakał, lecz w końcu i łez się przebierze,
Obeschła mu powieka, usta zaniemiały.

Pilnie oczyma ściga drzwi Pawełek mały,
Raz wieczorem po całym szukano go domu,
Ale nigdzie go nie ma, uciekł pokryjomu.

Błoto w twardą zimę; śnieżna dnia szaruga,
Ni gwiazdeczki na niebie; noc czarna i długa,
Dziecię znikło bez wieści—Daremne zabiegi,
Ślady maleńkich stopek zasypały śniegi.

W bliskiej wsi znaleziono sierotkę o świcie
Wieczorem jedni drugim rzekli:—„czy słyszycie?
Jakiś głos tam żałosny, w ciemności pobrzmiewa!“
—„To wicher mówią drudzy—to szeleszczą drzewa,
—„Może wilcy gdzie wyją lub harcują duchy.“

„—Dziaduniu!“ słaby głosik brzmi wśród zawieruchy,
Strach wielki padł na serca; każdy drży jak listek.
Rankiem w stronę kościołka wybieży lud wszystek,
Pod wroty cmentarnemi odkryto dziecinę,
Zimny, sztywny jak kamień, rączęta ma sine,
Oczy wpół przymróżone, lica śnieżnej bieli,
Śpi, takim snem spokojnym spią Boży Anieli!

Jak trafił tu maleńki, sam jeden, w noc czarną?
Opiera prawą rączkę o bramę cmentarną,
Jakby ją chciał otworzyć—lecz nie pękły wrota,
Dziadunia umarłego przyzywał sierota,
Snać wgłąb zimnej mogiły jęki się nie wdarły,
Wołał długo, aż upadł na ziemię umarły,
Biednemu Pawełkowi sen zawarł powieki;
Nie rozbudził dziadunia,—śpi przy nim na wieki!

OSTRZEŻENIE.

(OBRAZEK).

Przez Autorkę „w Imie Boże!“

Są w życiu naszem chwile poprzedzające ważniejsze akta, które nazwać by można *prorocze*. One oświecają naszą przyszłość, a biada tym co z przestrogi nie korzystają! Bóg zostawił wprawdzie ludziom wolę wybrania drogi jaką iść mamy, ale jak dobry ojciec, uprzedzając ażebyśmy nie zbłądzili, rzuca światło przed nami, lecz blask trwa krótko, i kto go nie dojrzy lub nim wzgardzi, sobie niech przypisze nieszczęścia które ztąd wynikną.

Takie światełko ledwie dojrzane a jednak zrozumiane, tworzy treść następnego obrazku, znalezionego w składzie domowych pamiątek.

* *
*

Przed trzydziestu laty, w pięknym odwiecznym zamku, zamieszkałym przez jedną z najświetniejszych rodzin

w gub. Kijowskiej, w poobiedniej porze, na wygodnej ottomance, w owalnym gabinecie którego ściany były marmurowe, siedział więcej jak pół wieczny mężczyzna, z wyrazem wielkiego szczęścia na twarzy. Mówiąc o podeszłym wieku czyniemy wielki podstęp, bo go nie objawia ani włos siwy, ani ubiór poważny, ani gruba do podparcia się laska. Owszem, włos jego czarny jak krucze pióro, stan wcięty w modnem ubraniu, zdają się zaprzeczać zmarszczkom i tem głośniej zdradzają wiek podeszły, bo oczy nieco przygasłe nie harmonizują z czarnemi włosami, a ciasny tużurek zdaje się jarzmem dla chcących garbić się ramion...

Ach! jest pewien rodzaj ludzi którzy nie chcą żadną miarą starzeć i całą siłą, chcą mówić całą sztuką, bronią się od starości. Skutkiem czego staremi ich wprawdzie nikt nie nazywa, ale też i nikt jak starców nie uszanuje.

Siedzący pan w gabinecie, był właśnie na tym rozdrożu niebezpiecznym, niegodnym, a jednak dobrowolnie obranym i który musiał go w pewien sposób zadawalniać, bo jak mówiliśmy wyraz szczęścia rozlany był na jego twarzy. I było z czego się radować, bo naprzeciw niego stała śliczna istotka, ledwie z dziecka wyrosła, jak róża tylko co rozkwitła i którą przez skrócenie i przez zbliżenie, Różą czy też Rózią zwać będziemy. I ona się uśmiecha, tylko nie wiadomo czy do siedzącego przed nią, czy do samej siebie odbitej w wielkiem zwierciedle będącem nad ottomanką. Nasza Rózia ubrana w lekką krótką, skromną, białą suknię bez ozdób, miała na głowie czepeczek z kwiatami jakby mężatka, ale w sposób w jaki spadał z jej bujnych jasnych włosów, i cały układ dzie-

cinny (wcale nie do czepeczka) zdradzały, że to tylko maskarada, żart; może próba...

— „Czy mnie tak ładnie zapytała figlarnie i z pewną ufnością w potwierdzającą odpowiedź. Ale i teraz niewiadomo czy się pyta tego pana czy zwierciadła? Może jej za mało jednej odpowiedzi? Odbiera też dwie: jednę niemą, drugą głośną, przypieczętowaną pocałunkiem na białą rączkę, którą z dygiem krotofilnym podała Rózia siedzącemu panu, a jednak spojrzenie było dla zwierciadła... i wybiegła z pokoju.

— Kim był ów mężczyzna dla Rózi? Sądząc z wieku, zapewne jej ojcem. Ależ kiedy ojcem, dla czego w rękę a nie w czoło pocałował to roskoszne dziecię? Ach bo to jej narzeczony, jej przyszły mąż! Przyjaciel czy tylko sąsiad jej rodziców, bogaty, pan; i pierwszy co się oświadczył o rękę Rózi.

A Rózia ma dużo siostr i braci. Rodzice sądzą, że się długo namyślać i targować z pierwszą nie godzi. Byle wyszła za mąż; byle była bogata, a czy będzie szczęśliwa?... Ktoż o tem pomyślał na Ukrainie, gdy na złe małżeństwo ratunkiem był rozwód? Małżeństwo to *loterya*, prawda, ale czy jedna wzięła pusty numer w nadziei, że go zamieni na lepszy!... a Rózia? Biedna Rózia miała lat szesnaście. Czy małżeństwo, czy bal, było dla niej jedno. A pan hrabia jej narzeczony, był grzeczny, w rączkę całował, mówił od rana do wieczora że jest śliczna i przyrzekał na zimę powieźć do Paryża zkąd tyle pięknych rzeczy przywieziono na wyprawę! Właśnie Rózia swoje paryzkie czepeczki przymierza i za każdą odmianą bieży do owalnego gabinetu aby się pokazać narzeczonemu, i aby się obaczyć w dużem zwierciedle.

Nasz pan hrabia nim został narzeczonym, miał zwyczaj choćby godzinkę przedrzemać po obiedzie. Ale od czasu jak się pasował na pana młodego, śliczna narzeczona nie daje mu chwili spoczynku i póki ona przy nim, trzeba oddać sprawiedliwość hrabiemu, że nawet myśli o Morfeuszu nie miał. I dziś, chociaż mu się powieki trochę kleją, błyskawiczne wpadania Rózi w coraz innym stroju, nie dają mu czasu zmrużyć oka, a że we śnie nic piękniejszego zobaczyć się nie spodziewa, mężnie walczy ze snem i nie żałuje marzenia w obec tak pięknej rzeczywistości, owszem, skoro zniknie mu z oczu cudne widzenie, rozpływa się radośnie nad swoją przyszłością, z coraz milszym uśmiechem wita Rózię to raz w piórach, to w różach, to w turbanie, to w rannym czepeczku i tylko zapytuje siebie: Czy jej może być źle w czemkolwiek? Egoista! Ani razu może nie zapytał siebie czy on jej godny? Czy nie szkoda tej różyczki, tej lilii dla niego?!

Przemiany Rózi zwykle nietrwały jednej minuty, ale tym razem zegar wybił kwadrans, pół godziny, a ona nie wraca! Wprawdzie znikając, rzuciła słówko obiecujące coś *nadzwyczajnego!* Narzeczony z razu się niecierpliwił, wsłuchiwał się w milczeniu, ale oprócz jednostajnego ruchu perpendykułu, żaden szmer nie przerywał cichości w tej stronie pałacu. Hrabia chciał wstać, ale nogi powiedziały: „Nie chcemy.“ Głowa sama opadła na wałek ottomanki, oczy się przymknęły i usnął...

Rózia wyczerpawszy cały zapas czepeczków i kapeluszów, chciała *na finał* ukazać się w kompletnym ubiorze mężatki. Długiego więc czasu potrzebowała na to przeobrażenie, tem bardziej że francuzka subretka biorąca te rzeczy bardzo serio, nie chciała dzieła swego zostawić

niedokończonem. Śliczną była Rózia w jedwabnej różowej sukni, której szelest ją bawił, a włożywszy białe rękawiczki, z wachlarzem w ręku, już nie wbiegła ale weszła poważnie do gabinetu. Uderzona na wstępie odbiciem swem w zwierciedle stanęła w progu, a dygnąwszy jak w menuecie, spojrzała nareszcie ku narzeczonemu... Że weszła zwolna, nie zbudził się biedaczek. Sen jego był najklassyczniejszy w świecie, bo z całym atrybutem chrapania i sapania! Rózia zamiast postąpić dalej, osłupiała na ten widok. Zdawało się, że w tej chwili jej anioł stróż, litując się nad jej niewinnością, podniósł zasłonę kryjącą przyszłość i ukazał w chwilowym obrazku, jaki los ją czeka z tak nie dobranym małżonkiem! Rózia nie darmo przywdziała strój mężatki, z przybraną powagą dla żartu, zdawała się i życie mężatki, pojmować. Wpatrując się w tę twarz zmęczoną, zmarszczoną, wymalowaną, której uśmiech przelotny nie krasił, dostrzegła i śladów czarnej farby spływającej z włosów na skronie... Uczuła wstręt, uczuła wstyd, że przyrzekła rękę takiemu którego kochać nie będzie mogła! Człowiekowi co żyje fałszem i obłudą i nawet wieku swego się wstydzi... Spojrzała w zwierciadło, porównała siebie z nim, obejrzała się potem po gabinecie, a te marmury, te złote gzymsy, te brązy, te malowidła, wydały się jej tak martwe, tak szydercze, tak niewystarczające w życiu pozbawionem szczęścia i miłości, iż oświecona nagle i lekka tem odkryciem, zwróciła się i wybiegła z pokoju jakby kto za nią gonił. Tak biegnąc wpadła do pokoju matki, a rzucając się jej do nóg zawołała ściskając kolana:

— Mamo! Mamo! ja jego nie chcę, ja za niego nie pójdę!“ Długiego czasu potrzebowała matka nim zrozumiała o co rzecz idzie, ten ubiór świetny, te łzy, zmie-

szały jej domysły. Za dziewicą stał pewnie jej anioł stróż, który ją pierwej oświecił, a teraz się lękał aby uspokojona czułością matki, nie wróciła do dawnych myśli. Ale Rózia była niezłomna w swem przedsięwzięciu, zajrzała w przyszłość i w porę się cofnęła nad przepaścią.. A jak przyszłych kapłanów i zakonnic ubierają w sukienki poświęcone, aby czując się u progu nowego stanu, zrozumieli siebie, tak może i strój mężatki ułożony przed czasem, dopomógł Rózi do wejrzenia w siebie. Ach bo czuła ona że strój świetny kryjąc wdowie serce, nie da i nie zastąpi szczęścia, choć go kwiatami przystroi!

. . . . . .

— Rózia nie wyszła za hrabiego, który zasnąwszy z nadzieją obudził się na rozczarowanie, ale on naszej litości nie wart.

Rózia nie długo czekała. Zjawił się zacny młodzieniec z dostatkami i z pięknem imieniem, ale on chciał sam o własnych siłach dobić się poczciwej sławy. Gardząc przepychem, przyjechał na własny ślub konno. A dziś swej wielkiej fortuny używa z pożytkiem. Dom jego, ognisko szczęścia licznej rodziny, stał się jego najmilszem wytchnieniem wśród ciągłej pracy. A ta którą nazwaliśmy Rózią, oddana całkiem mężowi i dzieciom, kryje w domowem zaciszu swoją miłość, swoje szczęście i swoje talenta. A błogosławiąc swe błogie bo cnotliwe życie, czuje pewnie, że je winna jednej chwilce niewinnej pustoty, która dozwalając jej zajrzeć w przyszłość od pewnego nieszczęścia ochroniła!

* * *

Gdyby każda z mężatek, której wybór nietrafny nie dał szczęścia w małżeństwie, chciała sobie przypomnieć czas który upłynął od dnia jej zaręczyn do dnia jej ślubu, pewna jestem, że znalazłaby nie jedną taką chwilę zbawiennej przestrogi, na której się nie poznała!

ŚPIEW PTASTWA

(z *Micheleta*).

Każdy z nas zauważył zapewnie, że trzymane w klatkach ptaki, zaczynają w najlepsze świergotać, gdy przybywają goście i rozmowa ożywia się w salonie.

Instynkt wrodzony ciągnie ptastwo do człowieka nawet w stanie natury. Drobne te stworzenia są niejako echem Boga i ludzi. Jednoczą one harmonijnie z głosem ludzkiem, swoją poezyą, swe dzikie a pełne prostoty pienia. dopełniają wspaniałego obrazu przyrody. Z głuchym szumem fal oceanu, ptastwo morskie łączy śpiew ostry i krzykliwy; z jednostajnym poszmerem drzew, leśne ptaszęta kwilą na słodką ale rzewną nutę; gdy wiosna uroczo zazieleni pola, skowronek w kulę zwinięty lecąc pod obłoki, zanosi niebu z rosą radość ocknionej ziemi.

Wszędzie też w wielkim koncercie natury, wśród owych harmonijnych dźwięków, które dają się słyszeć z głębi otchłani podziemnych, lub z łona oceanu, jakby dźwięk organów Bożych, słychać i głos ptastwa odbijający często na owem tle ponurem.

Te głosy urocze, ogniste, zdają się oddźwiękiem anielskich pieśni, przypomnieniem lepszego świata, niżeli nasz świat wędrowny i znikomy. To też tchną one w pracowników pochylonych na zagonie, myśl prostą niewinną i marzenie swobody.

Zarówno jak życie roślinne odradza się z wiosną, z powrotem nowych liści, tak i życie zwierzęce rozbudza się i młodnieje z powrotem ptasząt i nadobną ich piosenką. Nic podobnego nie dzieje się na bezludnej półsferze Australii, w tym nowo tworzącym się świecie, który pracując ciężko nad ostatecznem wyzwoleniem z odmętu, nie znalazł jeszcze właściwych sobie dźwięków. Śpiew, ten najszczytniejszy kwiat duszy nie wykwitł jeszcze w tej stronie.

Piękne to zaprawdę zjawisko, właściwe naszej półkuli, że w chwili gdy przyroda poszmerem liści i ziółek. rozpoczyna swój tajemniczy koncert, swoją pieśń wiosenną, wszystko niemal co żyje, i ptak i człowiek odpowiada jej wiernie. Najdrobniejsze jednostki, czują zbudzoną w piersi poezyą i częstokroć natchnioną zanucają piosnkę. Śpiewają dla tych wszystkich, którzy słuchają ich radzi i prześcigają się wzajem o pierwszeństwo w pieśni. Człowiek odpowiada wzajem ptaszynie: śpiew jego zachęca do pieśni skrzydlatego śpiewaka. Tej harmonii dźwięków, nie znają podzwrotnikowe kraje. Wielkie bogactwo barw, jakie tam w zamian dostrzegamy, nie tworzy w naturze równie ścisłego węzła. Ptak lubo odziany w złoto-purpurowe pierze, niemniej czuje się tam sierotą.

Przeciwnie zaś, nasz ptak w szare i skromne pokryty piórka, ale bogaty sercem, trzyma się wiernie ubogiego. Mało z nich, bardzo mało, przebywa w pysznych ogrodach, pod cieniem arystokratycznych parków. Wszyst-

kie za to gnieżdżą się rade, blisko strzechy rolnika. Bóg rozsiał je chojną ręką, po krzakach i dąbrowach, po winnicach i polu, na wilgotnej łące i stawach zaresłych trzciną i tatarakiem, po zielonych pagórkach, a nawet na wierzchołkach gór, wiecznym pokrytych śniegiem. Tu każdej okolicy, dał Stwórca, skrzydlatą rodzinę śpiewaków, nie wydziedziczył żadnej, wszędzie rozlał uroczą harmonią. Gdziekolwiek człowiek, postawi stopę, tak na górze jak w dolinie, wszędzie słysząc pieśń, czuje radość i pociechę.

Brzask dzienny ledwie zrumieni pół nieba, już w stajence słychać odgłos dzwonków uwiązanych u szyi jałówek i bydło wyrusza w pole, a pliszka krąży swobodnie w około krów, opędza je z robactwa, jakby podzielała trudy pasterza. Wie o tem, że miłą jest człowiekowi, i niemniej miłą bydlęciu; to też siada bez trwogi na rogatej głowie jałowicy, lub na grzbiecie barana. Przez cały dzień, nie rozstaje się z niemi ani na chwilę, a wieczorem przyprowadza je do obory. Pliszka zwana *praczką* niemniej wiernie strzeże stanowiska swego: obiega zawsze w około wiejskie kobiety; podczas gdy piorą bieliznę u wody; na długich nogach idzie na brzeg strumienia, stąpa po wodzie, oglądając się czy jej miłosierna ręka nie porzuci okruszyny chleba. Zwija i rozpościera naprzemiany piórka, podnosi je w górę i opuszcza, naśladując jednostajne uderzanie kijanki.

Ale głównym ptaszkiem pól, ptaszkiem rolnika, nieodstępnym jego towarzyszem, jest drobny skowronek. On postępuje w ślad za oraczem, gdy ten kraje pługiem zagony: on pokrzepia go w trudzie, dodaje mu odwagi, śpiewając pieśń nadziei. Nadzieja godłem była starych Gallów, dla tego to, obrali za narodowe godło, drobnego skowronka w szare i ubogie odzianego pierze, ale bogatego uczuciem i piosenką.

Przyroda skromnie uposażyła tę miłą a biedną ptaszynę, krótkie pazurki nie dozwalają jej czepiać się gałązek drzewa. To też ściele sobie gniazdko na ziemi, w towarzystwie trwożliwego zająca, pod osłoną miedzy. Smutneż to i pełne przygód jej życie, gdy zacznie wysiadywać pisklęta! Ileż zniesie biedaczka trudów, ile niepokoju! Zielona bruzda słabo chroni przed bystrem okiem psa, jastrzębia i sokoła, drogie skarby pieczołowitej matki. Wysiada jajka na prędce i wychowuje z pośpiechem swoje drobne potomstwo. Myślałby kto, że biedaczka dzieli wrodzony smutek, sąsiada swego zająca; ustawiczną miotanego trwogą. Ale przeciwnie, narodowa ptaszyna Gallów, otrzymała w darze ich lekkomyślną swobodę, ich wesołość, ich nieoględność na niebezpieczeństwa. Ledwie że minie powód trwogi, skowronek śpiewa znowu i wdzięczną piosnką, tkliwą objawia radość. Przetrwane próby i przygody, nie zamykają mu serca, na nowe wrażenia i uczucia. Ufny i towarzyski, daje rzadki u ptaków przykład wielkiej braterskiej miłości; zarówno jak jaskółka, gotów zawsze żywić braci w potrzebie.

Skowronek kocha światło. Ledwie że zorza porankiem zarumieni błękitne sklepienie, zwiastując bliski wschód słońca, szara ptaszyna, wznosi się zmiedzy lotem strzały i zanosi niebu hymn wesela. Cudnaż to poezya, świeża jak brzask poranku; czysta jak uśmiech dziecięcia.

Ten głos uroczy i potężny, służy za hasło żniwiarzom. „Idźmy w pole, mówi ojciec do syna, już nas woła skowronek.“ I wychodzą, a ptaszyna ulata im nad głową i pieśnią krzepi ich odwagę. W godziny skwar-

ne przyśpiewuje im do snu, ogania ich od owadów. Śpiewając nad uśpioną żniwiarką, poi jej serce, zdrojem czystej harmonii.

Żaden ptak nie wytrzyma współzawodnictwa ze skowronkiem. Głos jego pełny, donośny i czysty, najrozmaitsze wydaje dźwięki. Może śpiewać całą godzinę bez przerwy, wznosząc się w obłoki do niedościgłej okiem wysokości. Pomimo oddalenia żaden ton nie ginie na próżno z uroczej jego piosnki. Nigdy słowik nie dokazałby tego.

Skowronek żyje we wszystkich krajach, oświeconych słonecznym promieniem. Bóg zesłał go ziemi, jako pociechę i błogosławieństwo.

Ale jesień nadchodzi. Podczas, gdy skowronek zbiera za pługiem wyorane z ziemi robaczki, przybywają do nas w gościnę, mnogie rzesze podbiegunowego ptastwa. Drozd bierze udział w trudach winobrania, pyszny w swojej koronie, istny monarcha północy. Z Norwegii, podczas mgły jesiennej przybywa maleńki królik; (roitelet) na konarach olbrzymiej sosny, mały czarodziej śpiewa dopóty uroczą piosnką, póki mróz nie spędzi go z wyżyn i nie zmusi szukać ochrony pod cieniem chaty wieśniaczej.

Zima nadciąga wreszcie: wszystko co żyje garnie się do człowieka, poczciwe gile, połączone w wierne małżeńskie stadła, smutną i rzewną pieśnią, wzywają jego pomocy.

Gdy podczas mgły jesiennej, w pierwszych dniach października, ubogi wyrobnik, zbiera w lesie suche gałązki na opał, mała ptaszyna zbliża się do niego, przywołana hukiem siekiery, towarzyszy mu wiernie i śpiewa mu do ucha wdzięczną piosenkę nadziei. To dzwonek którego

Bóg wysłał do samotnego pracownika, z pocieszającą wieścią, że jest na ziemi istota, zajmująca się jego losem.

Gdy drwal przyniósł do chaty, zapas suchych gałązek i rozpalił z nich ognisko, dzwonek przybiega za nim w ubogie progi, przyciągnięty, blaskiem płomienia. A gdy uśpiona przyroda, odziewa się na długo białym płaszczem śniegu, gdy zimowe ptastwo, krocząc ponuro, wróży zamiecie i słoty, wtedy wśród głuchego pogwizdu wiatru, cichy spiew ptaszyny, nieodstępnej towarzyszki drwala, jak uroczy dźwięk fujarki, zapowiada mu, że przyroda nie zamarła na wieki.

I biedny drwal otwiera izdebkę, porzuca garstkę okruszyn. Ptaszyna poznawszy twarz znajomą, wlata swobodnie do izby, sadowi się przy ognisku i śpiewa piosnkę, którą młoda francuzka poetka, temi wytłumaczyła słowy:

Czy w radości czy to w żalu,
Ja ci śpiewam biedny drwalu!

Gdy jesienny chłód powionie,
Liść uwiędły strząsa z drzew,
Słodzi leśne twe ustronie,
Drobnej ptaszki wierny śpiew.

Gdyś ty smutny pieśń ja kwilę,
Choć poranek zajdzie mgłą,
Bo przegląda za nią mile,
Lazurowe niebios tło.

Niechaj słabe moje pienia,
Błogim ciebie koją snem,
Skrzepią twego moc ramienia,
Zbudzą ufność w sercu twem.

Gdy zimowa zadmie słota,
Dęby śnieżny skryje puch,
W twojej chaty biednie wrota,
Zakołacze wierny druch.

Jam ci śpiewał w lepszej dobie,
Dziś gdy szumi wichrem las,
Biedny drwalu niech przy tobie,
U ogniska znajdę wczas.

Głód i słotę dały nieba,
Przyjm sierotę w niski próg,
Okruszynę daj mu chleba,
A zapłaci tobie Bóg.

Czy w radości czy to w żalu,
Bądźmy braćmi biedny drwalu.

KONIEC PIERWSZEGO TOMU.



89443/1

TREŚĆ

Tomu I.

Wspomnienia i opowiadania historyczne.

Jadwiga Jagielonka 28

Życiorysy.

Marya Wortley Montagu 97

Poezye.

Powrót Starca F. S. D. 287
Pawełek z Legendy wieków W. Hugo . . 305

Obrazki dramatyczne.

Nowy Rok w jednym akcie 1

Powieści.

Cierpienia Matki 47
O Jonku, powiastka czeska p. R. Zmorskiego . 275
Rzeźbiarz z czarnego lasu 63
Kilka chwil z życia artysty . . . 140

Zarysy literatury zagranicznej.

Fryderyka Bremer. Życie domowe w Ameryce . 165

Rozmaitości.

Jaskółka 86
Magierówka i Sobótki 122
Rodzina Obywatelska (wyjątek ze wspomnień młodości) 270
Śpiew ptastwa 322